

NR 10 (21)
październik
2002

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

ISSN 1641-9561

Zdjęcie z miesięcznika „Radar” ilustrujące tekst zachęcający do wzięcia udziału w konkursie muzycznym z okazji stulecia urodzin W. I. Lenina



ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE

| | |
|------------------|--|
| BIĄŁYSTOK | 15-637 Białystok, ul. Warsztatowa 1a Tel. (0-85) 664 73 71 |
| GDAŃSK | 81-311 Gdynia, ul. Witomińska 19 Tel. (0-58) 620 52 00 |
| KATOWICE | 40-009 Katowice, ul. Warszawska 19 Tel. (0-32) 253 73 31 |
| KRAKÓW | 31-027 Kraków, ul. Mikołajska 4 Tel. (0-12) 421 11 00 |
| LUBLIN | 20-071 Lublin, ul. Wieniawska 15 Tel. (0-81) 532 16 43 |
| ŁÓDŹ | 91-479 Łódź, ul. Orzeszkowej 31/35 Tel. (0-42) 616 27 48 |
| POZNAŃ | 61-739 Poznań, ul. Plac Wolności 17 Tel. (0-61) 851 52 15 |
| RZESZÓW | 35-060 Rzeszów, ul. Słowackiego 18 Tel. (0-17) 852 05 35 |
| WARSZAWA | 00-207 Warszawa, Pl. Krasieńskich 2/4/6 Tel. (0-22) 530 86 25 |
| WROCLAW | 50-153 Wrocław, Pl. Powstańców Warszawy 1 Tel. (0-71) 340 65 32 |



BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN
Zespół redakcyjny: Barbara Polak, Elżbieta Lewczuk,
Dorota Mazek, Władysław Buthak, Paweł Machcewicz
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński
Adres: 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28
Tel. (0-22) 581 89 25, fax (0-22) 581 89 26
e-mil: bep@ipn.gov.pl
www.ipn.gov.pl
Łamanie i druk: Zakład Wydawniczo-Poligraficzny MPiPS

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 10 (21)

PAŹDZIERNIK

2002

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| ■ KALENDARIUM IPN | 3 |
| ■ ROZMOWY BIULETYNU | |
| O KULTURZE W PRL z Jerzym Eislerem i Ryszardem Terleckim rozmawia Barbara Polak | 5 |
| ■ PRAWO I HISTORIA | |
| Jerzy Kułak – INŻYNIEROWIE DUSZ | 24 |
| ■ KOMENTARZE HISTORYCZNE | |
| Agnieszka Łuczak – „OBSTAJĘ PRZY STANOWISKU, ŻE CHODZI TU O POMNIK POLITYCZNY...” | 29 |
| Małgorzata Ptaśńska – KULTURA POLSKA W „KULTURZE” PARYSKIEJ | 31 |
| Piotr Chruszczyński – POLSKI PARYŻ 1981–1989 | 37 |
| Małgorzata Ptaśńska – CO Z TĄ AKADEMIĄ? | 42 |
| Jacek Żurek – POMPA FUNEBRIS (TROCHĘ PLOTECZEK O POGRZEBACH) | 45 |
| Stanisław Jankowiak – ROZLICZENIE Z SOCREALIZMEM – VII ZJAZD ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH | 53 |
| Tomasz Toborek – POCZĄTKI BIG-BEATU W PRASIE PRL | 58 |
| Agnieszka Rogulska – STASZEK STASZEWSKI – POETA PODZIEMIA ERY GOMUŁKOWSKIEJ | 64 |
| Krzysztof Madej, Jacek Żurek – ZATRUTA HISTORIA – OLIMPIADA HISTORYCZNA AD 1977 | 70 |
| Grzegorz Majchrzak – HITY Z MINISTERSTWA SPRAW WEWNĘTRZNYCH | 74 |
| ■ RELACJE I WSPOMNIENIA | |
| Marian Maciejewski – „PROSZĘ PANA, DOKĄD JEDZIEMY? DOKĄD PAN NAS WIEZIE?” | 76 |



Piotr Chruszczyński (1952–2002)

Prawnik, działacz „Solidarności”, dyplomata

Urodził się w Poznaniu w 1952 r., tam też w 1977 r. ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. W latach 1977–1982 pracował w Sądzie Wojewódzkim w Białymstoku, a następnie w sądach rejonowych w Łomży i Grajewie. W 1980 r. współtworzył NSZZ „Solidarność” w aparacie sądowniczym. Stan wojenny zastał go we Francji. Od 1982 r. był kierownikiem Sekcji Pomocy Represjonowanym, a od 1985 r. dyrektorem Biura NSZZ „Solidarność” w Paryżu. Po 1989 r. przeszedł do służby dyplomatycznej, pełniąc w latach 1990–1992 funkcję pierwszego sekretarza i kierownika Wydziału Politycznego Ambasady RP we Francji. Kolejne dwa lata spędził jako konsul generalny RP w Strasburgu. Za swoją działalność został nagrodzony Legią Honorową. W 1994 r. wrócił do kraju, jeszcze w tym samym roku objął stanowisko doradcy prezesa NBP. W latach 1998–2000 pełnił funkcję wiceprezesa Polskiej Agencji Informacyjnej.

15 września 2000 r. objął stanowisko dyrektora tworzącego się Oddziału Warszawskiego IPN. Podczas dwóch lat działalności w ramach Instytutu dał się poznać jako dobry organizator, człowiek umiejący wykorzystać pasję i doświadczenia swoich pracowników. Otwarty na ich problemy, zawsze służył radą. Był wnikliwym obserwatorem, wrażliwym na pamięć historyczną i ludzką, nierzadko pogmatwane losy. Wrozumiały dla słabości innych, był bezkompromisowy wobec ludzkich podłości i zbrodni. Zmarł nagle podczas wizyty w Paryżu, w trakcie której starał się nawiązać bliską współpracę pomiędzy IPN a miejscowymi środowiskami kombatanckimi. Odszedł człowiek uczciwy i prawy, służący Rzeczypospolitej, wierny swoim ideałom i wyborom.

*Leon Kieres
wraz z pracownikami Instytutu Pamięci Narodowej*

Kalendarium IPN październik 2002

- 1 września** – BEP IPN ogłosiło **pierwszy ogólnopolski konkurs historyczny** dla uczniów szkół ponadpodstawowych „**Spółczesność polskie wobec okupacji niemieckiej i sowieckiej 1939–1945. Postawy, życie codzienne**”. Konkurs jest trzyetapowy, zostanie przeprowadzony równolegle na dwóch poziomach edukacyjnych: gimnazjalnym i ponadgimnazjalnym. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w kwietniu 2003 r. Nagrody dla zwycięzców ufunduje prezes IPN prof. Leon Kieres
- 4 września** – prof. Witold Kulesza wziął udział w uroczystości **odświeżenia pomnika ku czci poległych Słowaków – żołnierzy 535. plutonu Armii Krajowej**, walczących w Powstaniu Warszawskim
- 9 września** – w sali konferencyjnej IPN przy ul. Towarowej 28 odbyła się prezentacja opracowanego przez BEP IPN pierwszego tomu **słownika biograficznego „Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956”**. Zawiera on 179 życiorysów żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, konspiratorów, działaczy politycznych i społecznych. Przygotowywane są następne tomy słownika
- 10 września** – podczas uroczystej sesji Rady Miejskiej w Brzegu Dolnym prezes IPN prof. Leon Kieres otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Brzeg Dolny
- 12–13 września** – w Warszawie w siedzibie IPN odbyła się **I Międzynarodowa Konferencja z serii “Stosunki polsko-litewskie 1939–1989”** pt. „Opór wobec systemów totalitarnych na Wileńszczyźnie w czasie II wojny światowej”. Współorganizatorami byli: Centrum Badania Eksterminacji i Ruchu Oporu Mieszkańców Litwy, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i Fundacja Polskiego Państwa Podziemnego. W trakcie konferencji prof. Leon Kieres podpisał deklarację o współpracy Instytutu z litewskim partnerem
- 13 września** – w Białymstoku odbył się wernisaż wystawy **„Sybiracy. Deportacje obywateli polskich w głąb ZSRR (1939–1941)”** przygotowanej przez OBEP w Białymstoku. Zaprezentowano fotografie, dokumenty i fotokopie aktów prawnych dokumentujące losy obywateli polskich, mieszkańców Kresów Wschodnich II RP. Honorowy patronat nad wystawą objął ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, uroczystego otwarcia dokonał prezes IPN prof. Leon Kieres
- 16 września** – odbyła się inauguracja **kursu doskonalenia** dla nauczycieli szkół ponadpodstawowych i **wykładów otwartych** dla uczniów w roku szkolnym 2002/2003 zorganizowanych przez BEP IPN we współpracy z Wydziałem Oświaty Gminy Warszawa Centrum. Przewidziane są trzy cykle seminaryjne: „Kryzysy PRL-u”, „Trudne pytania w nauczaniu najnowszej historii Polski” i „Obraz PRL-u w literaturze – warsztaty dramy”
- 17 września** – Prezes IPN prof. Leon Kieres, zastępca prezesa IPN prof. Witold Kulesza i doradca prezesa IPN Maria Dmochowska wzięły udział w uroczystościach z okazji Dnia Sybiraka przy Pomniku Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Po raz pierwszy współorganizatorem uroczystości był Instytut Pamięci Narodowej
- 18 września** – odbyło się spotkanie Klubu Historycznego im. Stefana Roweckiego „Grotą”. Honorowym gościem spotkania był Jan Nowak-Jeziorański
- 21–29 września** – BEP IPN uczestniczyło w zorganizowanym już po raz szósty w Warszawie **Festiwalu Nauki**. Wydział Wystaw i Edukacji Historycznej BEP IPN przygotował 23 imprezy,

w tym dyskusje panelowe, wykłady, lekcje, prezentacje dwóch wystaw, w których wzięło udział około 1000 osób. Największym zainteresowaniem cieszyła się dyskusja panelowa „Teczek bezpieki – przekleństwo czy szansa dla historyków, której przysłuchiwało się około 200 osób

– w ramach Festiwalu Nauki odbyła się promocja pierwszego ogólnopolskiego **pakietu edukacyjnego pt. Czerwiec '76** opracowanego przez pracowników OBEP w Warszawie. W październiku ukaże się drugi pakiet z serii ogólnopolskiej *Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–1947*,

24 września

– prezes IPN prof. Leon Kieres spotkał się z dziennikarzami ukraińskimi

26 września

– w warszawskiej siedzibie IPN odbyła się zorganizowana przez BEP IPN **sesja naukowa „Działalność informacyjna Polskiego Państwa Podziemnego”**. Uroczystego otwarcia dokonał prezes IPN prof. Leon Kieres. Podczas sesji pracownicy IPN oraz zaproszeni historycy przedstawili referaty prezentujące organizację i działalność aparatu informacyjnego i propagandowego polskiego podziemia

– odbyło się **kolejne robocze spotkanie prezesa IPN, wraz z najbliższymi współpracownikami z delegacją Urzędu Dokumentacji i Badania Zbrodni Komunistycznych w Pradze (UDV)**, na czele z płk. Irenejem Kratochvilem. Dyskutowano o współpracy w zakresie spraw śledczych i badań naukowych

27–28 września

– prof. Witold Kulesza uczestniczył w międzynarodowej konferencji naukowej poświęconej odpowiedzialności karnej w systemach demokracji liberalnej zorganizowanej na Uniwersytecie Warszawskim przez Fundację *Ius et Lex*. Wygłosił wykład *Odpowiedzialność sędziego i prokuratora za zbrodnię sądową*

30 września

– na zaproszenie krakowskiej Fundacji Judaica – Centrum Kultury Żydowskiej prezes IPN wziął udział w dyskusji poświęconej zbrodni w Jedwabnem. Spotkanie odbyło się w ramach comiesięcznych spotkań pod ogólnym tytułem „Polacy i Żydzi od nowa?”

Opracowały: Agnieszka Bajor-Zagórska, Karolina Kolbuszewska

STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSEK O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

| | wrzesień 2002 r. | od początku wydawania |
|----------------------|------------------|-----------------------|
| BIAŁYSTOK | 7 | 723 |
| GDAŃSK | 26 | 1856(553*+232**) |
| KATOWICE | 38 | 1164 |
| KRAKÓW | 27 | 1241 |
| LUBLIN | 8 | 582 |
| ŁÓDŹ | 13 | 674 |
| POZNAŃ | 16 | 1267 |
| RZESZÓW | 0 | 805 |
| WARSZAWA | 15 | 1374 |
| WROCŁAW | 8 | 827 |
| BUiA | 20 | 1198(53)* ** |
| KONSULATY | 4 | 202 |
| RAZEM | 182 | 11913 |
| WNIOSKI ZREALIZOWANE | | 1137 |

wnioski przyjmowane w delegaturach: *Bydgoszcz, **Koszalin, ***Radom



O KULTURZE W PRL

**Z JERZYM EISLEREM I RYSZARDEM TERLECKIM
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – W 1944 r. nowa władza miała na głowie ważniejsze rzeczy niż kultura narodowa. A jednak była w tej szczególnej sytuacji, że musiała o nią dbać, choćby nawet tylko dla celów propagandowych. Przy tym musiała się jakoś odnieść do kultury przedwojennej, poszukiwać ciągłości ze spuścizną narodową. Kultura jest taką specjalną dziedziną życia narodu, która, podobnie jak wiara, jest gwarancją przejścia przez najgorsze nawet doświadczenia.

J.E. – Zacząć trzeba od tego, że punkt startu był bardzo niski. Wprawdzie w czasie okupacji niemieckiej toczyło się podziemne życie kulturalne, ale było ono tajne, jak wszystkie inne działania Polskiego Państwa Podziemnego, i z natury rzeczy ograniczone do stosunkowo wąskiego kręgu ludzi. Dlatego w Polsce lubelskiej wystarczyło puścić muzykę Chopina w Polskim Radiu, żeby było to odbierane jako coś niezwykłego. Nawiasem mówiąc, radia można było legalnie słuchać w praktyce tylko z ulicznych gigantofonów (posiadanie radioodbiorników bez specjalnych zezwoleń do czerwca 1945 r. było zabronione i zagrożone karą śmierci). Podobnie było z odbudowywanym powoli teatrem, kinem czy stopniowo rodzącym się życiem literackim. Niezależnie od rzeczywistego poziomu artystycznego wszystko było wspaniałe lub co najmniej poruszające, bo po prostu było polskie, nasze, rodzime. Możliwy stawał się kontakt z największymi dziełami kultury narodowej po ponad pięciu okupacyjnych latach. Dzisiaj nikomu nie przychodzi do głowy, że wydawanie dzieł Adama Mickiewicza czy Henryka Sienkiewicza mogłoby być działalnością propagandową, ale w latach czterdziestych i jeszcze nawet na początku pięćdziesiątych tak właśnie było. W ten sposób władza przekonywała społeczeństwo: – „my też jesteśmy dobrymi Polakami, takimi samymi jak wy, uznajemy taki sam kanon lektur”. A jednak nie był on zupełnie taki sam, nawet jeśli byli to ci sami autorzy; ich twórczości nie prezentowano w całości.

Poza tym, po wojnie na przykład granie *Mazurka Dąbrowskiego* czy wywieszenie biało-czerwonej flagi było symbolem działań patriotycznych, ale też kulturowych – jesteśmy w Polsce, jesteśmy Polakami, mamy własne narodowe korzenie. Trzeba także pamiętać, że tuż po wojnie środowiska artystyczne czekały na możliwość normalnego funkcjonowania. Czas płynął bowiem nieubłaganie; okupacja spowodowała, że bezpowrotnie zmarnowanych zostało prawie sześć lat. Co to znaczyło w praktyce? Aktorzy, którzy chcieli pozostać wierni Polsce, przez kilka lat okupacji nie mieli gdzie występować, a ci, którzy zdecydowali się „grać dla Niemców”, po wojnie mieli z tego tytułu kłopoty. Panował więc zupełnie



naturalny wielki głód występów, wystawiania, prezentowania. Nie chciałbym nikogo obrazić, ale tuż po wojnie nie trzeba było tworzyć wielkich kreacji, by zbierać entuzjastyczne recenzje i wielkie oklaski. W praktyce każdy pokazywany film był wydarzeniem, ponieważ przywoici Polacy w czasie okupacji nie chodzili do kina. Myślę, że od tej strony organizatorzy powojennego życia kulturalnego mieli ułatwioną sytuację. Poważnym utrudnieniem były natomiast powojenne warunki ekonomiczne: brakowało sal kinowych, teatralnych, sprzętu oświetleniowego i nagłaśniającego, materiałów poligraficznych, papieru – praktycznie wszystkiego. Porównałbym to do sytuacji z końca lat siedemdziesiątych, gdy pojawiły się książki drugiego obiegu. Często były one ledwie czytelne, ale sam fakt ich wydania był tak ważnym wydarzeniem, że ludzie „katowali się” drukiem i spędzali nad nimi noce, żeby móc je pożyczyć dalej. Jak jest bardzo źle, to wystarczy, żeby było odrobinę lepiej, żeby już były zachwyty. Taki był początek kultury w Polsce Ludowej.

B.P. – Warto powiedzieć i o tym, że państwo, które starało się być normalne, musiało dopuścić działania tworzące kulturę. Aby ominąć spontaniczność w tej dziedzinie, władze komunistyczne zaczęły realizować tak zwaną politykę kulturalną, co samo w sobie stanowi zaprzeczenie twórczości.

R.T. – W pierwszych powojennych latach władza rzeczywiście nie miała głowy do kultury, miała inne zmartwienia. Poza tym, ze względów czysto politycznych, musiała odnieść się do szoku, jaki przeżyła znaczna część społeczeństwa po wejściu Sowieców, szczególnie na zabranej Polsce połowie jej wcześniejszego terytorium. Wieści o palonych bibliotekach, niszczonej dworach, rabowanych zbiorach itd., docierające stamtąd, ale także z terenów tak zwanej Polski lubelskiej, były straszne. Trzeba było jakoś przekonać społeczeństwo, że to tylko wojenny zamęt, że przeminął bezpowrotnie, a teraz kultura znajdzie się pod troskliwą opieką państwa.

Ponadto przesunęły się granice Polski. Tym sposobem przepadła ogromna część spuścizny narodowej, w tym wielkie centra kulturalne – Lwów i Wilno, a wraz z nimi część historii, której – wydawało się – nie sposób zapomnieć ani oderwać od narodu. A z drugiej strony trzeba było rywalizować z kulturą zastaną na ziemiach zachodnich, trzeba było się z nią zmierzyć. Osadnicy, którzy tam przyjeżdżali, napotykali nie tylko wyższy standard życia, ale także zupełnie inną architekturę, sztukę sakralną czy użytkową.

B.P. – Można to nazwać szokiem cywilizacyjnym.

R.T. — To był jeden z najtrudniejszych zakrętów naszej historii. Z jednej strony coś stracono, jeszcze wtedy łudzono się, że nie bezpowrotnie, a z dru-

giej strony coś zyskano, ale obcego, nieoswojonego i jakby troszkę lepszego, szczególnie pod względem kultury materialnej. Kolonizowanie tych terenów było trudnym zadaniem.

B.P. – Mówi pan o trudzie obiektywnym czy propagandowym?

R.T. – On był i obiektywny, i także trochę narzucony. Władza natychmiast zaczęła zachęcać uczonych, ale nie tylko ich, również twórców kultury, żeby tę zdobycz historycznie i moralnie uzasadnić, a stratę pomóc zapomnieć.

B.P. – Kogo personalnie, w kręgach ówczesnej władzy, stać było na głębszą refleksję nad rolą i miejscem kultury?

J.E. – Na pewno Jerzego Borejszę. Był on nie tylko szefem „Czytelnika” i menedżerem, ale także człowiekiem, który uważał, że twórców, pisarzy, artystów warto „dopieścić”, że trzeba „zalecać się” do nich, poświęcić im więcej uwagi. Zdarzało mu się nawet jeździć za granicę i namawiać pisarzy do powrotu, a także (i to wcale nierzadko!) prowadzić z pisarzami w Polsce finałową grę. Nie straszył, nie groził – od tego byli inni – ale cierpliwie przekonywał: „Nie musi pan iść z nami czy za nami – mówić – proszę tylko, żeby pan pisał, a my będziemy to wydawać”. Im głośniejsze było nazwisko twórcy, tym obiecywał mu większy zakres swobody. To, co było wykluczone dla młodego, debiutującego literata, było dopuszczalne dla Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Dąbrowskiej, Zofii Nałkowskiej czy Juliana Tuwima. Takie nazwiska na swój sposób ozdabiały i nobilitowały tę nową władzę, czyniąc ją jeszcze bardziej polską. Dawało to do ręki argumenty i pozwalało mówić o ciągłości polskiej kultury.

Jeżeli wydawano pisarzy przedwojennych (oczywiście tylko niektórych!), to oznaczało to, że przez te lata nic się właściwie nie zmieniło albo zmieniło się bardzo niewiele, i to na pewno na lepsze.

Człowiekiem, którego w obozie władzy stać było na głębszą refleksję i „specjalne” podejście do twórców, był też z pewnością wywodzący się ze środowiska przedwojennych komunistów Karol Kuryluk – późniejszy minister kultury i sztuki oraz ambasador w Austrii w latach sześćdziesiątych.

Pamiętajmy, że część osób odpowiedzialnych wtedy za kulturę miała za sobą studia uniwersyteckie. Byli to ludzie wykształceni, ocytani, znający obce języki i dobrze czujący się w świecie nauki, kultury i sztuki. Często patrzymy na komunistów przez pryzmat prymitywnego aparatury, owego przystawionego towarzysza Szmaciaka. Oczywiście tacy też byli, a nawet dominowali. Ale obok nich znaleźli się inni, którzy nie byli od bicia, straszenia czy wygłaszania prymitywnych przemówień pseudoideologicznych, tylko od „kuszenia” uczonych, artystów, pisarzy, niektórych, zwłaszcza starszych dziennikarzy. Tadeusz Konwicki opowiadał, jak to Borejsza wystąpił go do Warszawy. Młodego, będącego na początku



drogi literackiej, dwudziestoletniego pisarza ulokowano między dyplomatami w hotelu Bristol i obwieziono po mieście wielką, luksusową limuzyną Borejszy. Wtedy już inwestowano w młodych. Pojawia się pytanie, na które nie można chyba udzielić jednoznacznej odpowiedzi: jak dalece ludzie w rodzaju Borejszy, Kuryluka i jeszcze kilku innych – byli w swoim działaniu niezależni? Przecież władza miała na głowie w tym pierwszym okresie naprawdę ważniejsze problemy: chociażby pełne partyzantów lasy, nieuregulowaną kwestię granic, Polskie Stronnictwo Ludowe, zagospodarowywanie ziem zachodnich i północnych itd. W tej sytuacji twórcom można było zostawić większą swobodę działania.

Z czasem – myślę, że ten proces zaczął się w 1947 r. i nasilił się w roku następnym – ten margines wolności władze zaczęły systematycznie ograniczać. Nie wystarczyło już nie być „przeciw”, trzeba było się opowiadać „za”, choć jeszcze we wrześniu 1946 r. na zjeździe w Łodzi literaci bronili prawa do wyboru metody twórczej i przeciwstawiali się zaostżaniu cenzury. Należy dodać, że podobne procesy – prędeziej czy później – można było zauważyć w praktyce we wszystkich rodzajach twórczości artystycznej. W takim klimacie w sierpniu 1948 r. zorganizowano we Wrocławiu Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju – imprezę propagandową w prawdziwie sowieckim stylu. Z kolei w początku 1949 r. odbył się w Szczecinie zjazd pisarzy, w czasie którego oficjalnie proklamowano socrealizm w literaturze. Zaczynała się era brutalnie narzuconego twórcom realizmu socjalistycznego i zarazem definitywnie skończył się czas eksperymentowania...

Z naszego pola widzenia nie może jednak zniknąć jeszcze jedna kwestia: zakrojona na bardzo szeroką skalę akcja likwidacji w Polsce analfabetyzmu, która zawsze jest ukazywana jako wielkie osiągnięcie powojennej Polski. Owszem, uczono ludzi czytać i pisać, ale uczono ich – dopowiedzmy – posługując się określonymi książkami. W niebyt odchodziła praktycznie cała emigracyjna literatura polska, podobnie jak wiele tekstów napisanych w kraju. Z księgarń zniknęły całe nakłady; z bibliotek metodycznie wycofywano i przeznaczano na przymiał te nieliczne książki wydane przed 1939 r., które niejednokrotnie cudem ocalały w czasie wojny. Do 1948 r. funkcjonowały prywatne wydawnictwa, prywatne firmy płytowe, prywatne księgarnie. Mimo że od samego początku Polski Ludowej funkcjonowała cenzura, w latach 1945–1947 rynek wydawniczy był zróżnicowany. Poczwszy od 1948 r., nie było już mowy o żadnych odcieniach czy kolorach. Skończyły się wszystkie wcześniejsze dysputy ideologiczne, w tym słynny spór, który toczył się w Krakowie między katolikami a marksistami – spór między redakcją „Tygodnika Powszechnego” a środowiskiem „Kuźnicy”.

R.T. – Do 1947 r. była jeszcze rywalizacja z PSL, które co prawda nie miało pieniędzy i zorganizowanych elit, było natomiast partią oporu narodowego. Zaraz po wojnie rozkwitła spontaniczna działalność kulturalna pod patronatem PSL. Szczególnie było to widać na prowincji: uni-



wersytety ludowe, zespoły, wystawy, teatry amatorskie, chóry, dziesiątki rozmaitych inicjatyw kulturalnych. To wszystko skończyło się w 1948 r. Kultura została upaństwowiona, nie było już mowy o prywatnych, samorządowych czy społecznych przedsięwzięciach.

J.E. – Po 1948 r. Polskę zalała fala bezwartościowego „śmiecia” w postaci sowieckiej literatury socrealistycznej. Usiłowano przekonywać, że nasz sąsiad ma ogromne dokonania w tej dziedzinie, przy czym nie chodziło tu o wielką klasykę rosyjską (Puszkina, Czechowa, Dostojewski, Tołstoj itd.), ale o tandetną tak zwaną literaturę zaangażowaną. Drukowano ją w wielkich nakładach i nikt nie śmiał tych dzieł krytykować.

B.P. – Skąd pochodzi pojęcie „socrealizm” i jaka jest jego historia?

J.E. – W krajach totalitarnych zawsze twórcami wszelkich wielkich idei i dokonań są dyktatorzy. Zaslugę twórcy należy zatem przypisać Józefowi Stalinowi. Jego „piękną ideę” wdrażał i propagował Andriej Żdanow. To on był głównym orędownikiem angażowania się twórców w dzieło realizmu socjalistycznego. Dlatego po 1956 r. bardzo chętnie mówiono o błędach zdanowszczyzny. I tak jak Ławrientij Beria miał być odpowiedzialny za niemal wszystkie zbrodnie stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa, tak Żdanow – choć przecież zmarł w 1948 r. – był tym, na którego bardzo chętnie zrzucano całą odpowiedzialność za wszystko to, co działo się w tamtych latach w nauce i kulturze. Nie możemy jednak zapominać, że w Polsce na przełomie lat 1948–1949 pojawili się nasi rodzimi ideolodzy socrealizmu. Najprościej byłoby wskazać Włodzimierza Sokorskiego, który był ministrem kultury i sztuki w tym najgorszym okresie. Należy tu jeszcze przywołać i Leona Kruczkowskiego, i Jerzego Putramenta, i Adama Schaffa, i Stefana Żółkiewskiego, a także wielu pisarzy, którzy później zerwali z komunizmem, wystąpili lub zostali wyrzuceni z PZPR i w następnych latach współpracowali z opozycją: Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza i Mariana Brandysów, Tadeusza Konwickiego, Igora Newerlego, Juliana Strykowski, Adama Ważyka czy Wiktora Woroszyńskiego. To jest bardzo długa lista. W przypadku Polski na pewno łatwiej jest wymieniać tych, którzy na tę drogę nie wkroczyli. Zwykle przy takich okazjach wspomina się Zbigniewa Herberta, Leopolda Tyrmanda, Jerzego Zawieyskiego, którzy znaleźli się na marginesie życia umysłowego, i prawdę powiedziawszy, niewielu więcej. Nawet Stanisław Lem – do czego po latach samokrytycznie się przyznawał – w książce *Mgławica Andromedy* poczynił bardzo wiele ustępstw na rzecz Wielkiego Brata – wychwalając sowiecką naukę i technikę.

B.P. – Tworzenie listy ludzi przyzwoitych i nieprzyzwoitych nie jest naszym celem, ale warto mieć świadomość motywów i mechanizmów ustępstw twórców wobec władzy.



J.E. – Moim zdaniem największym nadużyciem, które popełniano w Polsce w następnych latach, było nazywanie stalinowcami tych, którzy rozstali się z partią i z komunizmem, a potem związali się z opozycją i „Solidarnością”. Jednocześnie z pola widzenia niknęli Bohdan Czeszko, Roman Bratny, Jerzy Putrament i cała masa pisarzy, którzy byli stalinowcami, pozostali z partią i w partii i byli do końca z tą formacją bardzo mocno związani. Tymczasem i dziś jeszcze wypomina się partyjną przeszłość i grzechy młodości Woroszylskiemu, Konwickiemu, Jackowi Bocheńskiemu i innym.

B.P. – W jakimś sensie podzielam taką potrzebę, zwłaszcza w przypadku twórców, którymi w tamtym okresie władza się podpierała, a którzy potem niejednokrotnie kreowali się sami lub których kreowano na autorytety moralne. W pewnym momencie nie stanęli oni twarzą w twarz ze swoimi czytelnikami, jak zrobił to na przykład właśnie Wiktor Woroszylski, by powiedzieć: tak byłem w tym, byłem winny, ale teraz jestem z wami, zrozumcie mnie. Grzebanie w brudach, chcemy tego czy nie, leży w ludzkiej naturze; jeżeli samemu się ich nie wypierze, to takie są właśnie efekty.

R.T. – I jeszcze jedno. Należy pamiętać o tych wszystkich, którzy nowej rzeczywistości nie zaakceptowali. Żeby przeżyć stalinizm i socrealizm w życiu publicznym, trzeba było z nim współpracować, w ciągu tych siedmiu czy ośmiu lat nie dało się inaczej. Ale byli przecież tacy, którzy zamilkli – w muzyce, teatrze, literaturze, w malarstwie. Zniknęli. Dziesięć lat w życiu czterdziestolatka to jest dużo – jeśli ktoś zajął się leśnictwem, konserwacją mebli czy księgowością w biurze – to nawet gdy udało mu się znów pojawić po 1956 r., i tak zmarnował najlepsze lata. My dziś potrafimy wymienić tych, którzy zachowali się niezłomie, którzy wytrzymali tę presję, ale powinniśmy pamiętać też o tych, których niezłomność poszła jeszcze dalej – zamilkli, bo nie podjęli nawet próby kompromisu. Jak się to wówczas mówiło: wybrali wewnętrzną emigrację.

B.P. – Myślę, że to jest wielki dramat twórcy. I myślę również, że ten dramat został pogłębiony przez to, co nazywa się polityką kulturalną. Potencjał twórczy można realizować, również będąc księgowym. PRL zrobił z twórczością coś takiego, co jest dla mnie rzeczą zatrważającą – wyniósł ją do rangi zawodu. Stworzył na przykład związki twórcze, których masowość jest co najmniej zastanawiająca. Nie znam żadnej innej rzeczywistości, poza rzeczywistością państw komunistycznych, w której tak zwanych twórców były tak ogromne rzesze. Wśród nich, posiadających legitymacje twórcy, było przynajmniej 80 proc. – najlapidarniej mówiąc – miernot. Ranga twórcy i apanaże, jakie z tym się wiązały, spowodowały, że ci, którzy byli poza nimi, rzeczywiście nigdy już nie mogli się przebić.



EMPiK – czytelnia, lata sześćdziesiąte

R.T. – Poza tym znaleźli się w pułapce. Romantycy, gdy po Powstaniu Listopadowym nie mogli pisać w kraju, wyjechali na emigrację. W PRL granice zatrzasnęły się na dziesięć lat, a przez następną dekadę uchylały się tylko dla starannie wybranych.

J.E. – Określenie „zatrzasnęły się” jest bardzo ważne i – moim zdaniem – doskonale oddaje istotę sprawy. Pamiętajmy, że Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Marian Hemar wyjechali i tworzyli bez cenzury na obczyźnie, byli emigracją jeszcze wojenną. Oni – podobnie jak na przykład Jerzy Giedroyc i ludzie z kręgu „Kultury” – pozostali po wojnie za granicą. Można było jeszcze – mniej czy bardziej legalnie – wyjechać z Polski, powiedzmy do 1947 r., ale od pewnego momentu takiej możliwości już nie było. Wtedy właśnie – jak to trafnie ujął Ryszard Terlecki – „drzwi się zatrzasnęły”. Oczywiście można było pisać „do szuflady”, ale po pierwsze, w państwach dyktatorskich – jak to obrazowo określił Paweł Jasienica – nikt nie mógł być „panem swojej szuflady” i dlatego jakże często pojawiała się autocenzura, a po drugie – wiemy to dzisiaj – wówczas dość powszechnie uważano, iż ta nowa sytuacja będzie trwała wiecznie. Żeby zaś zostać wielkim poetą czy pisarzem, naprawdę nie wystarczyło pisać „do szuflady”, trzeba było przede wszystkim wydawać swoje utwory, mieć czytelników i pozostawać z nimi w żywym kontakcie, cieszyć się uznaniem krytyki, wreszcie otrzymywać prestiżowe nagrody.

Co zatem wydawano i czytano w PRL? Przede wszystkim oba te pojęcia należy wyraźnie rozróżnić. Przecież nie wszystko, co oficjalnie wydawano, było powszechnie czytane (wystarczy przypomnieć tak zwaną literaturę społeczno-polityczną), a z drugiej strony stosunkowo często czytano to, co publikowano w sztucznie ograniczanych nakładach (na przykład literatura sensacyjna, romanse, kryminały, ale też współczesna poezja, literatura iberoamerykańska, niektóre opracowania z zakresu historii najnowszej, memuarystyka itd.). Żeby lepiej zilustrować tę dziwną sytuację, przypomnę pewien znamienny żart sprzed lat. W księgarni pod sufit wypełnionej książkami rozgląda się z zainteresowaniem facet, który w pewnej chwili z zakłopotaniem pyta sprzedawcę: „A może ma pan coś do poczytania?”. Trzeba bowiem przypomnieć, że w odróżnieniu na przykład od sklepów mięsnych, w których nierzadko były tylko przysłowiowe nagie haki, w księgarniach zawsze było pełno książek. Rzecz w tym, że zwykle nie tych, które ludzie chcieli czytać. Powstała wtedy bowiem masa złych literacko i/lub nieuczciwych intelektualnie książek. Brakowało tych, których w peerelowskich księgarniach po prostu być nie mogło. Mam na myśli dzieła, które napisali George Orwell, Arthur Koestler czy Aleksander Solżenicyn, literaturę fagrową, napisane na zachodzie książki dotyczące najnowszej historii Polski itd.

W czasach Polski Ludowej żartowano gorzko, że aby zostać członkiem Związku Literatów Polskich, trzeba było wydać dwie książki albo... dwóch kolegów. Ten ponury żart nie wziął się przecież z niczego. Mieliśmy wówczas pisarzy, których dorobek artystyczny był w praktyce żaden, a którzy byli

doskonale notowani na salonach ówczesnej władzy. Pojęcie grafomanii – w odniesieniu do takich ludzi jak Władysław Machejek, Józef Ozga-Michalski czy Mieczysław Róg-Świostek – jest jak najbardziej na miejscu. A przecież ich książki były wydawane w dużych nakładach, były nagradzane i pokazywane jako „osiągnięcia naszej socjalistycznej kultury”.

R.T. – Było jeszcze jedno zjawisko, bardzo ciekawe, które wymuszało na władzy dokooptowanie rozmaitych miernot do grona literatów. Już w połowie lat pięćdziesiątych, a z pewnością w latach sześćdziesiątych, Związek Literatów Polskich stał się, można bez przesady tak powiedzieć, namiastką parlamentu. Zjazdy, wybory do władz ZLP, zebrania organizacji lokalnych – wzbudzały zainteresowanie społeczeństwa, były komentowane, omawiane. Plotki na ich temat krążyły w życiu publicznym, swoim rozgłosem znacznie przerastając rangę wydarzeń. W czasach, gdy nie było parlamentu, nie było normalnego sejmiku, a wybory odbywały się na niby – środowisko literackie zdołało stworzyć substytut demokracji. Ekscytowano się, i to wcale nie tylko w gronie pisarzy, tym, kto został, a kto nie został delegatem na zjazd, kogo wybrano do zarządu, kogo z „czerwonych” wycięto podczas wyborów.

B.P. – Gdybyśmy zatrzymali się tylko na twórcach słowa, to sprawa jest dość prosta. Taka twórczość wymaga wydawania, nakładów itd. Podobnie ze sztuką filmową, której autorzy nie mogli sobie pozwolić na eksperymenty artystyczne z powodu zależności od mecenatu państwowego, ale są obszary twórczości, którym rygory soc-realizmu trudniej było narzucić. Myślę o sztukach plastycznych, muzyce. W PRL środowiska plastyków miały się po prostu świetnie. Przynależność do związku twórczego dawała możliwość zdobywania farb i innych materiałów. Oczywiście wymóg socrealizmu odbił się jakimś piętnem na salach wystawowych, ale ludzie malowali też inaczej, a dorobek trzymali w domu.

R.T. – Muzyka też się nie obroniła. Ulubioną przez wszystkie totalitaryzmy formą pacyfikowania kultury była „pieśń masowa”, często w rytmie marsza, najpierw upajająca tłumy rewolucyjnym entuzjazmem, nieco później zagrzewająca do niewolniczej pracy. Pieśń masową jako zadanie dla twórcy wynaleźli bolszewicy, udoskonalili hitlerowcy, upowszechnili stalinowcy. W Polsce po 1956 r. śpiewano ją na pochodach i akademiach, ale ponieważ Gomułka gustował w „zespołach pieśni i tańca” w rodzaju „Mazowsza” i „Śląska”, stopniowo zniknęła z repertuaru radia i telewizji. Za Gierka unikano przypominania czasów Gomułki, w zamian próbowano wywołać nostalgię za latami Bieruta, a stalinowską pieśń masową chętnie wykonywano w nowych aranżacjach. Jaruzelski, który wielu osobom nasuwał skojarzenia z Pinochetem, przywrócił nie tylko obozy odosobnienia, ale także marsze w telewizji. Mnie – pozwolę sobie na osobiste wspomnienie – pieśń masowa kojarzyła się jednoznacznie: w grudniu 1970 r.



na Montelupich budzono więźniów wiązanką takich pieśni, nadawanych z głośnika umieszczonego nad drzwiami celi.

J.E. – W 1950 r. w konkursie na pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, zniszczony jesienią 1989 r., główną nagrodą miał być zachodni sportowy samochód (choć ostatecznie skończyło się „tylko” na škodzie). Porównując do dzisiejszych standardów to tak, jakby nagradzać zwycięzcę – czy ja wiem – helikopterem? Inny przykład: Leopold Staff na urodziny dostał od premiera Józefa Cyrankiewicza w pełni umeblowane mieszkanie w Alei Róż. A mówimy przecież o zrujnowanej Warszawie z początku lat pięćdziesiątych, kiedy po kilka rodzin mieszkało w jednym mieszkaniu. Takich przykładów można by podać więcej. Mówi się, że jest to wulgaryzowanie problemu, sprowadzanie wszystkiego do pieniędzy – były przecież jakieś ideały, zapaf i fascynacja nowym itd. Nie neguję tego, choć oczywiście trudno ustalić, która z tych rzeczy u kogo przeważała. Czy jest zresztą coś piękniejszego dla twórcy niż robić to, co się lubi i uważa za ważne i potrzebne, a jeszcze dodatkowo dostawać za to imponujące honoraria?

Badacz tej epoki Dariusz Jarosz odszukał dokument z 1959 r. zawierający uwagi kierownika Wydziału Propagandy KC PZPR Andrzeja Werblana dotyczące zarobków literatów za 1958 r. Zirytowany utyskiwaniami pisarzy na to, że ciągle źle im się powodzi, na podstawie ustaleń Najwyższej Izby Kontroli zestawiał wykaz rocznych i miesięcznych zarobków niektórych twórców, przy czym w wyliczeniach tych nie uwzględnił dochodów z tytułu honorariów za artykuły prasowe oraz ze „stałych zajęć poza dziedziną sztuki” (na przykład pracy na uczelniach). A zatem w przypadku wielu literatów rzeczywiste dochody były jeszcze wyższe. Jest to wręcz szokujący dokument. Okazuje się bowiem, że w czasie, kiedy średnia miesięczna płaca w przemyśle wynosiła około 1700 złotych, na przykład Jarosław Iwaszkiewicz zarabiał ponad 35 tys. miesięcznie, Janusz Messner i Jerzy Jurandot po ponad 25 tys., a Roman Bratny – prawie 13 tys. złotych. Jeszcze wyższe dochody osiągnęli spadkobiercy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – ponad 20 tys., Tadeusza Boya-Żeleńskiego – blisko 33 tys. oraz Juliana Tuwima – ponad 53 tys. Myślę, że te kwoty z powodzeniem można w skali jeden do jednego porównywać z dzisiejszą wartością złotówki. Aspekt materialny z pewnością więc też był ważny. Ale był jeszcze trzeci czynnik.

Myślę tutaj o strachu czy może raczej o strachach. A zatem lęk przed milczeniem: jeżeli nie będę pisał i moje teksty nie będą drukowane, nie będę miał szansy literacko zaistnieć i znajdę się w historycznym niebycie. Były oczywiście i inne strachy, że trzeba pisać tak, żeby to było cenzuralne, strach przed utratą tej dobrej sytuacji materialnej. Jak mnie wyrzucą ze związku, to skończą się wczasy w Oborach, wyjazdy, sympozja, konferencje, stypendia zagraniczne. Kto w Polsce w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych mógł sobie na to pozwolić? A kto chciał sobie na to pozwolić? Wreszcie ten strach może najbardziej dotkliwy, do którego

ludzie najmniej chętnie się przyznają – strach przed bólem, przed więzieniem, przed fizycznym unicestwieniem. Mamy przykłady pisarzy (Paweł Jasienica), o których nie można powiedzieć, że zostali zamordowani, ale wokół których stworzono tak obrzydliwy klimat insynuacji i pomówień, że przyczynił się on do ich przedwczesnej śmierci. Każdemu człowiekowi trudno żyłoby się w klimacie donosicielstwa, inwigilacji, szkalowania w mediach. Artystom, z racji ich wrażliwości, bronić się przed tym wszystkim było zapewne jeszcze trudniej. Wszystko to można też odnieść do innej ofiary Marca 1968: Jerzego Zawieyskiego, choć w tym przypadku nie możemy wykluczyć, że pisarz został zamordowany. Władza komunistyczna potrafiła bowiem obsypywać twórców dobrami i zaszczytami, jak może żadna inna. Wszelako potrafiła też ich tak skrzywdzić i niszczyć, jak żadna inna.

B.P. – Kraków jest szczególnym miastem (choć myślę, że wśród mniejszych miast prowincjonalnych można by znaleźć podobne), gdzie zniszczenia wojenne były nikłe, a wojna nie odmieniła istotnie wizerunku społecznego. Czy można powiedzieć, że powojenna kultura rozwijała się inaczej, niż to wynika z obrazu ogólnego? Na razie jeszcze mówimy o tym najgorszym okresie, o stalinizmie. Czy bycie artystą w Krakowie w jakikolwiek sposób różniło się od bycia nim w Warszawie?

R.T. – Przede wszystkim twórcy w Krakowie mieli mniejsze możliwości współpracy z władzą. Poza tym trzeba pamiętać, że na życie kulturalne Krakowa ogromny wpływ wywarli warszawiacy, w tym twórcy i inteligencja, którzy przyjechali po Powstaniu Warszawskim i zostali przynajmniej na parę lat. Na pewno w Krakowie wszystkiego było mniej niż w Warszawie – możliwości, apanaży, posad. Równocześnie było nieco więcej spokoju. Kraków nie miał takich doświadczeń, jak Powstanie Warszawskie, których władza nie lubiła, a o których pamięć stanowiła dla niej wciąż aktualne zobowiązanie.

B.P. – Myślę o czymś innym, co może niełatwo opisać. Społeczeństwo Warszawy ocierało się o zgrozę i ohydę zniszczeń wojennych. Obcowano się na co dzień z czymś, co nie tylko jest ruiną, jest śladem po tym, co zostało bezwzględnie zniszczone. Wyobrażam sobie, że w mieście, które ocaliło swoje zabytki, instytucje, świątynie, od setek lat wyznaczające rytm polskiej kultury, były w społeczeństwie inne nastroje.

R.T. – Pewnie tak, chociaż i przed Krakowem stanęło niezwykle wyzwanie, gdy wymyślono, że będzie on małym, starym miasteczkiem, przy którym wyrośnie Nowa Huta, wielka i nowoczesna aglomeracja.

J.E. – Zadałbym jeszcze dalsze pytanie. Czy to, że w niektórych domach na ścianach nadal wisiały mniej lub bardziej cenne płótna, przynajmniej w jakimś stopniu nie chroniło przed nowym, które mógł symbolizować obraz



„podaj cegłę”? W Warszawie rzeczywiście panowała ohyda ruin, a w Krakowie była porcelana, książki, obrazy, dywany. Takie piękno codziennego dnia.

B.P. – A w Warszawie jedyne obrazy wisiły w urzędach publicznych, przedstawiały facetów z czerwonymi sztandarami, w sportowych gatkach i podkoszulkach. Czy można jakoś podsumować zniszczenia, które w polskiej kulturze zostały po okresie stalinowskim?

J.E. – Wbrew pozorom nie zniszczono tak wiele. W Warszawie powstał Pałac Kultury i Nauki, MDM, Muranów i kilka nowych dzielnic na obrzeżach. Ale w tym samym czasie założono całe nowe miasta: Tychy czy Nową Hutę. Poza architekturą, która z natury rzeczy jest trwała, jestem zdania, że socrealizm – jeśli chodzi o estetykę – nie zniszczył aż tak wiele. Bardzo szybko okazało się, że malarze potrafią malować nie tylko sportowców i robotników. Że pisarze potrafią pisać nie tylko o wydobywaniu węgla i przodujących brygadach robotniczych. Że filmowcy potrafią mówić mimo cenzury i wszystkich ograniczeń o sprawach naprawdę ważnych, dotyczących historii narodu i społeczeństwa, a nie tylko o wydumanych problemach w tak zwanych produkcyniakach. Myślę, że w sferze mentalności te zmiany nie okazały się na szczęście zbyt trwałe i głębokie. Pozostały natomiast ślady: książki w bibliotekach, do których można sięgnąć po zapis tamtych lat, pozostały obrazy i rzeźby, które – jak widzieliśmy w filmie Andrzeja Wajdy – leżą gdzieś w muzealnych magazynach i tylko okazjonalnie są eksponowane. Socrealizm tym się charakteryzował, że nie zakorzenił się zbyt głęboko, ale był za to powszechny.

B.P. – Ja jednak myślę, że tych pozostałości jest więcej. Proszę nie zapominać, że odbiorcami kultury są ludzie w różnym wieku i rodowodzie. Powojenne pokolenie było wychowywane w estetyce socrealizmu, atakującej wzrok i słuch. Stąd bierze się najpierw moda na estetykę meblościanki, a następnie gładkie tyknięcie kultury masowej.

R.T. – Dotąd mówiliśmy głównie o kulturze elity, ale jest też oczywiście kultura mas, które nie czytają książek albo czytają ich bardzo niewiele, raczej czytają prasę. Prasa była najstarszym ogniwem w tej mozaice masowych działań kulturalnych, które tworzył PRL. Polska powojenna była na szarym końcu w Europie pod względem liczby tytułów prasy. W PRL wychodziło mniej gazet niż w Rumunii. Jeżeli mówimy, że w 1956 r. coś się radykalnie zmieniło, to mówimy o kulturze elit. Następna dekada czy następne piętnaście lat tak daleko nie odbiegły od tego, co było w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

A równocześnie stało się coś strasznego w kulturze polskiej po 1956 r. i w latach sześćdziesiątych. Większość społeczeństwa zdecydowanie odwróciła się od przeszłości. Pojawiła się zaszczepiona przez komunistów pogarda dla tego, co było pamiątką po minionych pokoleniach, co na-

leżało do historii narodu. Ludzie bez żadnej refleksji, bez żadnego żalu rozstali się z dorobkiem pokoleń, na przykład z meblami...

B.P. – ...które po prostu wyrzucano na śmietnik.

R.T. – Wtedy w nielicznych antykwariatach można było za grosze kupić stare książki, stare pocztówki, monety, broń. To wszystko traktowano jak niepotrzebne śmieci.

Jednak w historii PRL dwukrotnie doszło do rewolucji kulturalnej, niezależnej od systemu, od reżimu, Sowietów. To były rewolucje cywilizacyjne. Najpierw, na początku lat sześćdziesiątych telewizja stała się nośnikiem kultury. Nie książka, nie gazeta, nie radio, nie teatr ani kino, lecz telewizja. To był moment przełomu. Nie wiem, czy byłby możliwy socrealizm w telewizji, szczególnie na początku, gdy władza jeszcze nie umiała zagospodarować tego nowego medium. W końcu lat siedemdziesiątych oglądałem telewizję na Kubie. Pokazywano bieżące wiadomości i programy polityczno-publicystyczne, a ponadto głównie przedwojenne amerykańskie filmy, czasem nawet nieme, którymi zapełniano kilka godzin programu. Filmy socrealistyczne, produkowane w państwach komunistycznych, były czymś bardzo rzadkim, a sowieckich produkcji nie nadawano, bo poza Sowietami nikt na świecie nie był w stanie tego oglądać.

J.E. – Władze komunistyczne dość długo nie doceniały propagandowych możliwości telewizji. Na pewno nie doceniał ich Władysław Gomułka i może właśnie dlatego lata sześćdziesiąte to były złote lata Teatru Telewizji, Kabaretu Starszych Panów, wielu znakomitych programów satyrycznych, Jana Kociniaka i Jana Kobuszewskiego czy Jacka Fedorowicza i Bogumiła Kobieli. Zapomina się też często o telewizyjnym uniwersytecie dla nauczycieli i o tym, że w telewizji odbywały się pasjonujące dyskusje na wiele ważnych tematów. A wszystko to działo się w okresie funkcjonowania cenzury i dyrektyw płynących z Biura Prasy KC! Gwoli prawdy trzeba tu przypomnieć, że w znacznym stopniu działo się tak za sprawą tego samego Włodzimierza Sokorskiego, który w okresie stalinowskim jako minister kultury i sztuki doglądał dzieł socrealistycznych, a w latach 1956–1972 był liberalnym – jak na standardy realnego socjalizmu – prezesem Komitetu do spraw Radia i Telewizji. W latach sześćdziesiątych telewizja była naprawdę dobrej jakości, również pod względem zagranicznych zakupów. Co prawda filmów zachodnich nabywano niewiele, ale kupowano zwykle rzeczy najlepsze.

Podobnie było z zakupami filmów do kin. Oczywiście nie wszystko z amerykańskiej produkcji filmowej można było pokazać w PRL z powodów cenzuralnych (politycznych!), były też niekiedy obrazy po prostu zbyt drogie, jak na standardy gomułkowskiego „siermiężnego socjalizmu”, ale dwadzieścia amerykańskich filmów pokazywanych w Polsce w skali roku było zwykle najciekawszymi dokonaniem tamtejszej kinematografii. Może



brzmi to trochę jak pochwała polityki kulturalnej epoki Gomułki, ale – pamiętajmy – za Gierka zaczęła się już komercjalizacja telewizji i repertuaru kinowego. W tym czasie klasa zachodnich filmów sprowadzanych do Polski znacznie się pogorszyła. I mimo że trudno mi to powiedzieć, to pod tym względem okres Gomułki był najlepszy. Chociaż Gomułka był dogmatykiem i doktrynerem, choć zwalczał intelektualistów, to aż do czasu powstania drugiego obiegu właśnie w latach sześćdziesiątych kultura miała się w Polsce relatywnie najlepiej. Nie było już tego okropnego gorsetu socrealizmu, ale też nie było jeszcze tego propagandowego skretynienia lat siedemdziesiątych.

R.T. – A jednocześnie nastąpił gigantyczny przyrost oglądalności telewizji. W 1960 r. było 400 tys. odbiorników, a po dziesięciu latach już dziesięciokrotnie więcej. Początkowo chodziło się do sąsiadów, a na wsi do klubokawiarni, jednak na początku lat siedemdziesiątych telewizja stała się ogólnodostępna. Wtedy właśnie dostrzeżono jej znaczenie propagandowe. Reżim zrozumiał, że tak powszechne medium trzeba jakoś wykorzystać.

B.P. – **Ja z pewnym uporem powrócę do społecznej roli kultury. Naturalnie, twórcy należą do elity, ale zadaniem twórców, i nie jest to wymysł państwa socjalistycznego i komunistów, jest rola koryfeusza. Zarzuca się Polakom (a jest to zarzut, by tak powiedzieć, wewnętrzny i zewnętrzny), że jesteśmy narodem niekulturalnym, narodem, który ma małą wiedzę o kulturze światowej i jest mało nią przesiąknięty, również nie szanującym swojej własnej spuścizny kulturalnej.**

R.T. – Skąd się nauczyć zachowania przy stole, gdy w stołówce pracowniczej czy w barze mlecznym trzeba jeść aluminiową łyżką?

B.P. – **Cóż z tego, że filmowano *Lalkę*, czy *Pana Wołodyjowskiego*, skoro w szkole przekonywano, że tamte czasy i tamci ludzie byli po prostu beznadziejni. Nie wiadomo, po co Polacy walczyli, o co walczyli, a dopiero socjalistyczne czasy są wypełnione treścią i formą. Kultura obyczaju, dobre wychowanie były ośmieszane, a w najlepszym razie egzotyczne.**

J.E. – Ma pani rację mówiąc, że to, co się nazywa kulturą użytkową, kulturą społeczną, powszechną, zostało straszliwie zrujnowane.

R.T. – Dodajmy do tego zniszczenie krajobrazu.

J.E. – Na przykład nie musimy mieć żadnych kompleksów, jeśli chodzi o poziom starych, dobrych polskich uczelni. Niezależnie od ekonomicznej mizerii na pewno w wielu dziedzinach nie ustępują najlepszym uni-

wersytetom na świecie. Ale jeśli zejdziemy na niższy poziom, przestaje być tak dobrze. Pojawia się wówczas statystyka mówiąca o tym, że przeciętny obywatel czyta w Polsce pół książki rocznie. Jednocześnie przypominamy sobie powszechne schamienie i zdziwienie obyczajów, braki w elementarnej kulturze, dziwne gusta, nad którymi boleją socjologowie (na przykład fenomen disco polo albo fascynacje tandetną literaturą czy najgorszym kinem).

R.T. – Są jeszcze dwa obszary przestrzeni kulturowej spustoszone przez komunizm. Mówiliśmy o wystroju wnętrz, o wyglądzie sklepu, mieszkania, biura, jadłodajni. Trzeba pamiętać o tym, jak zniszczona została turystyka. Polacy na dziesięciolecia zostali zamknięci w granicach PRL, a później w granicach obozu komunistycznego. Ksenofobia, strach przed obcym, poczucie skrępowania wobec innej kultury – to jest spuścizna tamtych czasów. Zjawisko kulturowe, które pojawiło się na świecie w latach pięćdziesiątych, a które następnie rozwinęło się na ogromną skalę – podróżowanie, poznawanie świata, zwiedzanie, podziwianie zażytków, galerii, muzeów, krajobrazów, okazów przyrodniczych – było nieznane Polakom. Mogli wprawdzie pojechać do Bułgarii, ale tam była ta sama cywilizacyjna zapaść, tylko w trochę innej oprawie. Skutki tego są do dziś odczuwalne.

Druga dziedzina wielkich zniszczeń w szeroko rozumianej kulturze to sport, który stał się polem ideologicznej rywalizacji między Wschodem a Zachodem. Przynajmniej na Wschodzie przestał być rozrywką, przyjemnością, rodzajem samorealizacji. Sport jako rekreacja został wyeliminowany, ponieważ okazał się politycznie podejrzany, a dyscypliny takie jak tenis, jazda konna czy żeglarstwo uznano za przeżytki kapitalizmu.

B.P. – **W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstaje zorganizowana, co nie znaczy, że uznawana, opozycja polityczna. Towarzyszy temu również ożywienie mikrośrodków opozycyjnych w dziedzinie animowania ruchu o charakterze kulturalnym. To trwa już do końca komunizmu. Ważną rolę mecenasa czy patrona w tej dziedzinie odgrywał Kościół, ale nie tylko. W Warszawie taką rolę przyjęło na siebie małżeństwo Walendowskich, organizując w swoim mieszkaniu dyskusje intelektualistów i artystów.**

R.T. – Opozycja lat siedemdziesiątych tworzyła całą bogatą infrastrukturę oporu przeciwko zakłamaną i ocenzurowanej kulturze schyłkowego PRL. Opozycyjne przedsięwzięcia kulturalne i edukacyjne pełniły podwójną funkcję. Po pierwsze, dawały poczucie uczestnictwa tym wszystkim, którym nie starczało determinacji do zaangażowania się w działania ściśle polityczne, którzy nie mieli predyspozycji do pracy w konspiracji (a tego wymagała na przykład podziemna poligrafia), którzy woleli balansować na krawędzi między strefą jeszcze dozwolonej krytyki a już zakazanej





niezgody. Po drugie, stanowiły dla opozycji politycznej naturalne zaplecze, teren poszukiwania i pozyskiwania nowych zwolenników, a także „rozmiękczenia” reżimowych elit. Jednak niezależna kultura tego okresu, mimo jej dynamicznego rozwoju, wciąż była zjawiskiem marginalnym. Natomiast zupełnie inny był jej zasięg w latach osiemdziesiątych, a to za sprawą Kościoła, który opozycyjnym inicjatywom otworzył drzwi świątyni, plebanii, domów katechetycznych, ośrodków duszpasterskich. Niezależna kultura stała się konkurencyjna wobec oficjalnej nie tylko pod względem poziomu, ale i liczby odbiorców.

Opisując dzieje polskiej kultury, zamkniętej w klatce PRL-u, warto pamiętać o zmianach na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Właśnie wówczas muzyka stała się nowym sposobem komunikowania się młodych ludzi. To muzyka otworzyła Polskę na świat, pomimo że granice pozostały zamknięte. Ponieważ ta muzyka, w Polsce początkowo nazywana big-beatem, pochodziła z angielskiego obszaru językowego, nagle nabrała sensu nauka angielskiego, wcześniej całkowicie nieprzydatnego. Pojawił się też po raz pierwszy drugi obieg wydawniczy – były to wydawnictwa fonograficzne, popularne „pocztówki dźwiękowe”, zastępujące prawdziwe płyty i upowszechniające zachodnie nowości muzyki rozrywkowej. Komuniści początkowo nie rozumieli zjawiska buntu pokoleniowego na Zachodzie, sądzili, że będzie on sprzyjać lewicowym partiom i poglądom. Fachowcy od inżynierii dusz usiłowali interpretować młodzieżową kontestację na Zachodzie jako objaw rozczarowania kapitalizmem i parlamentarną demokracją. Dlatego do Polski mogły wówczas przyjechać najbardziej „zbuntowane” zespoły muzyczne, jak The Rolling Stones czy The Animals, dlatego w prasie pojawiły się życzliwe reportaże o amerykańskich hippisach, a telewizja pokazała kilka filmów z udziałem długowłosych muzyków. Reżim zaczął się niepokoić dopiero zachowaniem polskiej młodzieży na koncertach zachodnich (a także rodzimych) zespołów. Podjęto więc próbę zaadaptowania tej muzyki do ideologicznych potrzeb: zespoły rockowe zaczęły eksploatować rodzimy folklor, zespół No To Co przebrał się w stroje z Cepelii, inni stylizowali się na rosyjskich czy ukraińskich wieśniaków. Taka sytuacja bardzo szybko doprowadziła do powstania muzycznego „undergroundu”, przemilczanego przez oficjalną krytykę, ale zwalczanego przez milicję. Rewolucja obyczajowa, którą zapoczątkowała muzyczna rewolta, przyniosła radykalne zmiany w modzie, w zachowaniu, w stylu bycia.

B.P. – Rozpoczyna się zatem pewien proces. Pojawia się wiele zmian, które układają się w kierunkowy wektor. To jednocześnie jest ten czas, kiedy do kraju na znacznie większą skalę zaczynają docierać wydawnictwa paryskiej „Kultury” i innych oficyn wydających w języku polskim na Zachodzie. Nie chcę popadać w przesadę, twierdząc, że Giedroyc trafił pod strzechy. Warto i temu poświęcić trochę czasu, bo to jest wyzwanie dla rodzimych twórców. Tą samą drogą, czyli przez przemysł z Zachodu, zaczyna docierać prasa. System jest bombardowany, drobną być może, ale amunicją z zewnątrz.

R.T. – Trudno jest przecenić wpływ emigracyjnej literatury czy myśli politycznej, ale krąg odbiorców przemycanych wydawnictw – choć opinio-
twórczy – był nadal niesłychanie wąski. Znacznie większy wpływ na zmiany w świadomości społecznej, szczególnie młodzieży, miały płyty przywożone z Zachodu.

J.E. – Do tego Radio Luksemburg i Radio Wolna Europa.

B.P. – **Również to, co dociera do nas ze Wschodu, jest już nieco innej jakości. Nie wiem, jak dalece kulturotwórczy może być balet klasyczny, niemniej sam fakt, że można go oglądać, że zaczynają do nas docierać wielkie produkcje kina sowieckiego, Bułat Okudźawa, Włodzimierz Wysocki. Ci ostatni spowodowali to, że wbrew patriotycznemu obowiązkowi nienauczenia się rosyjskiego, przynajmniej garstka ludzi otworzyła się na ten język jako nośnik pewnej kultury. Przesztano nam pokazywać filmy rewolucyjne typu *Z iskry rozgorzeje płomień*.**

J.E. – Takie fascynacje są charakterystyczne naprawdę dla wąskich elit, podczas gdy przedtem mówiliśmy o kulturze masowej. Ale takie elitarne mody obejmowały również inne dziedziny: chyba nigdzie na świecie nie było takiej fascynacji literaturą iberoamerykańską, jak w Polsce. To jest porównywalne chyba jedynie z kultem Williama Whartona w Polsce w latach dziewięćdziesiątych.

Obserwowane pod koniec lat sześćdziesiątych i w następnej dekadzie zmiany obyczajowe były w znacznym stopniu konsekwencją zmiany generacyjnej. Do końca nie zdajemy sobie bowiem sprawy z tego, jak były one powszechne. Wystarczy przypomnieć, że będące tyleż wyrazem mody, co jednym z przejawów pokoleniowego buntu długie włosy nosili zarówno uczniowie, jak i studenci oraz młodzi robotnicy.

R.T. – Nawet można powiedzieć, że walczyli o prawo do ich noszenia. To był zdecydowanie element buntu.

J.E. – Z czasem pojawiła się też – znów importowana z Zachodu – moda na noszenie brody i wąsów. I także to, choć dzisiaj może brzmieć to niezupełnie poważnie, było formą sprzeciwu. Nie lekceważyłbym jednak tego wszystkiego. W państwie rządzonej po dyktatorsku te odmienności w wyglądzie, sposobie ubierania się, mówienia itd. powoli powodowały wyłom w monolocie, bo przecież wszystko miało być z góry zaprojektowane...

B.P. – **...jak fason mundurków Chińczyków, nie rozróżniający nawet ludzkiej płci.**

J.E. – Indywidualizm nie był pożądaną cechą. Choć z drugiej strony, gdy wszyscy, lub przynajmniej bardzo wielu, chcą wyglądać podobnie, to co to za indywidualizm. Pojawia się coś w rodzaju „indywidualizmu wielu”. Na to nakłada się jeszcze jedna sprawa. Otóż pokolenie dorastające w latach sześćdziesiątych, pierwsze urodzone i wychowane w powojen-



nej Polsce, dzięki sprowadzanym filmom po raz pierwszy choćby bardzo wyrętkowo i powierzchownie poznawało jakieś fragmenty życia w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej. Młodzi Polacy zobaczyli, jak tam żyją i wyglądają ich rówieśnicy.

B.P. – Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt czy konsekwencje polityki kulturalnej PRL. Do niedawna jeszcze niedawna 50 proc. polskiego społeczeństwa stanowili mieszkańcy wsi. My sobie tutaj rozmawiamy o tym, co się działo w mieście, co natomiast się działo na wsi? Pan zaczął od tego, w 1948 r. zlikwidowano wszelkie przejawy niezależnego życia społecznego na wsi, wynikające z tradycji. Telewizja dotarła na wieś znacznie później niż do miasta i przez długie lata stanowiła jedyną możliwość kontaktu z kulturą. Dzieci wiejskie, gdy przyjeżdżały na wycieczki do miasta, chodziły do ogrodu zoologicznego albo do cyrku. Wieś pod względem życia kulturalnego była absolutnie jałową ziemią. Pomijam tutaj Cepelię czy zespoły folklorystyczne, bo one z kulturą miały tyle wspólnego, co praca Stanisława Tyma jako „kaowca” na statku w filmie „Rejs”.

R.T. – Cepelia to też był ważny produkt systemu, bo kulturę ludową trzeba było odsakralizować, pozbawić wątków patriotycznych, narodowych. Trzeba było wyprodukować sztuczną kulturę ludową, aby zastąpić nią tę prawdziwą, mocno przesiąkniętą wiarą i duchem wolności. A możliwości komunistów były tym większe, w im większym zacywilizacyjnym pograżona była polska wieś. Byłem latem 1969 r. pod Łodzią we wsi, która – *nomen omen* – nazywała się Prawda, a z której trzeba było przejść parę kilometrów do sąsiedniej wsi, żeby w telewizji zobaczyć lądowanie człowieka na Księżycu. Problemem był nie tylko brak odbiornika telewizyjnego – we wsi Prawda nie było elektryczności.

Ale w tym właśnie czasie pojawiło się nowe zjawisko. Otóż Kościół, który też rozwijał i doskonalił rozmaite formy duszpasterstwa, znalazł nowe narzędzia społecznego oddziaływania. Powstały oazy, sakrosong, rozwinął się ruch pielgrzymkowy. Narodził się wielki ruch społeczny wokół Kościoła, który objął także wieś i małe miasteczka.

Minęło kilkanaście lat i znów zdarzyło się coś niezwykłego. Mówiliśmy wcześniej, że pierwsza rewolucja kulturalna nastąpiła wtedy, gdy w Polsce upowszechniła się telewizja. Ale za nią przyszła druga – w połowie lat osiemdziesiątych – z którą nie wiemy, jak by sobie komunizm poradził: powszechny dostęp do ksero, komputerów, skanerów, anten satelitarnych. Wyobraźmy sobie, że w latach KOR-u działałyby na przykład kserografy czy komputery. A przecież w PRL na zamontowanie pierwszych anten satelitarnych trzeba było mieć pozwolenie z bezpieki.

J.E. – Zimna wojna przyspieszyła rozwój środków związanych z przekazywaniem informacji. W latach osiemdziesiątych można było już sobie

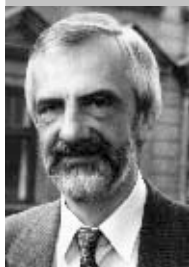
wyobrazić, że w chwilę po tym, jak w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego minister Jerzy Urban będzie mówił o garstce chuliganów w Nowej Hucie czy w Gdańsku, którzy zakłócali porządek publiczny, będzie można w którejś z zagranicznych telewizji zobaczyć wielotysięczne tłumy z biało-czerwonymi flagami i transparentami, obrzucane przez ZOMO granatami łzawiącymi. Jest oczywiste, że z czymś takim komunistom byłoby bardzo trudno sobie poradzić.

R.T. – Już wideo było czymś niezwykłym, bo społeczeństwo zaczęło uniezależniać się od telewizji.

B.P. – **A z podróży na Zachód przywoziło się już nie tylko książki, ale przede wszystkim kasety wideo, które mają tę swoistość, że łatwiej od książek można je kopiować.**

R.T. – Wcześniej pojawiły się magnetofony i możliwość powielania taśm. Może przesadzam, ale kto wie, czy dla obalenia systemu większych zasług od „Biuletynu KOR” nie mieli Zenon Laskowik czy Jan Pietrzak, którzy nauczyli młodzież śmiać się z totalitarnej władzy. Ich piosenek, przegrywanych na taśmach, słuchały setki tysięcy młodych ludzi, podczas gdy początkowo „bibułę” czytała kilkunastotysięczna garstka.

B.P. – **A jak wiadomo, śmiech też może być bronią, co na sam koniec historii PRL bardzo dobrze pokazały działania Pomarańczowej Alternatywy.**



Ryszard Terlecki, ur. w 1949 r., dr hab., historyk i publicysta, uczestnik antykomunistycznej opozycji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, naczelnik Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie. Zajmuje się historią najnowszą po 1945 r. oraz historią nauki i oświaty w XIX i XX wieku. Autor między innymi: *Oświata dorosłych i popularyzacja nauki w Galicji w okresie autonomii*, Wrocław 1990; *Dyktatura zdrady. Polska w 1947 r.*, Kraków 1991; *Uniwersytet latający i Towarzystwo Kursów Naukowych w latach 1977–1981*, Kraków–Rzeszów 2000.



Jerzy Eisler, ur. w Warszawie w 1952 r. jest naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie oraz docentem w Instytucie Historii PAN. W Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego prowadzi seminarium magisterskie i wykłady monograficzne na temat powojennej historii Polski. Jest znawcą najnowszych dziejów Francji (ważniejsze publikacje: *Od monarchizmu do faszyzmu. Koncepcje polityczno-społeczne prawicy francuskiej 1918–1940*, Warszawa 1987; *Kolaboracja we Francji 1940–1944*, Warszawa 1989; *Philippe Pétain*, Wrocław 1991) oraz historii politycznej PRL (*Marzec 1968. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 1991; *Zarys dziejów politycznych Polski 1944–1989*, Warszawa 1992; *List 34*, Warszawa 1993; *Grudzień 1970. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2000).

INŻYNIEROWIE DUSZ

Komunistyczni inżynierowie dusz, usiłując „wykuć” nowego człowieka, zmieniali jego system wartości, znaczenie dotychczasowych pojęć, a także historię Polski. Do tego celu wykorzystywano głośne sądowe procesy polityczne, które w drugiej połowie lat czterdziestych i w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych toczyły się w Warszawie.

Były to wielkie widowiska propagandowe z udziałem setek (często przymusowo ściągniętych z pracy) widzów, prokuratorów, obrońców (bywało, że odgrywających rolę prokuratorów) i wreszcie odpowiednio „spreparowanych” w śledztwie oskarżonych. Relacje z rozpraw trafiały na pierwsze strony najważniejszych gazet ogólnopolskich i regionalnych. Dodatkowo te istotniejsze były retransmitowane na żywo przez Polskie Radio. Sposób prowadzenia procesów politycznych oraz ich „oprawa” propagandowa przygotowywane były pod ścisłym nadzorem UB według najlepszych sowieckich tradycji z lat dwudziestych i trzydziestych.

Do najważniejszych rozpraw przed warszawskim sądem wojskowym, z których codzienna prasa zamieszczała dokładne sprawozdania, należały między innymi procesy:

- I, II i IV Komendy WiN (styczeń–luty 1947 r., sierpień–wrzesień 1947 r., październik 1950 r., 36 oskarżonych, 16 wyroków śmierci),
- Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej (grudzień 1947 r., siedmiu oskarżonych, dwa wyroki śmierci),
- dowództwa NSZ (luty 1948 r., 16 oskarżonych, dwa wyroki śmierci),
- działacza Stronnictwa Narodowego Adama Doboszyńskiego (czerwiec–lipiec 1949 r., jeden oskarżony, wyrok śmierci),
- Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu AK (listopad–grudzień 1950 r., sześciu oskarżonych, cztery wyroki śmierci),
- Stanisława Tatara i towarzyszy (lipiec–sierpień 1951 r. dziewięciu oskarżonych generałów, pułkowników i młodszych oficerów WP. W tym procesie najwyższy wyrok stanowiła kara dożywotniego więzienia, na którą skazano czterech generałów, natomiast w tak zwanych procesach odpryskowych, w których represjom poddano kadrę WP, na karę śmierci skazano blisko 40 wojskowych, z czego połowę wyroków wykonano),
- działaczy Stronnictwa Pracy (marzec–kwiecień 1951, pięciu oskarżonych, dwa wyroki dożywotniego więzienia. Jeden ze skazanych – Antoni Antczak – zmarł w więzieniu, sfalszowany stenogram rozprawy wydano pod mówiącym wiele tytułem: *Sojusznicy Gestapo*).

A w cieniu były „wielkie” procesy hitlerowców, z tych najważniejszych: załogi obozu w Oświęcimiu (dwa procesy: 40 członków załogi oraz komendanta obozu Rudolfa Hössa), gauleitera Kraju Warty Arthura Greisera czy szefa rządu Generalnego Gubernatorstwa, zastępcy Hansa Franka – Josefa Bühlera.

Procesy polityczne dotyczyły wszystkich najważniejszych grup społecznych, nie mogło więc zabraknąć i księży. Rozpoczęły się one najpóźniej (bo przecież najpierw trzeba było rozprawić się z innymi wrogami), ale też miały szczególne znaczenie propagandowe, uderzały bowiem w samą „duszę” społeczeństwa. Do najbardziej znanych należały procesy:

- krakowskiej Kurii Metropolitalnej (styczeń 1953 r., siedmiu oskarżonych, trzy wyroki śmierci, stenogram rozprawy wydano pod tytułem: *Proces księdza Lelity i innych agentów wywiadu amerykańskiego*),
- biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka (wrzesień 1953 r., pięciu oskarżonych, biskup skazany został na 12 lat więzienia).

Głównym zadaniem procesu politycznego była zmiana świadomości ludzi (a nie jak w normalnym państwie – ukaranie winnych przestępstwa), ukazanie im, w jakim bagnie moralnym dotychczas – czyli w Polsce przedwojennej – żyli, jak perfidnie byli oszukiwani przez rządzących. Chodziło także o zniszczenie legendy okupacyjnego i powojennego podziemia niepodległościowego. *Homo sovieticus* winien być przekonany, że zna – dzięki prasie rządowej i wydawnictwom propagandowym – prawdziwe kulisy sprawowania władzy w Polsce w dwudziestolecie międzywojennym, przedstawiane według teorii policyjno-spiskowej. Człowiek PRL mógł więc się dowiedzieć, że dowództwo AK kontynuowało zbrodniczą politykę Becka i Rydza-Śmigłego, współpracując z hitlerowskimi Niemcami, rozumiał, że wybuch Powstania Warszawskiego był uzgodniony z Niemcami, a jedynymi prawdziwymi patriotami, walczącymi o niepodległość Polski, byli komuniści, których reakcjoniści z AK i Delegatury Rządu bez skrupułów wydawali w ręce gestapo, w zamian za uwolnienie członków „londyńskiej”, a więc udawanej (prowadzącej pozorowaną walkę z Niemcami zgodnie z „teorią stania z bronią u nogi”) konspiracji. W ten sposób dokonano zamiany znaczeń takich słów jak honor, patriotyzm, niepodległość.

Skoro więc społeczeństwo dowiedziało się, że wszyscy bohaterowie to zdrajcy, renegaci, niemieccy agenci, mordercy działaczy demokratycznych i chłopów, wówczas „Trybuna Ludu” i reszta gazet obwieściły, że księża to agenci angielskich i amerykańskich wywiadów, wcześniej wysługujący się gestapo.

Gdyby były to niczym nie poparte twierdzenia, ich wpływ na społeczeństwo byłby znikomy. Jednak oskarżenia pod adresem najwybitniejszych autorytetów Polski przedwrześniowej oraz bohaterów walk o niepodległość kraju, tak ochoczo nagłaśniane przez prasę komunistyczną, były wypowiedane przez przedwojennych działaczy politycznych, pracowników aparatu rządowego, żołnierzy Polski Podziemnej, niejednokrotnie bohaterów Orderu Krzyża Virtuti Militari, osoby cieszące się powszechnym poważaniem.

System komunistyczny udowodnił bowiem, że każdego człowieka można złamać. W zamian za zaprzestanie stosowania niewyobrażalnych tortur, za nadzieję otrzymania kary tylko dożywotniego więzienia przestuchiwani przez wiele miesięcy w podziemiach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej w Warszawie zamieniali się w ludzkie strzępy i gotowi byli podpisać każdy protokół przesłuchania. Byłe przestali bić, byle można było choć na chwilę zdrzemnąć się po tygodniowym, prowadzonym bez godziny przerwy przesłuchaniu, w czasie którego zmieniali się tylko oficerowie śledczy. Nie ma człowieka, który by to wytrzymał.

Większość oskarżonych i świadków godziła się na rolę, którą wyznaczili im oficerowie bezpieki i specjaliści od propagandy. Na rozprawie publicznej odpowiadali ściśle według planu ułożonego wcześniej przez nadzorujących śledztwo. Nawet jeśli główny oskarżony nie grał zbyt dobrze narzuconej mu roli, to nie brakowało świadków, którzy znakomicie uzupełniali luki w materiale. Atmosferę rozprawy podgrzewała publiczność, która często głośnieymi wyrazami oburzenia reagowała na zeznania oskarżonych i świadków.

Prokurator (w tej roli zwykle występował w warszawskich procesach Stanisław Zarako-Zarakowski), jako *vox populi*, w pełnej agresji i nienawiści mowie oskarżycielskiej starał się przedstawić oskarżonych jako zdegenerowanych osobników, których należy wyeliminować

ze społeczeństwa, w czym – zdarzało się – wtórował mu obrońca (adaptacja do polskich warunków elementu sowieckiej praktyki sądowej – nieznanego w prawie państw cywilizowanych). Różnica polegała na tym, że adwokaci z reguły ograniczali się do potępienia winy oskarżonego i domagali się łagodnego wyroku.

W tym kontekście warto wspomnieć o białostockim prokuratorze Ireneuszu Bolińskim. Był w Białymstoku tylko rok, ale wystarczająco długo, by stać się postrachem wszystkich sędziów, których oskarżał – żądał bowiem tylko jednego wymiaru kary – kary śmierci. Zwykle rozprawom prowadzonym w trybie doraźnym przewodniczył ppłk Włodzimierz Ostapowicz, który zawsze zgadzał się z wnioskiem prokuratora. Na tak zwanych sesjach wyjazdowych (we wsiach i miasteczkach z udziałem przymusowo spędzonej miejscowej ludności) wydawali taśmowo wyroki śmierci. Potrafili skazać w lutym 1947 r., gdy już tajemnicą poliszynela była przygotowywana przez sejm ustawa o amnestii (uchwalona 22 lutego 1947 r.), dwóch chłopów na karę śmierci za udzielenie „bandytom” pomocy: dachu nad głową i żywności.

Szyderstwem historii był następujący fakt: Ireneusz Boliński, już jako adwokat, był obrońcą Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”, działającego do końca 1952 r. na Białostocczyźnie dowódcy oddziału WiN. W ten sposób władze bezpieczeństwa nie dały „Huzarowi” żadnych szans, gdyż miał przeciwko sobie nie tylko prokuratora, ale sędziego i swego obrońcę, najbardziej bezlitosnego prokuratora w dziejach sądownictwa komunistycznego na Białostocczyźnie. Wszystkie rozprawy żołnierzy z grupy „Huzara” miały charakter procesów pokazowych z udziałem publiczności.

Procesy polityczne w latach pięćdziesiątych były podstawowym źródłem do poznawania dziejów Polski. Zwykle na koniec każdego z nich wydawano stenogram rozprawy, który stał się dokumentem naukowym i służył za podstawę przy pracach historycznych nad danym tematem. Jeśli na rozprawie coś nie poszło według planu, poprawiano w stenogramie, w rezultacie wszystkie elementy układanki doskonale pasowały do siebie. Tak tworzone, nieznaną dotychczas, obowiązującą przez wiele lat PRL, wersję historii Polski.

Istotnym elementem tej „poprawianej” historii był proces Adama Doboszyńskiego. Doboszyński należał do środowiska młodych działaczy przedwojennego Stronnictwa Narodowego, był autorem manifestu politycznego *Gospodarka narodowa*, w którym wskazywał na „niebezpieczeństwo destrukcyjnych wpływów ideologii komunistycznej, wiązał je przez fakt, że w KPP działali w dużej mierze Żydzi [...], stawiał postulat Polski narodowej opartej na religii katolickiej”¹.

Był organizatorem głośnego w przedwojennej Polsce „marszu na Myślenice” (23 czerwca 1936 r.). Dowodzona przez niego grupa kilkudziesięciu narodowców opanowała nocą na kilka godzin leżące na Podhalu miasteczko, rozbiła posterunek policji, obrabowała mieszkanie starosty oraz rozbiła dwa żydowskie sklepy. Było to następstwo decyzji starosty myślenickiego, który uniemożliwił – wygrany przez tujejszych kuśnierzy przetarg na dostwę kozuchów dla Krakowskiej Dyrekcji Kolei. Decyzja o podłożu politycznym (starosta zwalczał narodowców) oznaczała utratę poważnego zamówienia, co miało ogromne znaczenie w dobie kryzysu gospodarczego. Za zorganizowanie „marszu” Doboszyński skazany został w 1938 r. na trzy i pół roku więzienia.

Po kampanii wrześniowej 1939 r., w której został ranny, przedostał się do Francji, gdzie zgłosił się do służby w Wojsku Polskim. Odrzucił propozycję objęcia ministerialnych urzędów, gdyż uważał, że walka jest najważniejsza. Nie zgodził się na współpracę SN z rządem Sikorskiego i wystąpił ze stronnictwa.

Jesienią 1946 r. Doboszyński postanowił wrócić do kraju w celu przeciwdziałania groźnemu powstaniu, które mogło grozić Polsce całkowitą zagładą resztek substancji narodowej.

Doboszyński przyznaje się do związków z faszyzmem i odsłania bagno emigracji polskiej

Pierwszy dzień procesu agenta hitlerowskiego

Dnia 18 czerwca br. przed Rejonowym Sądem Okręgowym w Warszawie stanął Adam Doboszyński. Rozprawie przewodniczył ppłk. Szyliński. Oskarżenie wnosi prok. płk. Zarukowski, obrońcą jest adw. Maślanko. Za zgodą stron uznano za odczytany akt oskarżenia (podajemy na str. 5 i 6) — ograniczając się do odczytania konkluzji, po czym oskarżony Doboszyński rozpoczął zeznania.

Adam Doboszyński na wstępie naświetlił swe środowisko społeczne podając m. in., że ojciec jego był posłem do parlamentu austriackiego i właścicielem, wychodzącym w Krakowie, dziennika „Nowa Reforma” oraz dwóch drukarni. Po ukończeniu Politechniki Gdańskiej, Doboszyński początkowo pracował w nabytym

pod którego kierownictwem pracowałem przez pół roku. Łączyły nas przyjazne stosunki”.

W lecie 1934 roku oskarżony wstąpił do Stronnictwa Narodowego i rozpoczął żywą działalność organizacyjną, poświęcając wiele uwagi pracy, w środowisku robotniczym i wiejskim.

Przechodząc do omawiania

le dalej. Można się tutaj dopatrzyć niewątpliwie wpływu ideologii hitlerowskiej, która wówczas bardzo silnie promieniowała na wszystkie kraje ościenne”.

W styczniu 1939 r. umarł Dmowski i Doboszyński — jak podaje — kandydował na wiceprzewodniczącego Stronnictwa. Rozgrywki polityczne w Stronnictwie Narodowym trwały aż do czerwca roku 1939, kiedy to prezesem Stronnictwa został ostatecznie Tadeusz Bielecki, sam zaś Doboszyński wszedł do Komitetu Głównego i przejawiał nadal aktywną działalność polityczną.

W Str. Narodowym oskarżony rozróżnia kierunek nacie

Siostra Doboszyńskiego, Jadwiga Malkiewicz, z którą spotkał się w Polsce, tak wspominała rozmowę z bratem: „Stwierdził, że nie przychodzi z żadną misją od kogokolwiek, a tylko po to, aby wyperswadować młodym ludziom tkwiącym jeszcze ciągle w lesie, aby wyszli, ujawnili się i rozpoczęli studia i normalne życie. Mówił, że nie zdają sobie oni wcale sprawy z tego, że nas alianci zdradzili w Jafcie, oddając Polskę *de facto* na pastwę Rosji. Tłumaczył, że wojna Zachodu z Rosją, na którą czekają, powinna mieć miejsce przed rokiem 1950, czyli przed prawdopodobną datą, kiedy Sowietci będą już mieli własną bombę atomową”.

Doboszyński nawiązał kontakt z wieloma znanymi osobami, głównie z kręgów przedwojennego i okupacyjnego Stronnictwa Narodowego, a także chadecji. Większość z nich spotkała się z nim na procesie w charakterze współoskarżonych.

Z planów i marzeń Doboszyńskiego (aresztowanego w lipcu 1947 r.) specjaliści od „zmięczania ludzi” z MBP zrobili spis, który miał na celu powołanie tajnego „obozu katolicko-narodowego”, który z kolei miał kierować dalszą walką zbroijną z Polską Ludową. Prowadzić ją miał Doboszyński na bazie działającego na Białostocczyźnie tak zwanego oddziału „Burego”, czyli III Wileńskiej Brygady NZW. Nie zdążył on rzekomo skontaktować się z tym oddziałem przed aresztowaniem (w rzeczywistości nie mógłby skontaktować się z kpt. Romualdem Rajsem „Burem”, gdyż ten w październiku 1946 r. rozwiązał oddział i ukrywał się w Elblągu, a następnie w Karpaczu). Doboszyńskiego oskarżono także o współpracę z wywiadem amerykańskim i niemieckim od 1933 r. Wątek ten w procesie był niezwykle drobiazgowo „wyjaśniany”.

Proces rozpoczął się 18 sierpnia 1949 r. „W trakcie procesu insynuowano, iż Doboszyński oferował swe usługi UB”². Procesowi towarzyszyła wielka kampania propagandowa we wszystkich najważniejszych gazetach, z „Trybuną Ludu” na czele.

Zadaniem głównym procesu w sensie propagandowym było zniszczenie legendy AK jako Wojska Polskiego w konspiracji walczącego o niepodległość kraju, dlatego też gazety – wykorzystując zeznania świadków – oskarżały członków sztabu głównego AK o „likwidację Grota-Roweckiego³ wspólnie z Abwehrą⁴”, o prowadzenie Powstania Warszawskiego w porozumieniu z Niemcami itd. Nie było bzdury, której propaganda reżimowa nie ogłosiłaby, byleby zohydzić w oczach społeczeństwa symbole uważane przez większość za niemal święte.

Drugim celem ataku propagandy było środowisko obozu katolicko-narodowego, obrzucono błotem znanych księży i działaczy katolickich, jak na przykład ks. Jana Piwowarczyka, który atakowany publicznie wkrótce po procesie zrezygnował z funkcji redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”. Nie był to jedyny powód jego rezygnacji. Atak na ks. Piwowarczyka wymierzony był pośrednio także w kardynała Adama Sapiechę, a to oznaczało, że władze czynią już przygotowania do bezpośredniego uderzenia w Kościół, co też niebawem nastąpiło.

W czasie śledztwa znęcano się nad Doboszyńskim, jak ustalił dr Jan Żaryn, Doboszyńskiego maltretowano do utraty przytomności. Poddawany był także wyrafinowanym torturom, na przykład przez tydzień podawano mu środki przeczyszczające, co doprowadziło do całkowitego rozregulowania organizmu.

W czasie rozprawy Adam Doboszyński przyznał się do części zarzutów, kilka punktów oskarżenia natomiast odrzucił. Wspominała o tym siostra Doboszyńskiego: „Pełny przebieg rozprawy różnił się zasadniczo od okrojonej wersji transmitowanej przez radio, drukowanej w gazetach, a później wydanej w formie książkowej jako stenogram rzekomo całego procesu. Opuszczone były oczywiście te zeznania oskarżonego, w których zeznawał, jak to po torturach trwających przez dwa tygodnie dzień i noc, prawie bez przerwy, zdał sobie sprawę, że jeżeli nie zgodzi się przyznać do nie popełnionych win, to załamie się psychicznie i nie będzie zdolny bronić się na procesie. Postanowił wtedy opisać swoją rzekomą współpracę z wywiadem niemieckim i amerykańskim w takiej formie, aby te zeznania, brzmiące jak naiwna powieść kryminalna, od razu robiły na bezstronnym czytelniku wrażenie nieprawdy. Odwoływał też na procesie obszernie partie swych zeznań jako napisanych pod przymusem”. W ostatniej mowie zdecydowanie odrzucił zarzuty dotyczące szpiegostwa.

O tym, jak dużą wagę do procesu przywiązywały władze, świadczy fakt, że protokoły przesłuchań Adama Doboszyńskiego omawiane były kilkakrotnie w 1948 r. na posiedzeniach Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR. Sprawę referował sam Stanisław Radkiewicz – minister bezpieczeństwa publicznego. To właśnie Biuro Polityczne wyznaczyło obrońcę oskarżonego i prokuratora.

W tej sytuacji domyślać się można, że mógł zapaść tylko wyrok śmierci. Wyrok wykonano 29 sierpnia 1949 r. Jeszcze jeden, a do końca było daleko.

¹ Wojciech Roszkowski (Andrzej Albert), *Najnowsza historia Polski 1918–1980*, Warszawa 1989.

² *Ibidem*, s. 587

³ *Ibidem*, gen. Stefan Rowecki „Grot”, Komendant Główny ZWZ-AK od 1940 r., Aresztowany 30 czerwca 1943 r. przez gestapo, zamordowany rok później.

⁴ Abwehra – wojskowy wywiad niemiecki.

„OBSTAJĘ PRZY STANOWISKU, ŻE CHODZI TU O POMNIK POLITYCZNY..”

Podczas niemieckiej okupacji w Polsce doszło do celowego niszczenia – na niespotykaną dotąd skalę – polskich dóbr kultury, miejsc pamięci narodowej oraz kultu religijnego. Już podczas kampanii wrześniowej w 1939 r. Niemcy zbombardowali klasztor na Jasnej Górze, co trudno było uzasadnić względami militarnymi. Był to początek zaplanowanej, systematycznej akcji. Niszczono nie tylko pomniki polskich dowódców, narodowych bohaterów i wieszczów, ale także zwykłe przydrożne kapliczki i krzyże. Wśród zabytków uznanych przez Niemców za szczególnie niepożądane znalazły się między innymi pomniki Najświętszego Serca Jezusowego.

Kult Serca Jezusowego rozwijał się od XIX w. na ziemiach polskich szczególnie intensywnie. Obok religijnego miał on również silny charakter patriotyczny. Liczba fundacji pomników i figur znacząco wzrosła po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Powstały wtedy zarówno monumentalne obiekty, na przykład pomnik Serca Jezusowego w Poznaniu, jak i niewielkie figury w wiejskich parafiach.

Pomnik Najświętszego Serca Jezusowego w Ostrowie Wielkopolskim wzniesiono 25 października 1936 r. z inicjatywy ostrowskiego kanonika Ludwika Jarosza, w jubileusz pięćsetlecia istnienia parafii. Został on ufundowany przez obywateli należących do cechu rzeźniczego i wędzarniczego imienia Trójcy Świętej.

Podczas okupacji niemieckiej pomnik został zniszczony jak setki innych. Zanim jednak zapadła decyzja o rozebraniu go, doszło do ożywionej wymiany korespondencji między niemieckimi urzędami. Zachowane dokumenty administracji okupacyjnej dotyczące tej sprawy ukazują, często w komicznym świetle, sposób urzędowania niemieckich władz.

Może pomnik ocalałby. Początkowo Niemcy uznali go za zabytek o czysto religijnym charakterze, jednak grupa folksdojczów postanowiła zainteresować nim landrata (starostę powiatu). Rozpoczęto zatem szczegółowe dochodzenie w sprawie polskich akcentów narodowych na pomniku. Komisarz urzędu miasta po konsultacjach z jednym z folksdojczów poinformował landrata, że już samo miejsce, w którym stanął pomnik, „zostało uznane za wyzwanie rzucone Niemcom, a to dlatego, iż miejsce to (tak zwany kąt niemiecki)” zamieszkuje ludność niemiecka. Argumentem dodatkowym świadczącym „o politycznym charakterze” pomnika Najświętszego Serca Jezusowego był fakt, że „katolicyzm i nacjonalizm polski tworzyły jedność i miały jeden cel – walkę przeciwko Niemcom [...]”. Ostateczne wnioski komisarza zostały ujęte w następujący sposób: „[...] Obstawiam zatem przy stanowisku, że chodzi tutaj o pomnik polityczny, i bardzo bym się ucieszył, gdyby (im wcześniej, tym lepiej) zniknął”.

Ponieważ sprawa nabrała charakteru politycznego, uznano za stosowne zainteresować nią posterunek gestapo w Łodzi, burmistrza Ostrowa oraz Miejski Urząd Budowlany, a sam pomnik pieczołowicie obfotografowano. Starosta nie był jednak w stanie podjąć samodzielnej decyzji co do losów zabytku. Sprawa ostatecznie dotarła do samego gauleitera Arthura Greisera – namiestnika tak zwanego Kraju Warty, który osobiście zarządził likwidację pomnika w Ostrowie. Wówczas z czystym sumieniem lokalna administracja zaczęła rozbiórkę pomnika, co ostatecznie nastąpiło w marcu 1941 r.

Smutnym epilogiem tego aktu było znalezienie przez Niemców dokumentu fundacyjnego umieszczonego pod kamieniem węgielnym. Dokument ten upamiętniał fakt postawienia pomnika oraz wymieniał z imienia i nazwiska jego fundatorów. Najprawdopodobniej tymi osobami zainteresowała się niemiecka policja, kwalifikując je jako „polskich nacjonalistów”. Niestety, trudno dziś powiedzieć, jakie były ich dalsze losy.



Oddział Wehrmachtu, przy pasach widoczne klamry z napisem „Bóg z nami”

KULTURA POLSKA W „KULTURZE” PARYSKIEJ

Konferencja jałtańska rozwiła nadzieje Polaków na szybki powrót do odrodzonej, suwerennej ojczyzny. Dla Jerzego Giedroycia wizja długotrwałej emigracji stała się oczywista jeszcze przed zakończeniem wojny, dlatego już wtedy myślał o pracy kulturalno-politycznej rozciągniętej na wiele lat. Założenie własnej niezależnej oficyny stanowiło urzeczywistnienie tych planów.

Przy 2. Korpusie

Na początku 1946 r. konsekwentne starania Giedroycia odniosły skutek i doszło do założenia Instytutu Literackiego w Rzymie. Stało się to możliwe dzięki poparciu Władysława Andersa, dowódcy 2. Korpusu, oraz Adama Pragiera, ówczesnego ministra informacji i dokumentacji rządu RP w Londynie. Spośród przyjaciół największą pomoc okazał Józef Czapski.

Oficynę zarejestrowano pod włoską nazwą Casa Editrice „Lettere” i dokupiono drukarnię O.G.I. (Officine Grafiche Italiane). Gen. Anders mianował jej kierownikiem Giedroycia, którego najbliższymi współpracownikami zostali: Zofia i Zygmunt Hertzowie oraz Gustaw Herling-Grudziński. Instytut otrzymał fundusze na działalność w formie jednorazowej subwencji od dowódcy 2. Korpusu oraz pożyczkę z Funduszu Społecznego Żołnierzy, przy wstawiennictwie gen. Kazimierza Wiśniowskiego, szefa sztabu 2. Korpusu. W Rzymie, ze względu na posiadaną przez CEL drukarnię, funkcjonowanie oficyny ograniczyło się do prowadzenia polityki wydawniczej, działalności usługowej wobec różnych instytucji oraz kolportażu wydawnictw.

Instytut zadebiutował *Legionami* Henryka Sienkiewicza, których symboliczny wymiar najlepiej wyrażono w recenzji: „[...] kiedy żołnierze polscy znowu z ziemi włoskiej oczekują marszu do Polski, myśl biegnie ku »Legionom«. Marsze, walki, nadzieje tamtych wojsk wydają się dziś szczególnie bliskie. I jest jakaś głęboka wymowa w tym, że »Legiony« są epopeą niedokończoną”. Jako drugie w kolejności ukazały się *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza, z programową przedmową Herlinga-Grudzińskiego.

W okresie rzymskim oficyna wydała między innymi książki Jana Bielatowicza, Leona Bluma, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, Arthura Koestlera, Bolesława Micińskiego, Władysława Reymonta, Jerzego Stempowskiego (Hostowca), Andrzeja Struga. Stworzyła cztery serie: „Bibliotekę Społeczno-Polityczną”, „Bibliotekę Przekładów”, „Bibliotekę Wiedzy” oraz w języku włoskim „Capolavori della letteratura straniera”. Na kartach tytułowych pojawił się sygnet oficyny w postaci kolumny jońskiej, autorstwa Stanisława Gliwy. W lipcu 1947 r. poszerzono ofertę wydawniczą o kwartalnik „Kultura” pod redakcją Herlinga-Grudzińskiego i Giedroycia. Oficyna powoli zyskiwała renomę, docierając zarówno do diaspory polskiej, jak i do kraju.

KOMENTARZE HISTORYCZNE **Nad Sekwaną**

Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ewakuacja wojska do Wielkiej Brytanii oraz gwałtowny spadek czytelnictwa spowodowały, że Giedroyc podjął decyzję o przeniesieniu instytutu do Francji. Razem z nim Włochy opuścili Zofia i Zygmunt Hertzowie. Herling-Grudziński udał się do Londynu.

Na początku listopada 1947 r. cała trójka zamieszkała w podparyskiej miejscowości Maisons-Laffitte. Wynajęli willę, która przeszła do historii jako dom na Korneju (od nazwy ulicy Corneille'a). Kontynuowali działalność do 1954 r., kiedy w wyniku sprawy sądowej – wniesionej przez prawowitych właścicieli – musieli opuścić swą siedzibę. Instytut znalazł się w krytycznym położeniu, które dzięki ofiarności prenumeratorów, czytelników i przyjaciół „Kultury” nie trwało długo. Oficyna zaciągnęła pożyczkę, a w miesięczniku utworzyła fundusz na zakup domu, ogłaszając równocześnie: WPROWADZAMY TYSIĄCFRANKOWĄ CEGIEŁKĘ DOMU „KULTURY”. Efekt akcji zaskoczył wszystkich, gdyż już w styczniu następnego roku zakomunikowano: „Dom »Kultury« zakupiony”, podając nowy adres – 91, avenue de Poissy. Do numeru majowego dołączono jego fotografię.

Instytut otrzymał jeszcze jedno – wtedy dość wymowne – wsparcie od André Malraux, który przyznał: „Macie słuszość, mówiąc, że w boju, jaki prowadzicie, jesteście grupą tak samotną, jak każdy, kto mówi »Nie« zwycięskiej przemocy; ta względna samotność stanowi cenę tego, co uzasadniona wasza duma ma prawo uznać za waszą niezależność moralną, polityczną i materialną”.

W 1960 r. spontaniczną zbiórkę pieniędzy przekształcono w Fundusz „Kultury”, a wpłaty przeznaczono na działalność oficyny.

Niewidzialna redakcja

Instytut Literacki nie stanowił typowej firmy wydawniczej, zatrudniającej dyrektora, redaktorów różnej specjalności, tłumaczy, sekretarki... Wszystkie czynności wykonywała grupa przyjaciół, znająca się z 2. Korpusu od 1943 r. Dopytywani o pełny skład osobowy „Kultury” wyjaśnili: „Do zespołu należą: Redaktor Jerzy Giedroyc; Redaktor Giedroyc Jerzy; Jerzy Giedroyc, Redaktor; Giedroyc, Jerzy oraz inni członkowie zespołu »Kultury«”.

Rzeczywiście osiłą wszelkich działań był Giedroyc, *sit senia verbo* mózg całego przedsięwzięcia. Decydował o doborze tekstów do „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz doborze tytułów Biblioteki „Kultury”. Nie oznacza to, że pełnił funkcję autorytatywnego redaktora. Często prowadził żywe dyskusje z autorami stale współpracującymi z „Kulturą”, o czym najlepiej świadczą wydane tomy korespondencji z Andrzejem Bobkowskim, Witoldem Gombrowiczem, Konstantym Jeleńskim, Juliuszem Mieroszewskim, Jerzym Stempowskim czy Melchiorzem Wańkowiczem. Jednak ostatnie słowo zostawiał dla siebie.

Prace redakcyjno-domowe – nie można zapomnieć, że zespół instytutu mieszkał w wydawnictwie, a ono mieściło się w ich domu – prowadziła Zofia Hertz. Zajmowała się księgowością, korespondencją, robiła korekty, adiustację tekstów, pilnowała składu w drukarni, tłumaczyła, a ponadto prowadziła polski dom przy Poissy. Tradycyjnie dom był otwarty dla licznych gości.

Józef Czapski, który dołączył do oficyny i zamieszkał tam w 1949 r., pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych „Kultury”. To jego Giedroyc wystąpił w podróż do obu Ameryk w celu zebrania funduszy na działalność oficyny. Dzięki jego koneksjom Redaktor wziął udział między innymi w 1950 r. w Kongresie Wolności Kultury w Berlinie i wszedł wraz z instytutem na intelektualne salony Europy...

Oficyna miała również „ministra ludzkich spraw” w osobie Zygmunta Hertza. Zajmował się wysyłką wydawnictw instytutu, czasami robił korektę. Utrzymywał kontakt z niezliczoną liczbą osób, które odwiedzały instytut, zarówno z Polski, jak i emigracji. Zwłaszcza goście z kraju stanowili dla niego źródło wiedzy o tym, co się dzieje i o czym się mówi nad Wisłą. Czesław Miłosz nazwał go „buczącym trzmielcem”.

Jedyną osobą należącą do zespołu instytutu, a nie mieszkającą w Maisons-Laffitte, dojeżdżającą z Paryża, był Henryk Giedroyc, brat Redaktora. Dołączył najpóźniej, w 1952 r. Prowadził bazę prenumeratorów, pomagając równocześnie przy ekspedycji.

„...słowo ma znaczenie decydujące”

Instytut jeszcze na walizkach wznowił działalność, wydając drugi i trzeci, a paryski pierwszy numer „Kultury”. Zapewnił w nim czytelników: „[...] KULTURA znalazłszy się w samym sercu europejskich dążeń do odrodzenia kulturalnego, pragnie wykorzystać ten przywilej w kierunku ponownego związania z nim polskiego ruchu umysłowego w kraju i na emigracji.

Nie wydaje nam się bowiem słuszne przekonanie, że pomiędzy krajem i emigracją powstała przepaść nie do zasypania. Przerzucenie pomostu pomiędzy Polakami, którzy żyją, tworzą i pracują w kraju, i pomiędzy nami, którzyśmy wybrali świadomie emigrację polityczną, jest tylko kwestią taktu, zdrowego rozsądku i uczciwego podziału ról. Nie przyczyni się doń jednak nigdy bezwiednie często i nieświadomie rozłupywanie kultury polskiej na kulturę »krajową« i kulturę »emigracyjną«. Nie ma dwóch kultur polskich, są tylko uczeni, pisarze i artyści polscy, którzy pracują dla jednej i tej samej kultury polskiej w miarę swych sił, umiejętności i możliwości.

KULTURA pragnie wykorzystać swoją wolność od ucisku i skrępowania politycznego nie po to, żeby służyć gettu polskiemu na emigracji, ale po to, żeby przełamać jego izolację zarówno w stosunku do Europy, jak i w stosunku do kraju.

KULTURA pragnie również wypełnić tę lukę, jaką w twórczości uczonych, pisarzy i artystów w Polsce wytworzył stan politycznego odcięcia od procesów i przeobrażeń duchowych na zachodzie Europy”.

Miesięcznikowi przyszło wypełniać swą deklarację w trudnych okolicznościach. Często padały wobec niego zarzuty „zdrady narodowej” zarówno ze strony wychodźstwa, a szczególnie środowiska londyńskiego, jak również reżimu warszawskiego.

„Kultura” zaangażowana w sprawy emigracyjne i krajowe „zmuszała ludzi do myślenia, zastanowienia się”. Giedroyc uważał to za jej najważniejszą rolę, gdyż „czy różne koncepcje się sprawdziły, czy nie, nie ma wielkiego znaczenia. Ważne jest, żeby przylegać do rzeczywistości”.

Opinia ta znalazła odzwierciedlenie w strukturze pisma, którego działy ewoluowały w zależności od aktualnych wydarzeń. Na przykład: „Klub Trzeciego Miejsca”, „Kongres Wolności Kultury”. W „Kulturze” znajdowały się stałe działy, jak „Kraj”, „Najnowsza historia Polski”, „Archiwum polityczne”, „Książki”, „Sprawy i troski”, „Kronika kulturalna”, „Kronika wydarzeń”, „Śsiedzi”, „O religii bez namaszczenia”. Pozwalały prześledzić najważniejsze dyskusje i problemy, którymi żyła społeczność polska po obu stronach „żelaznej kurtyny”.

W „Kulturze” nawet listy do redakcji budziły emocje, co zdarzyło się ks. Józefowi Majewskiemu, którego tekst *O poprzestaniu na status quo granic Polski po r. 1945* wywołał dyskusję wokół kwestii Ukrainy, Litwy i Białorusi oraz Niemiec.

Ostre polemiki wokół tekstów „Kultury” wynikały nie tylko ze sposobu jej prowadzenia, struktury, ale przede wszystkim z doboru ludzi pióra. Od pierwszego numeru, rzymskiego, obecny był Józef Czapski. Już w 1949 r. na *porte parole* miesięcznika wyrósł Juliusz Miero-

szewski [Londyńczyk], korespondent londyński, znany między innymi z kroniki angielskiej. Od 1952 r. Bohdan Osadczyk [Berlińczyk] pisał do „Kroniki ukraińskiej”, krótko drukował „Listy z Berlina”. Michał Heller [Adam Kruczek] prowadził wiernie „W sowieckiej prasie” przez dwadzieścia siedem lat, aż do śmierci w 1996 r. „Notatnik niespiesznego przechodnia” stał się częścią życia pisarskiego Jerzego Stempowskiego. W 1956 r. do pisma powrócił Gustaw Herling-Grudziński, a dziesięć lat później został korespondentem włoskim. Cyklicznie przesyłał „Dziennik pisany nocą” do momentu ponownego rozstania z „Kulturą” w 1996 r. Leopold Unger [Brukselczyk] rozpoczął współpracę od publikowania cyklu „Widziane z Brukseli” w 1970 r. Krajowe nowości wydawnicze omawiali między innymi Maria Danilewicz-Zielińska oraz Marian Pankowski. Funkcję pomostu pisma z kulturą świata zachodniego pełnił Konstanty Jeleński, tworząc między innymi „przegląd miesięczników” czy „notatki wydawnicze”. Wacław A. Zbyszewski omawiał sprawy emigracji londyńskiej i recenzował nowości z literatury francuskiej.

Pismo tworzyło – na przestrzeni lat – grono znakomitości (blisko 2000 nazwisk), co może dobitnie wskazywać na „zgodę narodową”, panującą na jego łamach. Obok siebie widniały teksty na co dzień zagorzałych adwersarzy, chociażby: Andrzeja Bobkowskiego, Witolda Gombrowicza, Stefana Korbońskiego, Józefa Łobodowskiego, Józefa Mackiewicza czy Czesława Miłosza. „Kultura” otworzyła swoje łamy również dla pisarzy i publicystów z Europy Środkowowschodniej, pisali do niej między innymi Ernest Bloch, Julij Daniel, Gyorgi Gömöri, Borys Lewicki, Andriej Siniawski, Aleksander Sołżenicyn.

Pismo podjęło się edycji numerów specjalnych. Jako pierwsze wydano „Ramy życia w Polsce” w pięciu tomach od marca 1952 do lipca 1953 r. Było to unikatowe na ówczesnym rynku emigracyjnym kompendium wiedzy o sytuacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej powojennej Polski. Kolejny numer specjalny (w 1953 r.) poświęcono współczesnej kulturze amerykańskiej. Następnie ukazały się trzy numery rosyjskie (1960, 1971, 1981) oraz jeden niemiecki (1984).

Kulturę polską w piśmie promowano nie tylko przez drukowanie tekstów czy numerów tematycznych. W 1954 r. miesięcznik urosł już do rangi instytucji i zainicjował przyznawanie nagród, rozpoczynając od literackiej. Po śmierci Zygmunta Herta (1979) nazwano ją jego imieniem. Po 1977 r. otrzymali ją: Stanisław Barańczak, Wojciech Skalmowski, Zbigniew Byrski, Maria Danilewicz-Zielińska, Michał Heller, Bolesław Sulik, Jakub Karpiński oraz Leopold Unger. Ponadto wręczano nagrody: plastyczną, im. K.A. Jeleńskiego, dla tłumaczy, publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego, Przyjaźni i Współpracy.

„Kultura” przestała wychodzić po śmierci Jerzego Giedroycia zgodnie z jego wolą. Ostatni numer, 637, przygotowywany jeszcze przez Redaktora, ukazał się w październiku 2000 r.

Instytut oprócz miesięcznika wydawał również książki, na początku, z powodów finansowych, sporadycznie. Na koszt autora, pod auspicjami oficyny, wydano *Tułacze dzieci Weroniki Hort* (Hanki Ordonówny), *Na nieludzkiej ziemi* Czapskiego i *Klub trzeciego miejsca* Melchiora Wańkowicza. Po nieporozumieniach z gen. Andersem Giedroyc wydrukował własnym sumptem także *Wracam z Polski* Aleksandra Janty-Pończyńskiego.

Dopiero utworzenie Biblioteki „Kultury” w 1953 r. rozpoczęło systematyczną edycję książek. Zainaugurowano ją utworami emigrantów: Witolda Gombrowicza (*Trans-Atlantyk* i *Ślub*), Czesława Miłosza (*Zniewolony umysł* i *Światło dzienne*) i Czesława Straszewicza (*Turyści z bocianich gniazd*).

Dorobek Biblioteki „Kultury” można podzielić na cztery grupy. Pierwsza obejmowała książki wydane w latach 1953–1957, autorstwa pisarzy emigracyjnych, między innymi:

Andrzeja Bobkowskiego, Andrzeja Chciuka, Stefana Korbońskiego, Leo Lipskiego, Józefa Łobodowskiego, Mariana Pankowskiego, Teodora Parnickiego.

Zmiany w bloku sowieckim po śmierci Stalina spowodowały potrzebę wydawania innego rodzaju materiałów. W 1955 r. stworzono podserię „Dokumenty”. Pierwsze cztery numery zamieszczono w „Kulturze” w formie dodatku, dopiero piąty: „Program Związku Komunistów Jugostawii”, włączono do Biblioteki.

Następny okres stał się naturalną konsekwencją odwilży październikowej. Wtedy w Bibliotece „Kultury” pojawili się twórcy krajowi (na przykład Marek Hłasko, Witold Jedlicki, Stanisław Rembek, Artur Maria Swinarski). Okres ten trwał prawie dwadzieścia lat, to jest od 1958 do 1977 r. W tym czasie doszło do spektakularnych wydarzeń edytorskich. W 1966 r. opublikowano „List otwarty do partii” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Od następnego roku stałe wydawanie swoich książek rozpoczął Stefan Kisielewski (pod pseudonimem Tomasz Staliński). Ukazały się również pozycje dotyczące dramatycznych wydarzeń z 1956 i 1968 r. w Polsce.

Bestsellerami okazały się utwory między innymi Abrama Terca, Aleksieja Remizowa, Nikołaja Arzaka (Julija Daniela – pochodzące z „innego świata”, tłumaczone wówczas na wiele języków. Książki Hellera, Sacharowa, Sołżenicyna pokazywały prawdę o rozmiarze zbrodni stalinowskich. Wydawano podserię „Archiwum Rewolucji” (1964), którą otworzyły wspomnienia *Byłem agentem Stalina* Waltera G. Krywickiego.

Trzeci okres od (1976 do 1989 r.) przyniósł dominację pisarzy krajowych (między innymi Władysława Bieńkowskiego, Andrzeja Friszke, Adama Michnika, Marka Nowakowskiego, Kazimierza Orłosa, Jarosława Marka Rymkiewicza, Andrzeja Szczypiorskiego). Zajmowano się sprawami dotyczącymi powstania i działalności opozycji demokratycznej oraz rozwoju tak zwanego drugiego obiegu wydawnictw w Polsce. Nieprzypadkowo ostatnią podserię nazwano „Bez cenzury” i rozpoczęto w 1977 r. *Maścią na szczury* Adama Madeja. Nie przestano wydawać pozycji emigracyjnych, zwłaszcza że od 1969 r. następował powolny proces „zmiany warty” wśród autorów Biblioteki „Kultury”. Pojawiły się nowe nazwiska, utożsamiane z falami emigracji po 1968 i 1981 r. (między innymi: Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert, Jakub Karpiński, Wojciech Karpiński, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrożek, Adam Zagajewski).

Wydano pośmiertnie dzieła zebrane Gombrowicza, a po uhonorowaniu Miłosza Nagrodą Nobla w 1980 r. – także prace tego autora.

W pierwszych latach III Rzeczypospolitej zakończono edycję książek 498 tomem Anny i Mirosława Adama Supruniuków *Bibliografia. Kultura (1988–1996)*, *„Zeszyty Historyczne” (1988–1996)*, *Działalność wydawnicza (1988–1996)* w 1997 roku.

W 1962 r. ukazał się pierwszy numer półrocznika „Zeszyty Historyczne”, których pomysł wyrósł z zainteresowań Giedroycia najnowszą historią Polski. Całą problematykę historyczną, nie mieszczącą się w „Kulturze”, przeniesiono do „Zeszytów”, a numerację włączono do kolekcji. Od 1973 r. przekształcono je w kwartalnik.

W Bibliotece „Kultury” jak w lustrze odbiły się wszystkie zawirowania literackie, społeczne i polityczne w Polsce. A dobór autorów i tematyka uczyniły z niej wolną trybunę, na której pokazywano literaturę krajową i emigracyjną, jednocześnie stwarzając podwaliny pod dialog narodów Europy Środkowowschodniej.

Wychowani na „Kulturze”...

Czytelnicy wydawnictw instytutu dzielili się na dwie kategorie. Do pierwszej należeli wier- ni prenumeratorzy, stali czytelnicy, współpracujący pisarze, poeci, publicyści – wszyscy ci,

którzy z różnych względów sięgali dobrowolnie po jej dorobek. Do drugiej zaliczyć należało cenzorów, celników, pracowników Komitetu Centralnego PZPR, urzędników ministerstw bezpieczeństwa publicznego oraz kultury i sztuki, naukowców akademii politycznych cywilnych i wojskowych, zajmujących się działaniami ośrodków dywersji ideologicznej za granicą i rozpracowywaniem ich kontaktów z wrogimi elementami w kraju.

Obie te grupy łączyła ciekawość każdego nowo wychodzącego numeru „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz kolejnego tomu Biblioteki „Kultury”, a ich drogi często się krzyżowały.

Za wierność krajowi „Kultura” musiała zapłacić. Wzrost jej popularności oraz znaczenia nad Wisłą spowodował nasilenie ataków ze strony reżimu, choć towarzyszyły one instytutowi od początku jego funkcjonowania, jak na przykład szkalujący artykuł w „Odrodzeniu” w 1947 r. związany z debiutem „Kultury” w Rzymie. Gdy miesięcznik stawał się coraz bardziej niewygodny, w 1950 r. pozbawiono go debitu czyli prawa do rozpowszechniania, a w prasie wypisywano między innymi: „Emigracyjno-białogwardyjska zgnilizna, faszystowsko-katolicka Kultura”, „polscy zdrajcy emigracyjni w osobach pp. Czapskiego i Giedroycia”.

Napaści nie ostatecznie nawet wtedy, kiedy w „Kulturze” poparto Gomułkę, ani po odwilży. Do klasyki przeszła *Dywersja* (1965) Janusza Kolczyńskiego. Witold Filler poświęcił „Kulturze” aż dwa dzieła: *Teorie i praktyki paryskiej Kultury* (1969) oraz *Literatura małej emigracji* (1970). Oficyna stała się również przedmiotem dociekań badawczych, a artykuł „Kultura” Edwarda Ruska znalazł się w pracy *Burżuazyjne i emigracyjne próby deprecjacji roli i polityki PZPR (1980–1985)*, pod red. Tadeusza Lwińskiego, wydanej w 1986 r. przez Akademię Nauk Społecznych, Instytut Nauki o Partii Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Reżimowi nie wystarczały nagonki w prasie, zakaz cenzury, konfiskaty wydawnictw na granicach; sięgał po metody stalinowskie: aresztowania, przesłuchiwanie, sądy i kary więzienia. Pierwszy proces za kolportaż „Kultury” i współpracę z instytutem wytoczono Hannie Rewskiej w 1958 r., a kolejne – Andrzejowi Markiewiczowi (1961) i Hannie Rudzińskiej (1962). Najpoważniejszy był tak zwany proces taterników w 1970 r.

Metody stosowane przez władze komunistyczne w deprecjonowaniu i „rozpracowaniu” instytutu uzupełniała inwigilacja przez aparat bezpieczeństwa PRL. Giedroyc zdawał sobie doskonale sprawę z tych działań, zwłaszcza gdy przybrały one na sile z początkiem lat sześćdziesiątych. Ostrzegany, sam przestrzegał najbliższych współpracowników przed podejrzanymi osobami. To sprawiło prawdopodobnie, że do dnia dzisiejszego nie został odkryty żaden Czechowicz „Kultury”.

W ciągu prawie pięćdziesięciu pięciu lat pracy oficyna z Maisons-Laffitte wychowała kilka pokoleń Polaków.

Instytut Literacki nadal funkcjonuje. Dyrektorem po śmierci Jerzego Giedroycia została Zofia Hertz, wspierana przez Henryka Giedroycia. W instytucie pracują również Jacek Krawczyk, Leszek Czarnecki i Wojciech Sikora. Obecnie jego działalność koncentruje się na wydawaniu „Zeszytów Historycznych” i udostępnianiu bogatych zbiorów archiwalnych.

POLSKI PARYŻ 1981–1989

Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia liczbę ludności pochodzenia polskiego w całej Francji szacowano na mniej więcej milion, a w Paryżu i okolicach na około 60 tys. Największe jej skupiska występowały w północno-wschodniej części kraju oraz w Alzacji i Lotaryngii i były zdominowane przez emigrację zarobkową przybyłą do Francji w okresie międzywojennym. Ludzie ci byli w większości od dawna całkowicie zasymilowanymi obywatelami francuskimi, a ich związki z Polską ograniczały się do uczestnictwa w szeroko rozumianym polonijnym życiu kulturalnym, w działalności parafii polskich.

Emigracja paryska wykazywała odmienne cechy. Składała się z ludzi przybyłych do Francji z różnych pobudek i należących do różnych historycznie okresów wychodźstwa polskiego: począwszy od dziewiętnastowiecznej emigracji niepodległościowej, poprzez emigrację wojenną, emigrację po Marcu 1968 r. oraz solidarnościową. Pokazna liczba Polaków przebywała też czasowo w stolicy Francji z powodów zawodowych i osobistych.

Trudno wymienić organizację polonijną, która odgrywałaby rolę emigracyjnego centrum duchowego czy też politycznego. W większości miały one charakter wyspecjalizowany, zaspokajały potrzeby danego środowiska. Wśród nich należy wymienić: Towarzystwo Historyczno-Literackie i Bibliotekę Polską zajmujące się zachowaniem polskiego dziedzictwa kulturalnego we Francji, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów związane z wychodźstwem żołnierskim, Polską Misję Katolicką odgrywającą szczególnie ważną rolę w opiece duchowej i materialnej nad osobami przybyłymi z Polski. Stowarzyszenia o charakterze korporacyjnym, związane ze środowiskiem kombatanckim – Stowarzyszenie Polskich Inżynierów czy Stowarzyszenie Lekarzy Polskich – z braku członków i pomysłu na dalszą działalność istniały tylko formalnie. Wypada też wspomnieć o działalności dwóch księgarni polskich, gdzie można było otrzymać za darmo wydawnictwa emigracyjne, których oficjalne wwiezienie do Polski było zakazane.

Pewne trudności może nastroczać określenie stosunku paryskich organizacji emigracyjnych do PRL, a w szczególności ich prób wpływania na zmianę sytuacji politycznej w Polsce.

Zdecydowana większość organizacji emigracyjnych uznawała PRL za państwo niesuwerenne, ale fakt ten nie oznaczał automatycznie czynnego zaangażowania w walkę z jego władzami. Starano się raczej realizować zadania materialne i duchowe wynikające ze statutów organizacji, a jednocześnie unikano kontaktów z polskim przedstawicielstwem dyplomatycznym, a szerzej z władzami PRL. Tak było na przykład w przypadku Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Ta druga organizacja ściśle współdziałała z rządem londyńskim, co, jak wiadomo, oznaczało nieuznanie władz PRL za władze legalne. Z kolei Wspólnota Polsko-Francuska kierowana przez dziennikarza Leszka Talko, skupiająca grono lojalnych zasymilowanych obywateli francuskich polskiego pochodzenia, domagała się systematycznie od władz francuskich wywierania presji mającej na celu poszerzenie zakresu wolności obywatelskich w Polsce. Sytuacja Polskiej Misji Katolickiej

była jeszcze inna, gdyż jako instytucja podległa Episkopatowi Polski nie mogła ona prowadzić polityki innej niż ta, którą wyrażali jej zwierzchnicy. Niewątpliwie żywy kontakt z opozycją polityczną powstałą w końcu lat siedemdziesiątych w kraju miała „Kultura” i założone przez Piotra Jeglińskiego wydawnictwo Editions Spotkania związane z lubelskim środowiskiem młodych działaczy katolickich.

Jednak to nie organizacje emigracyjne, a poszczególni emigranci działający poza ich strukturami byli pośrednikami w kontaktach zagranicznych i organizatorami pomocy na rzecz polskiej opozycji demokratycznej. Do takich osób należał współpracujący z Komitetem Obrony Robotników Aleksander Smolar.

Zdecydowana większość mieszkańców regionu paryskiego polskiego pochodzenia nie uczestniczyła jednak czynnie w życiu polskich organizacji emigracyjnych. Ludzie żyli przede wszystkim własnym życiem. Nawet ci, którzy najbardziej poczuli się do związków z krajem pochodzenia, nie byli zbyt aktywni, bo sytuacja w Polsce nie zmuszała wówczas do szczególnej, zbiorowej mobilizacji.

Po przełomowych wydarzeniach sierpnia 1980 r. nastąpiło znaczne ożywienie w stosunkach między opozycją polską, przede wszystkim „Solidarnością”, a reszłą jej francuskich zwolenników. W nawiązaniu kontaktów z „Solidarnością” uczestniczyły wprawdzie francuskie związki zawodowe, ale pewną rolę odgrywali też polscy emigranci. Niektórzy z nich towarzyszyli delegacjom francuskim jako tłumacze, inni zaangażowali się w działalność francuskich stowarzyszeń, które powstały, aby popularyzować działalność „Solidarności” i wspomagać związek.

Wydarzeniem szeroko opisywanym i komentowanym przez miejscowe mass media była wizyta polskiej delegacji związkowej z Lechem Wałęsą we Francji jesienią 1981 r. Przez 16 miesięcy trwania „pokojoyej rewolucji” w Polsce takich delegacji było wiele i spotykały się z niezwykle życzliwym przyjęciem. Samo przyznawanie się do polskich korzeni wzbudzało wówczas sympatię Francuzów.

Powstanie nowych organizacji polskich w Paryżu

Protesty społeczeństwa francuskiego przeciwko decyzji władz PRL o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce były od samego początku powszechne. Ich kulminacja nastąpiła 15 grudnia, gdy w manifestacji w obronie pogwałconych wolności w Polsce zorganizowanej przez pięć central związkowych wzięło udział około 100 tys. paryżan. Trudno jednak mówić o widocznym udziale Polaków czy też Francuzów polskiego pochodzenia w tych protestach. Najbardziej znanym wówczas miejscem, w którym gromadzili się ludzie manifestujący swój sprzeciw wobec polityki władz stanu wojennego i okazujący solidarność z represjonowanymi w Polsce, była część placu Inwalidów znajdująca się na wprost ambasady PRL w Paryżu. Dostępu do ambasady strzegły wtedy jednostki specjalne policji francuskiej. Poza kordonem policyjnym przez wiele dni zbierał się czasem bardziej, czasem mniej liczny tłum. Język polski był tam często słyszalny. To właśnie Polacy układali krzyż z kwiatów, modlili się, ale i też przyłączali się do okrzyków protestu wznoszonych w kierunku okien ambasady. Obecność Polaków na placu Inwalidów miała całkowicie spontaniczny charakter. Nie przychodzili tam na apel jakiejś organizacji polonijnej. Były to pojedyncze osoby lub grupy przyjaciół, którzy chcieli okazać poparcie zniewolonym rodakom. Po kilku tygodniach w tym miejscu kilka osób zabetonowało żelazny krzyż i tablicę upamiętniającą ofiary represji stanu wojennego w Polsce. Wokół tego miejsca zwanego „Pomnikiem Solidarności” gromadzili się przez lata, aż do 1989 r., zwolennicy przywrócenia obywatelskich i politycznych swobód w Polsce.

Ważnym wydarzeniem w życiu paryskiej emigracji było powstanie nowych organizacji założonych głównie przez działaczy „Solidarności” (między innymi Seweryna Blumsztajna, Zbigniewa Kowalewskiego, Sławomira Czarlewskiego), których wybuch stanu wojennego zastał poza granicami kraju. Najpierw, 16 grudnia 1981 r., powołali Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” we Francji. W pierwszych miesiącach uczestniczyło w nim ponad 50 osób. Komitet zajmował się głównie rozpowszechnianiem we Francji informacji o sytuacji w Polsce, organizowaniem kontaktów między francuskimi działaczami związkowymi a działaczami podziemia „Solidarności”, a także pomocą dla osób represjonowanych w Polsce. Niewiele później Mirosław Chojewski i grupa przebywających w Paryżu działaczy NZS (Bronisław Wildstein, Wojciech Sikora i inni) utworzyli wydawnictwo Kontakt, skupiające również liczne grono współpracowników.

W 1982 r. Barbara Toruńczyk, między innymi przy pomocy Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność”, stworzyła wydawnictwo „Zeszyty Literackie” nawiązujące do tradycji wychodzącego w drugim obiegu w Polsce od końca lat siedemdziesiątych pisma „Zapis”.

Na początku 1982 r. miejscem spotkań nowej, solidarnościowej emigracji stała się pracownia polskiego artysty Grzegorza Wróblewskiego. W miejscu zwanym „Nasza Wiosna” można było przy lampce wina posłuchać ballad w wykonaniu Jacka Karczmarskiego czy też Nataszy Czermińskiej i wymienić informacje na temat sytuacji w Polsce.

Istotnym problemem dla setek Polaków, którym stan wojenny uniemożliwił powrót ze stolicy Francji do Polski (turystom, osobom przebywającym w podróży służbowej, na stażu naukowym), było zorganizowanie warunków życia we Francji na dłuższy bądź, jak to wielu sądziło, krótszy okres: załatwienie pracy, mieszkania, uregulowanie formalności związanych z pobytem. Nowym emigrantom pomagały władze francuskie, w jakimś zakresie tamtejsze instytucje i organizacje społeczne, a także niezwykle życzliwi dla Polaków obywatele francuscy. Oprócz tego pomoc przyszła ze strony zasiedziałych od dawna emigrantów, i Polskiej Misji Katolickiej. Polski kościół mieszczący się przy rue Sainte Honoré był pierwszą przystanią dla wielu nowych emigrantów z Polski. Tam otrzymywano często pierwsze praktyczne informacje, pożyteczne adresy, czasem skierowanie do pracy. Wielu ludzi znajdowało potrzebną im usługę duszpasterską, zbierało się na mszach rocznicowych, a później po mszy udawało się pod „Pomnik Solidarności”, aby zmanifestować uczucia patriotyczne.

Emigrantom, w szczególności byłym internowanym, pomagał też Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” oraz środowisko działaczy i współpracowników „Kontakt” i Komitet Pomocy Polakom, instytucja powołana przez przedstawiciela starszego pokolenia emigracji, Michała Wierusza-Kowalskiego.

Należy wyraźnie podkreślić, że pomoc materialna dla przyjeżdżających z Polski nie stanowiła podstawowego celu działania żadnej z organizacji powołanych w Paryżu przez emigrację solidarnościową. W przypadku Komitetu Koordynacyjnego „Solidarności” jego głównym zadaniem było organizowanie i koordynowanie pomocy wysyłanej z Francji strukturom podziemnej „Solidarności” w Polsce, a także informowanie francuskiej opinii publicznej o rozwoju sytuacji w Polsce. Podstawowymi jego partnerami byli Francuzi, dlatego udział działaczy komitetu w życiu emigracji polskiej w Paryżu był dość ograniczony. Przypadki współdziałania Polaków od dawna zamieszkałych w Paryżu z tą organizacją były częste, ale miały raczej charakter incydentalny. Polacy uczestniczyli w manifestacjach, udzielali pomocy przy tłumaczeniu tekstów, czasami przewozili wiadomości do kraju. Pomoc bardziej zinstytucjonalizowaną okazali szczególnie w pierwszym okresie istnienia doradcy komitetu wywodzący się z emigracji Marca 68, którzy mieli dobre kontakty zarówno w rządzącej wówczas Francuskiej Partii Socjalistycznej, jak i we francuskim MSZ: Aleksander Smolar, Krzysztof Pomian i Jerzy Mink.

Komitet Koordynacyjny „Solidarności”, od końca 1982 r. przekształcony w Biuro „Solidarności”, odgrywał jednak dość ważną rolę opiniotwórczą wśród emigracji polskiej. Rozpowszechniał wśród Polonii „Biuletyn Informacyjny” od początku 1982 r. aż do 1989 r. w cyklu najpierw tygodniowym, a później dwutygodniowym. W „Biuletynie” zamieszczano wybór prasy podziemnej pozyskiwanej konspiracyjnymi kanałami z Polski, komentarze redakcyjne i komunikaty dotyczące działalności komitetu. Każdy numer wydawany był także w wersji francuskiej, ale ponad tysiąc egzemplarzy w wersji polskiej adresowano do emigracji.

Inny charakter miało środowisko „Kontaktu”. Uczestniczyło aktywniej w życiu społeczności polskiej w Paryżu, wydawało po polsku miesięcznik o tej samej nazwie, stawiało sobie za cel przekazywanie pomocy dla ugrupowań opozycyjnych w Polsce. Równie ważne było dla niego kształtowanie opinii diaspory polskiej, nie tylko zresztą zamieszkującej Francję. Poza wspomnianym miesięcznikiem o charakterze społeczno-politycznym, rozpoczęto też produkcję nagrań magnetofonowych, a później filmów zawierających treści historyczne, dotyczące kultury niezależnej, publicystyki politycznej. Były one wysyłane do Polski oraz rozpowszechniane wśród Polonii. Jeszcze innym źródłem informacji o Polsce stało się od 1982 r. „Radio Solidarność”, niezależna stacja, której głównym animatorem był dziennikarz Jacek Piotrowski. W radiu pracowali dziennikarze różnych narodowości. Nadawano audycje głównie po francusku, ale godzinna była również po polsku.

Po ogłoszeniu stanu wojennego zainicjowano wielką akcję humanitarną polegającą głównie na wysyłaniu leków, sprzętu medycznego, odżywek i odzieży do Polski. Była ona przede wszystkim dziełem niezależnych parafii francuskich i innych organizacji charytatywnych, medycznych. Funkcję koordynatora spełniał przy przeprowadzaniu tych akcji ksiądz Eugeniusz Plater, a pomagali mu z wielkim poświęceniem polscy współpracownicy, doktor Alina Edelman i kilka innych osób związanych z paryskim Komitetem „Solidarności”.

Od kryzysu połowy lat osiemdziesiątych do sukcesu 1989 roku

Stopniowe wygasanie nastrojów opozycyjnych i kryzys działalności podziemnej w Polsce najwyraźniej odczuwalny na przełomie 1985 i 1986 r. odbiły się również w środowiskach emigracyjnych. Część działaczy opuściła wówczas Biuro „Solidarności”, nie wierząc w sens jego dalszego trwania. Na manifestację pod ambasadą polską przychodziło coraz mniej ludzi. Z wnętrza polskiego kościoła zniknął wiszący od kilku lat transparent z napisem „Solidarność” (pojawił się ponownie w 1988 r.). Wszystko to nie oznaczało jeszcze kompletnego upadku wiary w możliwość przywrócenia demokracji w Polsce, ale odczuwalne były bezsilność i zniechęcenie.

Sympatia większości Francuzów nadal była po stronie polskiej opozycji. Odczuł to generał Jaruzelski, gdy niespodziewanie odwiedził Paryż. Powitała go niezwykle wroga manifestacja, w której uczestniczyło kilka tysięcy osób, w większości działacze francuskich związków zawodowych, ale też znane osobistości życia publicznego, jak chociażby wybitny aktor i sympatyk „Solidarności” Yves Montand. W tłumie manifestantów było też sporo osób polskiego pochodzenia.

Od połowy lat osiemdziesiątych pomimo widocznej mniejszej popularności spraw polskich we Francji Biuro „Solidarności” bardzo dobrze współpracowało zarówno z francuskimi działaczami związkowymi i politycznymi, jak też ze strukturami podziemnymi w kraju. Nawiązano kilkanaście umów współpracy regionalnej związków francuskich i ich odpowiedników z „Solidarności”. Wielu polskich drukarzy podziemia, dziennikarzy, działaczy tajnych komisji zakładowych odbywało szkolenia we Francji, a kilkaset dzieci z rodzin solidarnościowych przyjeżdżało na wakacje. Współpraca Biura „S” z innymi organizacjami polskimi w Paryżu, choć jej formy były ograniczone, układała się całkiem dobrze. Przede wszystkim współdziałano z „Kontaktem”, ale też z wydawnictwem „Spotkania”, „Radiem Solidarność”

oraz z reprezentantami starszej generacji emigrantów, działającymi w Bibliotece Polskiej i Stowarzyszeniu Kombatantów. Coraz więcej przedstawicieli opozycji przyjeżdżających do Paryża odwiedzało po kolei siedziby różnych organizacji emigracyjnych. Poszukiwano informacji, porad i pomocy dla grup opozycyjnych w Polsce.

Coraz częściej dochodziło też do spotkań (mniej czy bardziej publicznych) przebywających czasowo we Francji przedstawicieli opozycji z emigrantami. Takimi miejscami spotkań były: Centrum Dialogu prowadzone przez księży pallotynów, Biblioteka Polska, „Kontakt”.

Do znacznego ożywienia w życiu „polskiego Paryża” doszło w 1988 r. Spektakularne zwieńczenie tego okresu stanowiła wizyta złożona w listopadzie przez Lecha Wałęsę oraz towarzyszących mu Andrzeja Wielowieyskiego i Bronisława Geremka. Sama wizyta była wielkim wydarzeniem publicznym. Przewodniczący „Solidarności” przyjechał na konferencję międzynarodową organizowaną przez władze Francji, ale w programie wizyty współorganizowanym przez Biuro „Solidarności” znajdowało się niemało miejsca na spotkania z emigracją. Najważniejsze odbyło się w podziemiach kościoła Saint Pierre du Gros Cailou. Wałęsa przemawiał do ponad trzech tysięcy ludzi i odpowiadał na zadawane mu pytania. W spotkaniu tym wziął udział Jerzy Giedroyc, który od lat nie pojawiał się w Paryżu. Została wówczas wzbudzona nadzieja, że przełom w Polsce jest nieuchronny.

Po zawarciu porozumień Okrągłego Stołu doszło do jeszcze jednej masowej mobilizacji emigracji przed wyborami do sejmu i senatu. W samych wyborach w Paryżu wzięła udział największa liczba osób legitymujących się obywatelstwem polskim od czasu drugiej wojny światowej. Przeważały zdecydowanie głosy oddane na powrót do niepodległości i demokracji.

Krótki bilans działalności

Działania podejmowane w latach osiemdziesiątych przez polską emigrację w Paryżu można uznać za udane i pożyteczne, chociaż największej pomocy Polsce udzielili Francuzi, Włosi, Amerykanie, Niemcy i Brytyjczycy.

Czasem jednak działacze emigracyjni inspirowali cudzoziemców. Można stwierdzić, że ośrodki polskie z Paryża wykazały duży rozmach i determinację w akcjach wspomagających polską opozycję demokratyczną. Po zwycięskich wyborach z 1989 r. większość działaczy emigracji solidarnościowej z Paryża podjęła jedyną logiczną decyzję o likwidacji organizacji i powrocie do Polski. Zostali ci, dla których powrót był zbyt trudny z przyczyn osobistych. Została też większość uchodźców należących do fali emigracji solidarnościowej, którzy osiedli na francuskiej prowincji. Naturalnie nie opuściła też Francji cała starsza emigracja z lat przedwojennych i okresu ostatniej wojny XX w.

W niniejszym artykule jedynie zasygnalizowano najważniejsze formy aktywności paryskich środowisk emigracyjnych w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Jest to obraz niekompletny, wymagający szczegółowych badań historycznych na podstawie relacji i dokumentów, w tym dokumentów byłych służb specjalnych PRL dotyczących emigracji. Nie wolno bowiem ignorować faktu, że organizacje emigracyjne stanowiły obiekt stałego zainteresowania WSI i SB, które próbowały je infiltrować i zwalczać. W jakim stopniu były to próby udane, jaki był ich realny wpływ na funkcjonowanie ośrodków emigracyjnych – miejmy nadzieję, że na to pytanie będzie można wyczerpująco odpowiedzieć na podstawie analizy materiałów archiwalnych znajdujących się w posiadaniu Instytutu Pamięi Narodowej.

CO Z TĄ AKADEMIĄ?

We wrześniu 1944 r. ogłoszono Dekret PKWN o organizacji i zadaniach resortu kultury i sztuki, wcielający intelektualistów i twórców w budowanie socjalistycznej rzeczywistości. Wznowiono działalność starych oraz tworzono nowe uniwersytety, towarzystwa i instytucje naukowe, włącznie z reaktywowaną Polską Akademią Umiejętności.

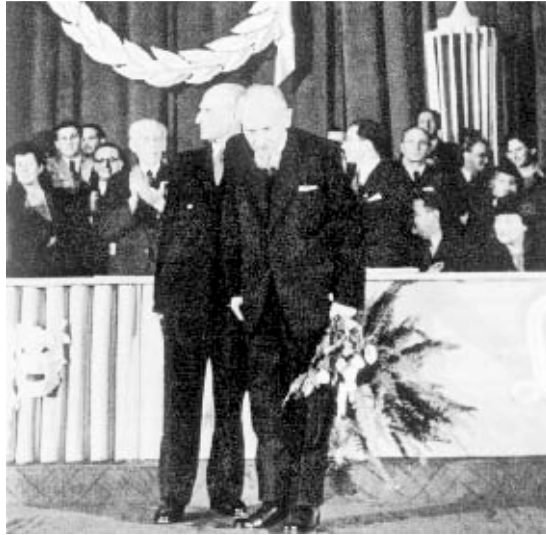
W atmosferze „odnowy moralnej narodu” na początku 1947 r. na łamach „Odrodzenia” doszło do dyskusji o wskrzeszeniu Polskiej Akademii Literatury. Opinię wyraziło 42 poetów, pisarzy, publicystów i naukowców. Pośród wypowiedzi zabrakło dwu najważniejszych głosów osób już nieżyjących: prezesa PAL Wacława Sieroszewskiego i głównego jej orędownika przed wojną, sekretarza generalnego Juliusza Kadena-Bandrowskiego.

Sanacyjna instytucja

Polska Akademia Literatury powstała w toku burzliwych debat w 1933 r. Wraz z opublikowaniem rozporządzenia Rady Ministrów o jej powołaniu ogłoszono listę pierwszych akademików, pośród których znaleźli się: Wacław Sieroszewski, Leopold Staff, Juliusz Kaden-Bandrowski, Wacław Berent, Piotr Choynowski, Zofia Nałkowska, Zenon Przesmycki. Gremium to dokooptowało ośmiu dalszych: Karola Irzykowskiego, Juliusza Kleina, Bolesława Leśmiana, Karola Huberta Rostworowskiego, Wincentego Rzymowskiego, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Jerzego Szaniawskiego oraz Tadeusza Zielińskiego. Przyjęcia godności odmówili: Kazimiera Iłakowiczówna i Andrzej Strug. W latach 1933–1939 pierwszy skład uległ zmianom: po śmierci Choynowskiego i Leśmiana, jak również po ustąpieniu z niej Rzymowskiego i Rostworowskiego, powołano: Ferdynanda Goetla, Kornela Makuszyńskiego, Jana Lorentowicza oraz Kazimierza Wierzyńskiego.

Polska Akademia Literatury – zgodnie ze statutem – stawiała sobie za cel podniesienie poziomu literatury polskiej, współdziałanie z rządem we wszystkich jego poczynaniach dla dobra kultury i sztuki polskiej, wypowiedanie opinii w sprawach języka, literatury i kultury polskiej. Przyznawała nagrody literackie (na przykład Nagrodę Młodych otrzymali Michał Choromański, Jalu Kurek, Światopełk Karpiński), stypendia dla literatów, wyróżniała utwory literackie (na przykład nagrodzono powieść Hanny Malewskiej *Żelazna korona*), nadając im tytuł „odznaczone przez Polską Akademię Literatury”. Organizowała też konkursy polonistyczne w gimnazjach całego kraju, walczyła o zmianę programów szkolnych. Ze skromnej działalności wydawniczej na uwagę zasługiwały „Roczniki PAL” oraz wydane we współpracy z firmą Gebethner i Wolff dzieła zbiorowe Bolesława Prusa i Elizy Orzeszkowej. Przyznawała też odznaczenie (często krytykowane): Złoty i Srebrny Wawrzyn, między innymi za zasługi w krzewieniu kultury polskiej i szerzenie czytelnictwa.

Od początku istnienia akademii opinia publiczna postrzegana jako prorządową, sanacyjną instytucję funkcjonującą pod dyktando ówczesnych władz, mimo że z wyjątkiem Goetla, wszyscy jej członkowie odmówili przystąpienia do Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZON-u).



Leopold Staff
i Julian Tuwim

Polska Akademia Literatury przez cały czas borykała się z trudnościami finansowymi. Nie miała własnego budżetu, korzystała jedynie z nieregularnych, skromnych subwencji rządowych. Wybuch wojny wstrzymał działalność tej instytucji.

Za ...

Do zwolenników reaktywowania akademii należał dyrektor Biura PAL Michał Rusinek, uczestnik przedwojennych nocnych dyskusji z Kadenem-Bandrowskim i Sieroszewskim w pałacu Tyszkiewiczów przy Krakowskim Przedmieściu (przedwojennej siedzibie PAL). Z akademią związany był od samego początku, dlatego w swoim wystąpieniu na łamach „Odrodzenia” dużo miejsca poświęcił idei jej założenia oraz dorobkowi. Zauważył, że z formalnego punktu widzenia nie została ona zlikwidowana, dodając: „kiedy budujemy nową kulturę, wypadłoby w myśl ogólnych zasad odbudowy przystąpić do »odgruzowania« Akademii”.

W podobnym tonie wypowiedział się Juliusz Kleiner, stwierdzając, że akademia „prawnie istnieje nadal”. Dalej tłumaczył: „powaga literatury naszej wymaga dalszego istnienia Akademii, stwierdzającego równorzędność nauki i twórczości literackiej na szczytach kulturalnego życia narodu. [...] Wznowienie Polskiej Akademii Literatury winno być jednym z dowodów, że nie zatracamy niczego z dorobku kultury naszej, że to, czemu zagroził kataklizm dziejowy, dalej budujemy”. A Tadeusz Sinko wtórował: „Sądzę, że rzeczą pożyteczną byłoby nie tyle »wskrzeszenie« przedwrześniowej PAL, ile powołanie do życia nowej, jako Strażnicy Języka czy Najwyższej Izby Kontroli jego skarbów”.

Natomiast Aleksander Wat ironizował: „Nie będzie jednak dziury w niebie, jeżeli Akademia zmartwychwstanie! I znowu ogromna czerwona tarcza z białym orłem zawiśnie nad zagrożoną głową Nałkowskiej, sekretarz Akademii napisze kolejną odę o szklance, z której popija wodę Pan Prezydent, znowu Kleiner przywita Akademię Francuską we fraku i w rannych pantoflach”.

Za wznowieniem opowiedzieli się między innymi: Jan Brzechwa, Kazimierz Brandys, Wiktor Hahn, Paweł Hertz, Jarosław Iwaszkiewicz, Gustaw Morcinek, Adolf Rudnicki, Stanisław Papée, Kazimierz Wyka, Jerzy Zawieyski, Stefan Żółkiewski.

Przeciw

Wypowiedzi oponentów były w większości krótkie. Z grona akademików po tej stronie zasiadł Leopold Staff, uważający wskrzeszenie Polskiej Akademii Literatury po prostu „za zbysteczne”. Konkretny okazał się także Ksawery Pruszyński, twierdząc: „Oj, ludzie, ludzie! Już doprawdy nie macie większych zmartwień”. Podobnie myślał Artur Sandauer, który nie widział powodów jej tworzenia. Lakonicznie wypowiedział się Julian Tuwim, stwierdzając, że tą sprawą „mało się interesuję”. Natomiast Jan Parandowski uznał reaktywowanie akademii za niepotrzebne, zwłaszcza jeśli „są pilniejsze i bardziej żywotne sprawy literackie, na które warto wydać trochę pieniędzy”. Zdecydowanym jej przeciwnikiem okazał się także Waław Borowy.

Na dłuższą wypowiedź pozwolił sobie Czesław Miłosz, proponując między innymi: „Czyż nie można dzisiaj zmienić Towarzystwa Przyjaciół Nauk w instytucję potężną, znakomicie zaopatrzoną, której poszczególne sekcje – między innymi literacka i plastyczna – spełniałyby rolę akademii literatury i sztuki? A jeżeli to jest trudne, to Instytut Literacki grupujący kilkunastu pisarzy mógłby wykonać wszelkie prace, do jakich rozpoczęcia niepotrzebny jest ani szumny tytuł Akademii, ani ordery, ani listy zasłużonych”.

Całej dyskusji smaczku nadała refleksja Jana Kotta: „Z Akademią Literatury jest jak z monarchią; jeżeli istnieje od dawna, można się przyzwyczaić, tak jak do paraliżu postępowego. Zakładać na nowo – dużo kłopotu. Łatwo się skompromitować”.

Propozycję jej wznowienia odrzucili między innymi: Stanisław Ryszard Dobrowolski, Antoni Grzymała-Siedlecki, Kazimierz Koźniewski, Maria Kuncewiczowa, Janusz Minkiewicz, Edmund Osmańczyk, Włodzimierz Słobodnik, Maria Szczepańska.

Odwrót

Dyskusja w „Odrodzeniu” nie przyniosła żadnego rezultatu. I przynieść nie mogła, choć należy podkreślić otwartość swobodę prezentowanych poglądów, coraz rzadszą w ówczesnej prasie. Polsce, poddanej rewolucji kulturalnej, nie była potrzebna instytucja kojarzona z dwudziestowiecznym niepodległościowym. Nie należało wskrzeszać ducha akademii, a razem z nim niewygodnych spraw, jak choćby plagiat książki Bertranda Russella poczyniony przez akademika Rzymowskiego – pierwszego ministra kultury i sztuki po wojnie – zakończony jego rezygnacją z Polskiej Akademii Literatury w 1937 r., czy sprawę ustąpienia Rostrowskiego z akademii i zgłoszenie przez niego *votum separatum* w stosunku do prezesa PAL. Miało to miejsce po tym, jak Sieroszewski publicznie oprotestował decyzję Księcia Metropolity Adama Sapiehy dotyczącą przeniesienia trumny Józefa Piłsudskiego z katedralnej krypty św. Leonarda do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów na Wawelu.

Obawę budziła kwestia doboru akademików, która w tamtym czasie mogła się jeszcze wymknąć kontroli reżimu.

W latach 1944–1947 władza ludowa prowadziła jeszcze grę pozorów z narodem. Przekonana, że ma monopol na wszystko i wie lepiej, czego społeczeństwu potrzeba, systematycznie wprowadzała zasady reglamentacji i dystrybucji w życie kulturalne narodu.

Gasty pozory wolności słowa, swobody wypowiedzi. W nadchodzącej „nowej rzeczywistości” nie było miejsca dla „Odrodzenia”, zlikwidowanego w 1950 r. Niewygodna stawała się również niezależność Polskiej Akademii Umiejętności, którą, na wzór sowiecki, postanowiono przekształcić w Polską Akademię Nauk. *De facto* oznaczało to likwidację instytucji naukowej obchodzącej wtedy osiemdziesięciolecie działalności.

W kraju od końca lat czterdziestych zaczął obowiązywać stalinowski model społeczeństwa. Nastąpił odwrót od korzeni i tradycji kultury polskiej.

POMPA FUNEBRIS (TROCHĘ PŁOTECZEK O POGRZEBACH)

„Zmarli moi, nie opuszczajcie mnie!
Tylko przy waszej śmierci bliski jestem życia”

(Kazimierz Wierzyński, *Do moich zmarłych*)

Kojmeterjon znaczy „sypialnia”. Terminem tym określali Grecy miejsce grzebania zmarłych, stąd pochodzi łacińskie *cemeterium* i jeden krok do swojskiego – cmentarza. Nawet tak spokojne miejsce, stanowiące *asylum* we wszystkich chyba kulturach, w okresie powojennym było areną starcia władz komunistycznych z Kościołem.

Cmentarz katolicki i cały kościelny obrządek pogrzebowy budził we władzach Polski Ludowej uczucia dwojakie. W sposób widoczny kłócił się z raczkującą obrzędowością „laicką” (która zresztą nigdy nie wyszła poza stadium prób i eksperymentów). Świadczył jednocześnie o wyobcowaniu „przywódców narodu” i „awangardy klasy robotniczej” z narodowej kultury, w którą od tysiąclecia wpisana była chrześcijańska religijność i jej obrzędy, od kołtyki po deskę grobową.

W czasach stalinowskich religijne atrybuty śmierci częstokroć były przydatne władzy państwowej, aczkolwiek z przyczyn najzupełniej areligijnych. W latach 1944–1947 komuniści nader chętnie korzystali z pomocy duchowieństwa w uświetnianiu wszelkich masowych imprez, starając się uwiarygodnić wobec polskiego społeczeństwa. Jednak zdecydowana postawa hierarchii uciniała te polityczne umizgi. Zdarzały się niemniej głośne przypadki publicznej symbiozy władzy świeckiej i duchownej. Kiedy 1 kwietnia (!) 1947 r. urządzono z wielką pompą pogrzeb zamordowanego cztery dni wcześniej gen. „Waltera” (Karola Świerczewskiego, członka KC PPR, weterana wojny hiszpańskiej), egzekwie w Centralnym Domu Żołnierza odprawił w obecności prezydenta Bolesława Bieruta generalny dziekan WP ks. Stanisław Warchałowski. W kondukcje za trumną komunisty kroczyli księża, a jak donosiła prasa rządowa nad ulicą „unosił się cichy szept modlitwy”. Tymczasem ta prawdziwa, warszawska ulica komentowała całą szopkę następująco: „Za dużo sztandarów, za mało trumien”.

W specyficzny sposób duchowieństwo katolickie uczciło pogrzeb Józefa Stalina 9 marca 1953 r. Już kilka dni wcześniej urzędnicy wyznaniowi zarządzili we wszystkich diecezjach, by w dniu pogrzebu w każdym kościele o wyznaczonej porze biły dzwony i sygnaturki. Niemal do ostatniej chwili „wyznaniowcy” nerwowo sprawdzali, czy polecenie wszędzie dotarło, a proboszczowie zdawali sprawozdania, czy mają odpowiedni „sprzęt” na dzwonicach. Prymas Stefan Wyszyński komentował te zabiegi następująco: „Zajęliśmy stanowisko – nie przeszkadzać. [...] Ostatecznie jest to dowód, że nawet marszałkowi Stalinowi jakieś urzą-

dzenia kościelne są potrzebne”. Nakaz bicia w dzwony w dniu pogrzebu Generalissimusa należy uznać za przejaw myślenia magicznego komunistów, ewentualnie za implant z wschodniej granicy, gdzie ubezwłasnowolniona Cerkiew identyfikowała się z aparatem państwowym i podobne akty gorliwości religijnej nie budziły zdziwienia.

31 stycznia 1959 r. ukazała się ustawa o cmentarzach i chowaniu zmarłych, regulująca dość szczegółowo kwestie pochówków. Zarząd i utrzymanie cmentarzy wyznaniowych pozostawiono w gestii Kościołów (związków wyznaniowych) – przede wszystkim dotyczyło to parafialnych cmentarzy katolickich. Wątpliwości nie budził również przepis mówiący o pochówku na cmentarzach kościelnych zmarłych osób niewierzących lub należących do innych wyznań chrześcijańskich czy religii. Było to możliwe, gdy w danej miejscowości nie istniał cmentarz komunalny (czyli pod zarządem władz samorządowych lub administracyjnych). Taka też dotąd była praktyka władz kościelnych, udostępniających miejsca pochówku nie tylko katolikom. Podobnie użyczyły sobie ziemi różne wyznania, na przykład cmentarz prawosławny na warszawskiej Woli ze względów finansowych po ostatniej wojnie utworzył w części północnej kwatery dla wiernych wyznania katolickiego.

Istniało jednak ważne rozróżnienie dotyczące miejsca i sposobu pochówku. Cmentarz, zgodnie z tradycją i prawem kanonicznym, stanowi miejsce święte, *locus sacer*. Wywodzi się to z okresu późnej starożytności, gdy zmarłych wiernych zaczęto grzebać wokół kościołów, gdzie spoczywały relikwie męczenników. Chrześcijanie pragnęli, by po śmierci ich ciała pozostawały w bliskości świętych członków, czekając w doborowym towarzystwie dnia Sądu Ostatecznego. W świecie chrześcijańskim stopniowo poniechano więc grzebania zmarłych na wzór rzymski – w specjalnych katakumbach poza miastem. W końcu XVIII stulecia we Francji i w Polsce pojawiły się pierwsze cmentarze „w polu”, poza wałami miejskimi (na przykład Cmentarz Świętokrzyski w Warszawie na Koszykach, w granicach parafii Świętego Krzyża). Początkowo budziły niechęć, jednak zarządzenia władz państwowych oraz wysiłki duchowieństwa sprawiły, że przyzwyczajono się do owej nowinki. Warszawiaków przekonał biskup smoleński Gabriel Wodzyński, który w testamencie, odczytanym z ambon świątyni warszawskich, polecił, by pochować go na Koszykach, co też się stało w 1788 r. Dla ulotnej pamięci postawiono na grobie kamień z łacińskim napisem „Tu chcę być pogrzebion”. W ten sposób uświęcono w oczach ludności nową formę grzebalną i od tamtego czasu podobne nekropolie, zarządzane przez parafie lub gminy wyznaniowe, stały się elementem miejskiego krajobrazu. Osobne, odgródzone kwatery były przewidziane, by nie wprowadzać zamieszania w porządku doczesnym i wiecznym, dla osób chowanych z różnych przyczyn w niepoświęconej ziemi (bezbożnicy, innowiercy, samobójcy, ekskomunikowani, niechrzczeni). Zaznaczamy owe antecedensy, by uświadomić Czytelnikowi charakter kościelnego cmentarza, stanowiącego i w prawie, i w tradycji obiekt sakralny.

Ustawa z 1959 r. nakazywała przy pochówkach na równi traktować wiernych wyznania katolickiego i pozostałe osoby, gwałcąc tym samym specyfikę i świętość cmentarza kościelnego, „równość” bowiem miała dotyczyć „wyznaczenia miejsca pochowania, właściwego ceremoniału pogrzebowego, wznoszenia nagrobków itp.” Co więcej, jeśli przepis ów zostałby złamany, władze państwowe w drodze restrykcji miały prawo konfiskaty cmentarza z rąk kościelnych i przekwalifikowania go na cmentarz komunalny. Cała absurdalność sytuacji wynikała stąd, że prawo karne groziło karą pozbawienia wolności do lat pięciu za czyny w pewnych okolicznościach wzajemnie się wykluczające, mianowicie – za zmuszanie do udziału w obrzędach religijnych, za bezprawne powstrzymywanie od tegoż udziału oraz za odmowę „udostępnienia obrzędu [...] z powodu działań lub poglądów politycznych”.

Otóż ustawy „obrzęd” zgodnie ze zdrową logiką oznaczał katolicki pochówek z zachowaniem zasad prawa kanonicznego w tym względzie. Sęk w tym, że pod pojęcie „obrzędu religijnego” władze podkładały dowolne znaczenie, ignorując obowiązujące zasady prawa kanonicznego w zakresie pochówków. Pogwałceniem wolności religijnej Kościoła było chowanie w poświęconej ziemi, przeznaczonej dla ciał wiernych, tak zwanych osób bezwyznaniowych, ale nie tylko. W ten sposób niewierzących w sposób pośredni zmuszano po śmierci do udziału w „obrzędzie”. Łopatologicznie tłumaczył to sekretarz Episkopatu bp Zygmunt Choromański dyrektorowi Urzędu ds. Wyznań: „Wytwarza się paradoksalna sytuacja – ludzie, którzy za życia nie uznawali krzyża, a nawet prowadzili z nim walkę, będą zmuszeni spoczywać po śmierci między krzyżami” (list z 1959 r.).

Ustawa z 1959 r. stanowiła odpowiedź władz na incydent, który miał miejsce rok wcześniej w mazowieckim Żurominie. Tamtejszy wiekowy proboszcz (88 lat), ks. Ignacy Staniaszko, nie zgodził się na pogrzeb na cmentarzu parafialnym przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Kiedy ruszył kondukt pogrzebowy, wikary ks. Czarniecki usiłował z grupą parafian przeszkodzić ceremonii. Ostatecznie pochówek odbył się, uczestnicy wykopali grób (wcześniej na polecenie proboszcza zasypany), a osłaniająca uroczystość milicja aresztowała dziewięć osób. Ks. Czarniecki został skazany w maju 1958 r. na półtora roku więzienia przez Sąd Wojewódzki w Warszawie. Cały incydent niewątpliwie był sprowokowany i wykorzystany przez władze, które postanowiły dać nauczkę niepokornemu duchowieństwu. W Urzędzie ds. Wyznań komentowano: „Sens więc [jest] taki – kto sieje wiatr, zbiera burzę. Nie optaci się [Kościołowi] wywoływać tarć i zadrażnień” (1959 r.).

Afera wokół pogrzebu nieszczęsnego przewodniczącego ma jeszcze jeden wymiar, kulturowo-społeczny. Ukazuje, że wyjątkowość „naukowego światopoglądu”, tak silnie eksponowana w propagandzie komunistycznej, przegrywała na całej linii w zetknięciu z zakorzenioną od tysiąclecia religijnością. Po pierwsze, w obliczu spraw ostatecznych ustalony za życia światopogląd zmieniało wielu partyjnych czynowników i pogromców Kościoła. Po drugie, *in articulo mortis* okazywało się, że elita narodu wcale nie chce być spośród tego narodu wyobcowana, co więcej, że owo wyobcowanie, niegdyś powód dumy komunistów, jest przykrym zgrzytem w sielankowym obrazie jedności, jaki roztaczała propaganda. Jeżeli ktokolwiek miał się ważyć na tle religijne (jak formułował to odpowiedni dekret – „kto publicznie nawołuje do waśni na tle religijnym...”), to tylko grupki rozfanatyzowanych dewotek i księży, nigdy zaś władze państwowe.

Cmentarze, jak i inne obiekty sakralne, stanowiły w oczach komunistów własność podzieloną, jak w typowym gospodarstwie feudalnym. Władza kościelna miała, i owszem, prawo zarządzania obiektem i użytkowania go, jednak tak zwana własność zwierzchnia, na mocy różnych skomplikowanych aktów prawnych niskiego rzędu, należała częstokroć do władzy państwowej lub przynajmniej władza ta uzurpowała sobie prawo do sprawowania takiej zwierzchności. Przykładem charakterystycznym była omówiona wyżej ustawa o cmentarzach z 1959 r., grożąca konfiskatami. Podobny w istocie cel miała polityka podatkowa. I tak na przykład w 1955 r. minister finansów Tadeusz Dietrich nałożył na Cmentarz Powązkowski w Warszawie podatek obrotowy (za lata 1954–1955) w wysokości prawie 200 tys. zł (średnia płaca wynosiła ówczesnie około 1000 zł). Od razu również zajęto pieniądze cmentarza spoczywające na koncie PKO. Równolegle wymierzono Cmentarzowi Bródnowskiemu podatki za 1950 r., obrotowy – około 60 tys. zł i dochodowy – około 45 tys. zł. W ten sposób potraktowano oba cmentarze katolickie jako „prywatną inicjatywę”, przynoszącą na dodatek spore dochody właścicielowi (czyli Kurii Metropolitalnej Warszawskiej i podległemu jej Do-

zorowi Cmentarzy). Nie grał roli fakt ogólnej użyteczności publicznej obu cmentarzy, obowiązku świadczenia pochówków przez władze kościelne, wydatkowania całości dochodów na utrzymanie nekropolii i wreszcie zabytkowy ich charakter, z trudem przywracany przez cały okres powojenny po zniszczeniach.

Problem własności kościelnej i stosunku władz do obiektów sakralnych miał szczególne znaczenie na ziemiach zachodnich i północnych oraz w Gdańsku. Kościół polski przejął tam obiekty poniemieckie, zarówno należące wcześniej do Kościoła katolickiego, jak i Kościołów ewangelickich. W latach 1959–1971 trwał spór wywołany przez komunistów, którzy uznali, że cały ów majątek przeszedł nieprawnie w ręce kościelne i należy do skarbu państwa. Argumentacja ta miała specyficzny wydźwięk wobec nieuregulowanej (zresztą po dziś dzień) sprawy własności poniemieckiej i historycznego sporu o polskość owych ziem. Episkopat Polski w 1959 r. monitował premiera Józefa Cyrankiewicza: „polskość tych ziem znalazła się w jawnej i rażącej sprzeczności z okólnikiem nr 20 [ministra gospodarki komunalnej], który usiłuje urzędowo stwierdzić niemieckość tych ziem i ich pomników polskiej przeszłości; budowle kościelne fundowane i wznoszone, budowane ręką polską w polskim duchu na Ziemiach Zachodnich »uznane« zostały przez Ministra Gospodarki Komunalnej, ku radości rewizjonistów niemieckich i wrogów Polski, za mienie »czysto niemieckie«, więc nie polskie!”. Spór jednak miał głębsze podłoże, dotyczył delikatnego rozróżnienia między kulturą polską a niemiecką w miejscu przenikania się wpływów obu nacji oraz stosunku do historii i kultury niemieckiej na „Ziemiach Odzyskanych”. Fatalny przykład niewątpliwie dały władze hitlerowskie, które podczas okupacji wielokrotnie dopuszczały się profanacji cmentarzy. Rozkopanie kirkutów (cmentarzy żydowskich), używanie macew (kamieni nagrobnych) do brukowania placów bądź ulic, usuwanie z cmentarzy katolickich śladów polskości przez burzenie pomników, skuwanie napisów itp., niejednokrotnie na życzenie (przymuszanych nieraz co prawda) władz kościelnych niemieckich – nie mogło pozostać obojętne dla społeczeństwa. W okresie powojennym cmentarze niemieckie uległy ruinie i zapomnieniu po ucieczce i wysiedleniu ludności niemieckiej oraz autochtonicznej po 1945 r. Jednak do dewastacji przyłożyli się również Polacy, co było skutkiem wojennego zdżyczenia obyczajów oraz specyficznej, komunistycznej *pompa funebris*, usiłującej pogodzić ogień z wodą.

Trzeba powiedzieć, że hierarchia kościelna w Polsce często interweniowała na korzyść katolickiej ludności niemieckiej. I tak na przykład na początku 1948 r. doszło do sporu kurii katowickiej z Urzędem Wojewódzkim Śląsko-Dąbrowskim, który nakazał wyrugować z jednego z kościołów zabrzańskich *Te Deum* śpiewane po niemiecku. Po interwencji bp. Juliusza Bieńka wojewoda śląski (1945–1948) gen. Aleksander Zawadzki nakazał cofnąć decyzję. Prymas Polski (1926–1948) August Hlond, który wyznaczył w 1945 r. administratorów apostołskich diecezji na ziemiach zachodnich i północnych, stał się swoistym opiekunem katolików niemieckich, starając się, by mieli możliwość uczestniczenia w liturgii w języku ojczystym. Od końca 1947 r. specjalne komisje obywatelskie, powołane na rozkaz gen. Zawadzkiego, przeglądały (pod patronatem lokalnych władz) miejsca publiczne oraz lokale prywatne, badając, czy znajdują się tam napisy niemieckie. Rodziny zmarłych i parafie musiały usunąć owe napisy z nagrobków i kościołów. Czyniono jednak to niechętnie i w rezultacie 23 kwietnia 1948 r. gen. Zawadzki powołał kolejne komisje, powiatowe, z prawem kontroli działań komisji obywatelskich. Ostateczny termin akcji „oczyszczania” Śląska z tożsamości niemieckiej został wyznaczony na święto 22 Lipca tego roku. Jednak poza Górnym Śląskiem gorli-

wość władz administracyjnych była słabsza (na przykład wojewoda gdański w lipcu 1949 r. nakazywał pozostawiać w spokoju nagrobki niemieckie).

Poniżej drukujemy dwa dokumenty na temat wydarzeń poprzedzających pogrzeb „polskiego stachanowca”, przodownika pracy Wincentego Pstrowskiego, który odbył się 21 kwietnia 1948 r. na cmentarzu św. Anny w Zabrze. Dokumenty opowiadają o dewastacji owego cmentarza i reakcji władz kościelnych.

Pochówek Pstrowskiego był świecki, tłumny (złośliwa plotka później powtarzała „Chcesz mieć pogrzeb boski, pracuj jak Wincenty Pstrowski!”). Wincenty Pstrowski, górnik przodowy, urodził się w 1904 r. Od 1928 r. pracował w kopalniach polskich i belgijskich. Do ojczyzny powrócił w 1946 r., wstąpił do PPR. Jako rębacz kopalni „Jadwiga” ogłosił 27 lipca 1947 r. słynny list otwarty do górników, wzywający do współzawodnictwa pracy. Dzięki temu zwiększył swą dniówkę z 70 do 700 zł, wyrąbując 273 proc. normy. W wyścigu z Pstrowskim brał udział górnik Alfons Thiel, jednak obu pobił w końcu niejaki Bernard Bugdoł, uzyskując 557 proc. Krótko, na jeden miesiąc wyprzedził go Czesław Zieliński, znów wyprzedzony przez Bugdoła. Obu w zabójczym wyścigu usiłował pobić Pstrowski, ale – umarł.

Autorzy prezentowanych dokumentów to ks. Bolesław Kominek, ówczesnie administrator apostołski Śląska Opolskiego (1945–1951), oraz ks. Franciszek Pieruszka (zm. w 1986 r.), proboszcz parafii św. Anny w Zabrze (1939–1954, 1956–1986), w czasach stalinowskich wydalony ze Śląska na teren archidiecezji krakowskiej (gdzie zawarł trwałą znajomość z ks. Karolem Wojtyłą). Wymieniony w liście ks. Pieruszki Paweł Dubiel, prezydent Zabrze od 16 marca 1945 do 1 kwietnia 1950 r., rozpoczął tak zwaną weryfikację narodowościową mieszkańców.

Początki parafii św. Anny (St. Annakirche) w dzielnicy Zabrze (Hindenburg) – Dorota sięgają 1900 r., kiedy konsekrowano nową, neoromańską świątynię i wydzielono teren z istniejącej parafii św. Andrzeja Apostoła. Po erygowaniu parafii, w 1905 r. poświęcono parafialny cmentarz. Parafian było około 8 tys. Podczas wojny kościół został trafiony ośmioma bombami, władze niemieckie skonfiskowały także mienie kościelne. 19 marca 1945 r. miasto przejęły władze polskie, znaczna część parafian wyjechała, na ich miejsce pojawili się Polacy ze wschodu oraz z Westfalii i Francji. Dotkliwych szkód obiekty parafialne doznały dwukrotnie – 20 kwietnia 1948 r. z rąk miejscowej młodzieży szkolnej (o czym niżej) oraz 10 sierpnia tego roku, gdy nad Zabrzem przeszedł huragan¹.

DOKUMENT nr 1

Opole, 18 maja 1948 – List administratora apostołskiego w Opolu ks. Bolesława Kominka do prymasa Augusta Hlonda w sprawie cmentarzy niemieckich

Administrator Apostolski
 Śląska Opolskiego
 Opole, dnia 18 maja 1948 r.

L. V. H. V. – 196/48

Poufnie.

Jego Eminencja
 Najprzewielebniejszy Ksiądz August Kardynał HLOND
 PRYMAS POLSKI

WARSZAWA

Waszej Eminencji przesyłam zupełnie autentyczny opis zdemolowania cmentarza w Zabrze z okazji pogrzebu przodownika pracy Pstrowskiego (pogrzeb był niekościelny). Jest to charakterystyczny wycinek akcji oczyszczania cmentarzy z napisów niemieckich, przeprowadzanej od szeregu miesięcy w województwie śląsko-dąbrowskim, o czym Waszej Eminencji już ustnie referowałem. Cmentarze z potamanymi krzyżykami i zniszczonymi nagrobkami są u nas zjawiskiem bardzo częstym. Motorem całej akcji jest sam wojewoda gen. Zawadzki, podczas gdy jego najbliżsi współpracownicy wyrażają bardzo poważne zastrzeżenia co do barbarzyńskiego sposobu jej przeprowadzenia. Ludność tutejsza czyni porównania z likwidacją cmentarzy i bóżnic żydowskich przez hitlerowców. Wypadek użycia działwy dla burzenia pomników jest nieodosobniony – zachodził już w innych miejscowościach.

Przyczyna: starsi wzdrgają się przed tą robotą, uświadamiając sobie jej niegodziwość i nie chcąc popełnić świętokradstwa. Działwa nie zdaje sobie z tego sprawy, co czyni, i wykonuje rozkazy starszych (wójta lub jego zastępcy).

Mimo kilkakrotnych nalegań ze strony władz, nie dałem księżom żadnego polecenia, aby w tej akcji wzięli udział. Poleciliśmy tylko usunąć z kościołów i cmentarzy to, co obraża uczucia religijne oraz sprzeczne jest z rzeczywistością polską na tych terenach, np. swastyki hitlerowskie i im podobne oznaki nacjonalizmu niemieckiego, nie licujące z świętością miejsc bożych. Mimo to podobno urząd wojewódzki powołuje się na zgodę naszą na ową akcję.

Donoszę o powyższym, gdyż obawiam się, że sprawa bez naszej przyczyny znajdzie nieprzychylny dla Kościoła w Polsce odgłos za granicą. Gdybym w obecnej chwili ogromnej agitacji przeciw Papieżowi itd.² zaprotestował w tej kwestii u wojewody, w ministerstwie lub gdziekolwiek indziej, rozpętają taką nagonkę przeciwko nam w Opolu o zdradę Państwa itd., że wolimy publicznie nie protestować. Nie mamy zresztą możliwości, by to uczynić. Duchowieństwo jest doskonale poinformowane o stanie rzeczy.

Donoszę Waszej Eminencji poufnie o tym i przyjmę, gdyby Wasza Eminencja uznała za potrzebne, ew[en]t[ua]l[nie] dalsze wskazania w tej sprawie. Nawiasem dodaję, że o ile dotąd wojew[oda] śląsko-dąbr[owski] gen. Zawadzki był w atakach na Kościół b. wstrzemięzliwy, licząc się z katolickim charakterem ludności, to w ostatnim czasie przestaje panować nad sobą i zaczyna coraz gwałtowniej atakować papieżstwo i inne instytucje kościelne.

Łączę wyraz najgłębszej czci dla Waszej Eminencji.

^bAdministrator Apostolicus Silesiae Opolensis

^cKs. Bolesław Kominek^c

Boleslaus Kominek^b

Administrator Apostolski

mps, 2 strony

^{a-a} Nadruk urzędowy.

^{b-b} Pieczęć okrągła z herbem, na wzór herbu Opolu.

^{c-c} Podpis odręczny.

Dokument nr 2

Zabrze, 8 maja 1948. List ks. Franciszka Pieruszki do Administracji Apostolskiej w Opolu w sprawie profanacji cmentarza św. Anny w Zabrze

^aOdpis^a

Katolicki Urząd Parafialny Świętej Anny

ZABRZE

Zabrze, dnia 8 maja 1948 r.

Do
Najprzewielebniejszej Administracji Apostolskiej
Śląska Opolskiego
w OPOLU

Z okazji chowania zwłok śp. przodownika pracy Wincentego Pstrowskiego, które odbyło się dnia 21 kwietnia br., znieważono w sposób niezwykły cmentarz św. Anny. Zmarły Wincenty Pstrowski został pochowany w tej części, która należy do gminy parafialnej św. Józefa, ale w całym rozmiarze z cmentarzem św. Anny graniczy. Oba cmentarze, św. Anny i św. Józefa, stanowią tam jedną całość bez przegrody. Przebieg przedmiotowego zajścia na cmentarzu jest następujący:

W przededniu pochowania, to jest we wtorek, dnia 20 kwietnia, przyjechała w godzinach rannych komisja na cmentarz, celem wyszukania miejsca na grób. Delegacja z prezydentem miasta, p. Dubielem, na czele zdecydowała się na miejsce położone na terenie św. Józefa. Następnie prezydent spostrzegłszy, że na cmentarzach św. Anny i św. Józefa znajdują się jeszcze pomniki z nazwiskami i napisami niemieckimi, oświadczył, że to wszystko jeszcze przed pogrzebem musi zniknąć. Po niedługim czasie, około godz. 2 po południu, zjawili się robotnicy kanalizacji miejskiej i przystąpili do pracy, wyrąbując najpierw niemieckie słowa i nazwiska z pomników. Ponieważ ta praca za dużo czasu pochłaniała, przystąpiono do bezplanowego wrywania i obalania pomników. Gdy czas i na to za krótki się okazał, przywołano w charakterze sił pomocniczych oddział uczniów z pobliskiej szkoły Przystosobienia Przemysłowego, około 80–100 chłopaków z nauczycielem, czyli kierownikiem na czele, którzy niemal wszystkie pomniki poobalali. Na tej części, na której dorosłych grzebano, zdewastowano w całości 357, a na cmentarzu dla dzieci około 40 pomników, z których kilka zostało obalonych, inne zaś całkowicie rozbite i zdemolowane. Najzuchwalej zachowywały się w tym dzieci z pobliskich domów, które także zawezwano do pomocy. Były to przeważnie dzieci w wieku od 8–12 lat, zaopatrzone w siekiery, młotki i kamienie, i tymi narzędziami swawolnie rozbijały pomniki, płyty grobowe, korpusy Chrystusowe itp. bez względu na treść napisów. Tak się np. zdarzyło, że płyty grobowe, odnośnie do napisów wzorowo pozmieniane, rozbito i usunięto, zaś inne z napisami niemieckimi nie naruszono. Tak samo porozbijano krzyże, które w ogóle napisów nie miały, mianowicie wielką ilość krzyżów drewnianych, na których był tylko Corpus Chrystusa. Dalej zdemolowano pomniki, na których były tylko nazwiska, i to zupełnie nie rażące. Przy tej okazji usunięto też wszystkie pomniki poległych na wojnie, a to nie tylko poległych z wojny światowej 1939–1945, ale też i pomniki wszystkich żołnierzy z wojny 1914–1918. Ogólnie padło ofiarą 80 grobów żołnierskich z wojny 1914–1918, w tym 39 Rosjan, 37 Niemców i 4 żołnierzy rumuńskiej i jugosłowiańskiej narodowości. Każdy grób był oznaczony tablicą z żelaza lanego i krzyżem. Wszystkie pomniki żołnierskie, włącznie [z pomnikami] rosyjskich i jugosłowiańskich żołnierzy, zostały usunięte, niektóre rozbite. Pomników żołnierskich usunięto: 80 z wojny światowej 1914–1918 i 12 z wojny światowej 1939–1945. Złom, mianowicie 29 kamieni, odwieziono jeszcze w tym samym i następnym dniu autem ciężarowym przy użyciu robotników miejskiej kanalizacji.

/-/ Ks. prob[oszcz] Pieruszka.

°°° Pieczęć.

mps, 1 strona

Dokumenty pochodzą z Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie, Archiwum Prymasa Polski (akta prymasa Augusta Hlonda, zespół nieuporządkowany)

¹ Składam niniejszym serdeczne podziękowania Krzysztofowi Madejowi za tłumaczenie tekstów niemieckich o parafii św. Anny w Hindenburgu-Zabrze.

² Chodzi o nagonkę na osobę Piusa XII w związku z jego listem z marca 1948 r. do biskupów niemieckich, w którym papież pisał o niesprawiedliwym odwecie i wypędzeniu po 1945 r. rzekomo 12 mln Niemców z przyznanych Polsce ziem zachodnich i północnych. Co więcej, Ojciec Święty pisał o konieczności cofnięcia w miarę możliwości „tego, co zostało dokonane”.



ROZLICZENIE Z SOCREALIZMEM – VII ZJAZD ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Swoboda twórcza w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny światowej zanikła po całkowitym rozgromieniu opozycji politycznej. W efekcie zmian politycznych nastąpiła także ofensywa komunistów na „froncie kulturalnym”. W pierwszym rządzie objęła ona środowisko literatów, których Stalin uważał za inżynierów dusz ludzkich, przypisując im znaczącą rolę w procesie budowy systemu i tworzenia „nowego człowieka” socjalizmu.

Wiara w kreatywną moc słowa nakazywała literatom nie tylko opisywać, ale wręcz tworzyć nową rzeczywistość. By skutecznie literaci mogli odegrać swą rolę, należało wyeliminować swobodę twórczą, podporządkować ich jednemu ośrodkowi decyzyjnemu i wytyczyć jeden kierunek. Dlatego też na początku 1949 r. odbył się w Szczecinie zjazd Związku Literatów Polskich, na którym ówczesny minister Włodzimierz Sokorski przedstawił nowe zasady twórczości literackiej. „Nie istnieje neutralna postawa pisarza” – podkreślił Sokorski, a Stefan Żółkiewski dopowiedział: „wartość dzieła literackiego sprawdza się odpowiedzią na pytanie, co zdziałało dla budowy socjalizmu w Polsce”. Upaństwowienie całokształtu życia w Polsce spowodowało, że zanikł prywatny mecenat. Państwo kontrolowało rynek wydawniczy, tylko ono mogło więc zamówić i wydać dzieło literackie i co nie mniej ważne, zapłacić za nie, zapewniając artyście egzystencję. Mogło także nie tylko zakazać pracy twórcom, ale nawet, przynajmniej we własnym mniemaniu, wymazać niepokornego literata z przeszłości. W tych warunkach pisarze stanęli przed trudnym i, jak się wydawało, ostatecznym wyborem: albo podporządkować się narzuconym odgórnie zasadom, mimo że oznaczały one często całkowite zerwanie z dotychczasową linią własnej twórczości i wpisanie się w nurt „budowniczych socjalizmu”, albo zupełnie wycofać się z życia artystycznego. Przekonanie o wiecznie trwałym systemie nie pozwalało bowiem na przyjęcie postawy wycofującej. Zdecydowana większość pisarzy w mniejszym lub większym stopniu uległa tej presji.

Śmierć Stalina, a następnie przełom październikowy 1956 r. przyniosły kres sterowaniu kulturą. Przed pisarzami stanął teraz trudny problem rozliczenia się z własną przeszłością. Ta problematyka zdominowała obrady VII Zjazdu Związku Literatów Polskich, który odbył się na przełomie listopada i grudnia 1956 r.

Początkowo nic nie zapowiadało burzy. Być może nikt nie zwrócił uwagi na zdanie wypowiedziane przez Michała Rusinka, który wycofując swoją kandydaturę do prezydium zjazdu, stwierdził, że zamierza wystąpić z przemówieniem, „które może nie będzie dogadzało pewnej grupie na sali”. Także w liście skierowanym do uczestników zjazdu przez KC PZPR, choć w nowych słowach, pobrzmiwały stare tony. Podkreślono wprawdzie, że literatura polska

chwalebnie zapisała swą kartę w walce o socjalistyczną i demokratyczną myśl naszego narodu i naszej partii, śmiało i odważnie demaskując dogmatyzm, obłudę i kłamstwo, jednak równocześnie podkreślano, że „kto mówi szczerze: socjalizm i demokracja – ten musi rozumieć, że oznacza to skupienie wszystkich żywych, twórczych sił wokół idei VIII Plenum, wokół partii i jej nowego kierownictwa”, a „każdy pisarz dźwiga w swym sumieniu wielką odpowiedzialność za dalszy rozwój polskiej drogi do socjalizmu”.

Na sali obrad nie znalazł się ze względów oczywistych ani jeden obrońca realizmu socjalistycznego. Socrealizm był – zdaniem Anatola Sterna – tylko dopełnieniem stalinowskiej historii WKPb, która uczyła, że cel uświęca środki... W ciągu siedmiu lat powstała niezliczona ilość spreparowanych według wszelkich zasad sztuki dramatów socrealistycznych i powieści tej literatury, którą Rusinek nazwał literaturą buraczano-tractorową. Jednak, jak podkreślił mówca, ani jedno z tych arcydzieł nie ocalało jako dzieło literackie, a potomni będą je studiowali jako objawy psychopatologii społecznej.

Próbę rozrachunku z minionym okresem podjął ustępujący prezes – Leon Kruczkowski. Już na wstępie swego przemówienia domagał się, by w ocenie poprzedniego okresu okazywać szacunek dla prawdy i mieć poczucie odpowiedzialności za przeszłość. Protestował w ten sposób przeciwko porównaniu działalności władz związku do beriowszczyzny w aparacie bezpieczeństwa. Starał się udowodnić, że zarząd nie monopolizował w swym ręku środków materialnych, nie decydował o przyznawaniu nagród literackich, wreszcie nie odegrał głównej roli w procesie „musztrowania” pisarzy. Uprzedzając jakby kolejne wystąpienia, sugerował, by w procesie obrachunku z przeszłością nie posługiwać się zarzutami, jak to określił – „urojonymi, pretensjami wyssanymi z palca, oskarżeniami fałszywie adresowanymi”. Podkreślił, że wszyscy pisarze byli świadkami szkodliwych metod, za pomocą których ówczesna polityka kulturalna partii i państwa usiłowała wpływać na rozwój literatury i sztuki. Te fałszywe koncepcje stwarzały niepomyślny klimat dla rozwoju ambitniejszej twórczości, zachęcały do łatwizny, degeneracji pojęcia „zamówienie społeczne”, demoralizowały pisarzy i były szkołą cynizmu. Dodał równocześnie, że Związek Literatów najmocniej opierał się tej tendencji, choć przyznawał, że nie prowadzono konsekwentnej walki z absurdami w polityce partii wobec środowiska literatów, a nawet przyznawał, że związek stawał się instrumentem tej polityki. Zdecydowanie odrzucił jednak tezę, że w poprzednim okresie pojawiła się grupa zbiurokratyzowanych działaczy związkowych, którzy zapanowali nad „Bogiem ducha winną, zmaltretowaną rzeszą literackiej społeczności i w związku z tym całe zło należy przypisać zarządowi związku”. Bronił przy tym tych, którzy w minionym okresie nie zaprzestali działalności literackiej, wskazując, że pisarze polscy w większości szczerze uznawali rozumny sens głównych założeń władzy ludowej w dziedzinie kultury, takich jak na przykład praca ludzka jako nowy bohater literatury czy zerwanie z tak zwaną apolitycznością. Wzywał wreszcie, by w czasie zjazdu nie dzielić się na sędziów i podsędnych, zwłaszcza jeśli wśród sędziów tu i ówdzie pojawią się twarze wczorajszych inkwizytorów.

Kolejny mówca (Rusinek) zadeklarował, że jego celem nie jest rozprawienie się z realizmem socjalistycznym, gdyż jak stwierdził, to „rachityczne niemowlę zostało już żywcem pogrzebane i to przez dawnych, jakże jurnych zaptadniaczy”. Przystąpił natomiast do gruntownej oceny osób odpowiedzialnych za kierowanie twórczością literacką. Polemizując z Kruczkowskim, stwierdził, że związek miał kolosalny wpływ na wszystkie dziedziny związane z literaturą, ponosi więc odpowiedzialność za to, co wydarzyło się w poprzednim okresie. Dostrzegał jednak różnice w stopniu odpowiedzialności, podkreślając, że we władzach związku



Leon Kruczkowski

znajdowali się koledzy, którzy rozumieli swoje funkcje formalne z wielkimi wewnętrznymi oporami, przymuszeni uciskiem całej ówczesnej sytuacji. Piętnował więc tylko tych, którzy „zasmakowali w tyranii, nawet do niej w prasie nawoływali, pilnie strzegli, by nie dopuścić żadnego luzu”. Jego zdaniem ci właśnie w okresie odwilży rozpoczęli ożywioną działalność, by „zatrzeć ślady swojej zbrodni i gwałtu”. Działalność tę ocenił zresztą bardzo krytycznie. Jego zdaniem aktyw związku prowadził własną politykę, polegającą na systematycznym odpychaniu uczciwych, ale opornych talentów i uprzywilejowywaniu wyrobniczej miernoty, dla której tylko w takich warunkach mogła istnieć szansa popularności, niezastużonych zaszczytów i nadmiernych zysków. Natomiast w stosunku do pisarzy szanujących swe pióra zorganizowano w przemyślny sposób przymus milczenia. Taka polityka przyniosła największe szkody wśród młodych pisarzy, którym zamiast rzeczywistych autorytetów podsuwano „jedyne wzory spośród podszuczawczy i krzewiciele realizmu socjalistycznego. Patriotą, uczciwym obywatelem swojego kraju, dobrym pisarzem i człowiekiem postępu był w oczach aktywu związku ten, kto powtarzał cytaty, bił nieprzytomnie oklaski i służalczą plugawił swe pióro. Zdrajcą narodu, reakcjonistą, zacofańcem, a w najlepszym razie głupcem nazywano każdego spośród nas, kto bronił się przed kłamstwem, trwał w czystości swego światopoglądu, kto przeciw fałszowi protestował jedynym dostępnym mu środkiem – milczeniem. Pisarzy o mniejszej sile charakteru łamano doszczętnie, często wyzyskując ich życiowy niedostatek, i ten akt wyrwania im z serc sumienia ogłaszano jako ideowe zwycięstwo. Organizowano wrzawę reklamową wokół lichych dzieł i lichych nazwisk, a jednocześnie pielęgnowano głuchość wokół niezłomnych w swej postawie kolegów, którzy uważali za swój pisarski i obywatelski obowiązek stronięcie od obłudy, kłamstwa i nie uczestniczyli w wyzbywaniu się dumy narodowej”. Podobne w duchu było wystąpienie Jana Ożoga. W jego opinii pisarzy oceniano wyłącznie według legitymacji partyjnej, PZPR zaś popierała swojego Putramenta, Polewkę i „pryszczatych”, a poza tym nikogo. Pisarzom tym nie brakowało synekur, ale kolegów ich, bardziej utalentowanych i mocniej związanych z klasą robotniczą i chłopstwem, skazywano na nędzną wegetację lub śmierć głodową.

W podobnym stylu swą ocenę niedawnej przeszłości przedstawił cytowany już Stern. Usprawiedliwiał jednak częściowo polskich pisarzy, uważając, że nie analizowali oni możliwych konsekwencji decyzji o akceptacji nowego kierunku. Winę przypisywał natomiast ludziom odpowiedzialnym za politykę kulturalną państwa, którzy jego zdaniem „zasmakowali z czasem nie tylko w torturowaniu fizycznym ludzi, ale i psychicznym. Socrealizm był bowiem w gruncie rzeczy taką formą tortury”. Taka zwulgaryzowana forma realizmu musiała u nas z trzaskiem pęknąć. Zakończył optymistycznie, konstatując, że obecna rola socrealizmu jest już czysto historyczną rolą wymarłego gatunku, choć jego wpływ nie zaniknął jeszcze całkowicie.

Mniej optymistyczny był Artur Sandauer. Jego zdaniem wpływom „zamordyzmu” ulegli nie tylko ci, którzy go uprawiali, lecz także ci, którzy z nim walczyli. Schematyści uważali, że najważniejsze jest wprowadzenie do literatury tematyki produkcyjnej, co rozwiąże problem. Przeciwnicy takiego myślenia zastosowali pod ich wpływem równie ulgową taryfę wobec byle sentymentalnej szmiry, jeśli nie miała produkcyjnej tematyki. Zamordyzm – choć przewyciężony – narzuca więc zwycięzcom swe metody i zatrzuwa atmosferę rozkładem.

Równie krytyczny, choć prezentujący wyższą klasę był Julian Przyboś. W jego opinii „tak jak w gospodarce wzór stalinowski był w wielu dziedzinach cofnięciem się do form przedkapitalistycznych, tak też koncepcję literatury i sztuki cofnięto do epoki feudalnej. Socrealizm wymagał umysłów zacofanych, jego teoretycy stawiali na głowy ograniczone i na charaktery służalcze.

Niektórzy mówcy po zdiagnozowaniu sytuacji przechodzili do radykalnych recept uzdrowienia, tkwiących korzeniami głęboko w stalinizmie. W swym wystąpieniu Juliusz Wirski proponował bowiem utworzenie specjalnej komisji weryfikacyjnej związku, z udziałem tych, którzy byli prześladowani w minionym okresie. Zadaniem tej komisji byłaby ocena, kto rzeczywiście jest pisarzem. Tylko osoby w ten sposób zweryfikowane mogłyby dalej tworzyć.

Część uczestników zjazdu nie chciała wdawać się w rozważania na temat przeszłości. Jak powiedział Jan Wyka, „nie mam ochoty staczać zapasów z pokonanym, który według reguł tej dyscypliny sportu położony został na obie łopatki zarówno przez inne drużyny, jak i przez swoją własną”. Stanowisko takie poparła także Maria Dąbrowska.

O wiele dalej poszedł natomiast Jerzy Zawieyski. Podkreślił on, że temu, co się stało, nie zawinił wyłącznie pisarze, a presja pewnych fałszywych pojęć była tak silna, iż nawet silni się załamali. Nie czas jednak na rachowanie w tej chwili, przerzucanie winy na siebie. Należy odbudować wzajemne zaufanie, rozpocząć pracę od nowa. Dramatycznie zabrzmiały jego słowa skierowane do wczorajszych przeciwników. „Chcę specjalnie zwrócić się do kolegów komunistów, do młodych zwłaszcza, ponieważ tyle tu padło oskarżeń, ponieważ tu padły słowa nienawiści, słowa potępień, myślę, że przyjmiecie słowo zrozumienia. To cały ludzki dramat, to co koledzy przeżyli. Nie myślę, aby wszyscy byli tak cyniczni, by dla nich było to bez znaczenia. Myślę, że przeżywają nieraz w samotności bardzo ciężkie chwile. To jest jeden z najcięższych dramatów, w jaki się człowiek może uwikłać. Należy to uszanować i nie tylko uszanować, ale wezwać kolegów, aby na nowo uwierzyli w siebie, aby na nowo uwierzyli w literaturę”.

Przeciwny rozpamiętywaniu przeszłości był także Stefan Kisielewski. W swym wystąpieniu podkreślił szczególnie, że „nie wolno sądzić polskich pisarzy minionego okresu nikomu, kto sam nie był poddany stalinowskiej metodzie urabiania mózgow”. Kto nie był pacjentem w owym stalinowskim laboratorium, ten nie bardzo ma prawo oskarżać innych. Podkreślał przy tym, że sam pacjentem nie był, gdyż miał szczęście trafić do środowiska katolickiego, odczuwał nawet zażenowanie, że nie dane mu było dzielić z innymi tego duchowego więzienia,



Jerzy Putrament

jakim była ówczesna literatura polska. Jego zdaniem w sytuacji powstałej w 1956 r. obojętne było dla Polski, „co myśleli i robili Ważyk, Kott czy Jastrun osiem – dziesięć lat temu. Ważne jest natomiast, że winę swą i odcierpieli wewnątrz, i naprawili w ostatnim czasie zewnętrznie, ważne jest, że dziś wiele zrozumieli i chcą służyć prawdzie”. Choć Kisielewski dostrzegał różny stopień winy w tworzeniu poprzedniego systemu wśród poszczególnych osób, bolał tylko nad tym, że im właśnie trudniej będzie dostosować się do nowej rzeczywistości. Życząc im powodzenia, podkreślał, że nie zamierza kontynuować stalinowskiej metody wdzierania się ludziom do duszy.

W większości wystąpień przewijały się sprawy przyszłości literatury w Polsce, by w sytuacji gdy stalinizm wytrzebił autentyczne reakcje społeczne, mogła ona, jak to określił Stefan Kisielewski, być termometrem, sprawdzianem życia, relacją o rzeczywistości, wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Było to szczególnie ważne w kraju, w którym jawna reprezentacja opinii publicznej nie istniała i rodziła się dopiero „po latach milczącej, kamiennej, wyjąłowanej nocy”. W tym procesie Związek Literatów Polskich miał, w opinii Kisielewskiego, być sumieniem rządzących, duchowym parlamentem narodu czy wreszcie strażnikiem i inspiratorem wolności.

Swoistym podsumowaniem tej gorącej dyskusji była wypowiedź Jerzego Zagórskiego. „Pa-dały z tej trybuny słowa podminowane emocją i słowa rozwagi. Porachunki osobiste okrywała oliwa przebaczenia sobie wszystkiego. Tak się złożyło, że najwięcej słów przebaczenia słyszeliśmy od ludzi najdłużej czy najbardziej krzywdzonych. [...] Jeśli amnestia – to amnestia dla wszystkich [...] jeśli nie mamy utopić naszej szansy na rozpoczętą rewolucję. [...] Należy nie dopuścić do moralnego linczowania wczorajszych panów życia literackiego i śmierci kulturalnej. [...] Ci, którzy nie okażą dość energii w naprawianiu tego, co narobili, niech raczej zginą naturalną literacką śmiercią z rąk czytelników, niż będą zlinczowani przez kolegów”.

Gorąca dyskusja zjazdowa rzeczywiście rozpoczęła powolną drogę odchodzenia od „socialistycznych wypaczeń” i odzyskiwania przez literaturę należnego jej miejsca w życiu narodu.

POCZĄTKI BIG-BEATU W PRASIE PRL

„Drogi, nieszczęśliwy, cierpiący, łakomy i niespokojny chłopcze! Socjologowie wskazują rock'n'roll jako objaw młodzieńczego buntu. Jeżeli tak jest – przyszłe pokolenia [...] muszą dojść do wniosku, że to nieważna, godna pożałowania rewolucja w historii ludzkości. »Revolucja« to silne słowo, płynie w nim czerwona krew. Nasuwa na myśl energię, akcję, określony cel, odwagę i przygodę. Nadaremnie będziecie szukać odblasku tych cech w żałosnych pojękiwaniach ulubieńców dzisiejszej młodzieży [...]. Jacy są Twoi bohaterowie? Młodzi chłopcy, słabi, jękliwi i stremowani, nadąsani i afektowani jak małe dziewczynki, którzy w imię seksu rozbijają się, męczą i wyginają – co niegdyś, gdy mężczyźni byli mężczyznami – było wyjątkową domeną artystek lekkiej muzyki”.

Muzyka rockowa gości na estradach świata pół wieku. Nie wzbudza już takich kontrowersji, jakie towarzyszyły jej w pierwszych latach istnienia. Warto przypomnieć, jakie były jej początki w Polsce i jak na „muzykę rozwrzeszczanych małolatów” reagowała prasa PRL.

Jazzowe początki

Była połowa lat pięćdziesiątych. Od zakończenia wojny minęła już cała dekada, skończyła się euforia odbudowy, a ludzie zaczęli oczekiwać lepszego życia, także lepszej kultury i rozrywki. Szczególnie młodym absolutnie nie odpowiadały niezmiennie wzorce kultury tego okresu – pruderia połączona z natrętną dydaktyką i sztywną ideologią. W czasie gdy na Zachodzie zaczęli się pojawiać wykonawcy, z którymi utożsamiało się młode pokolenie, w Polsce nie było ani jednego solisty, który śpiewałby utwory adresowane do młodych. W tych warunkach wszystko, co przychodziło ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i innych krajów zachodnich, wydawało się świeże i odkrywcze. Nie inaczej było z rock and rollem.

Pierwszym sposobem, swego rodzaju odreagowaniem narzucanych odgórnie wzorów kultury, było zainteresowanie muzyką jazzową. W 1956 r. odbył się w Sopotcie pierwszy festiwal jazzowy. Choć nie grano tam jeszcze rock and rolla, to reakcje młodej widowni – nieskrępowany taniec i machanie marynarkami – były podobne jak na późniejszych koncertach big-beatowych. Równie ważny jak sama muzyka był bowiem fakt wspólnego przeżywania „misterium” oraz poczucie wolności i niezależności. Takie przeżycia w zakłamanym peerelowskiej rzeczywistości lat pięćdziesiątych były czymś niezwykle rzadkim i przez młodzież pożądanym.

Po wspomnianym wyżej festiwalu jazzowym pojawiły się pierwsze głosy zaniepokojonych obserwatorów. W relacji zamieszczonej w „Przeglądzie Kulturalnym” pisał Kazimierz Koźniewski: „U podstaw powodzenia imprez przez nich [organizatorów festiwalu w Sopotcie – T.T.] inspirowanych tkwi prymitywna siła biologiczna, siła intelektualna [sic!], a więc zawsze groźna. Wydaje się, że i oni, i wielu, wielu innych ludzi w naszym kraju, powinno wreszcie zacząć myśleć nad tym, w jaki sposób dostarczając młodzieży rozrywek przez nią pożąda-

nych, wychowywać tę młodzież, to jest odwracać od niej samej niebezpieczeństwo, jakiego zarodek w niej rośnie”². Podobnie wypowiadali się w tym czasie zachodni komentatorzy, którzy dopatrywali się demoralizacji i zdziczenia obyczajów w takim sposobie odbierania muzyki. Dopiero później w polskiej prasie pojawiły się artykuły, w których krytykowano zespoły młodzieżowe z innego – ideologicznego punktu widzenia.

Rytm and Blues na dywaniku

Pierwszym zwiastunem muzyki młodzieżowej na gruncie polskim była krakowska grupa Drązek i Pięciu, która już w 1957 r. wykonywała utwory Billa Haleya i Elvise Presleya. Dopiero jednak dwa lata później powstał pierwszy zespół rzeczywiście rock-and-rollowy, założony w Gdańsku przez Franciszka Walickiego pod nazwą Rhythm and Blues³. Pierwszy sukces tego zespołu, na inauguracyjnym koncercie w gdańskiej kawiarni Rudy Kot, zorganizowanym 24 marca 1959 r., zgodnie uważa się za początek muzyki rockowej w Polsce. Tak wspomina tamte wydarzenia kierownik artystyczny i założyciel zespołu Franciszek Walicki: „Wiedzieliśmy wprawdzie, że sięgamy po owoc z zakazanego drzewa, ale nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy, że jesteśmy sprawcami narodzin nowego typu muzyki rozrywkowej w Polsce i że włączamy się w proces tworzenia nowych wzorców kulturowo-obyczajowych, których przyptyw zaczynał zmieniać kierunek i przebiegać nie od starych do młodych jak dotychczas, ale odwrotnie: to młodzi zaczęli narzucać starszemu pokoleniu styl życia i bycia”⁴. Autor podkreślał też, że właśnie tego dnia dokonano pierwszego wyłomu w „murze przestarzałych konwencji muzycznych” obowiązujących do tej pory między Bugiem i Odrą.

W maju zespół Rhythm and Blues uczestniczył w I Ogólnopolskim Turnieju Zespołów Jazzowych i Rozrywkowych w Warszawie, a jesienią odbył dwutygodniowe tournée po kraju, przerwane jednak interwencją lokalnych władz – po koncercie w katowickiej sali Torkat 17 września 1959 r. członkowie zespołu zostali „zaproszeni” do gabinetu I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach – Edwarda Gierka. Według relacji Walickiego wizyta przebiegała następująco: „Niebawem staliśmy na dywaniku. Przywitał nas wysoki, silnie zbudowany mężczyzna. Nie prosząc o zajęcie miejsc, dając do zrozumienia, że i tak poświęca nam zbyt wiele czasu, wygłosił następujący monolog: Jesteście na Śląsku. Nasza młodzież uczy się i pracuje. Raz w tygodniu chciałaby kulturalnie wypocząć, nabrać sił do dalszej nauki i pracy. Nie interesują nas wynaturzone mody, nie chcemy rozwydrzenia i rozpasań... Przyjmijcie zatem do wiadomości, że wasz wczorajszy koncert [...] był ostatnim występem waszego zespołu”⁵. Formalnego zakazu występów grupy wprawdzie nigdy nie ogłoszono, jednak Ministerstwo Kultury i Sztuki wystosowało do Wydziałów Kultury i Sztuki Rad Narodowych pismo, w którym zakazywało występów grupy w salach powyżej 400 miejsc. Przy ówczesnych niskich cenach biletów niemożliwe było, aby przy tak małej publiczności zwróciły się koszty imprezy. Ostatni koncert Rhythm and Blues zagrał 27 października 1959 r.

Za i przeciw

Wydarzenia w Katowicach, z dzisiejszego punktu widzenia, nie były czymś, co mogłoby spowodować tak zdecydowaną interwencję. Po prostu młodzież po koncercie urządziła hałaśliwą manifestację na cześć zespołu. Jednak w czasach, gdy z sal koncertowych wyprowadzano tych, którzy zdjęli marynarki, by nimi wymachiwać, takie „ekscesy” nie mogły pozostać niezauważone. O tym, że koncertowi nie towarzyszyły żadne bulwersujące zajścia, świadczą także relacje pasowe, choćby w „Trybunie Robotniczej”, a więc gazecie całkowicie podporządkowanej czynnikom partyjnym w Katowicach. W artykule *Wczoraj w Torkacie: Rhythm and*

gwizd czytamy: „Poprzedziła ten zespół wieść, iż każdorazowy występ kończy się jakimiś chuligańskimi burdami, wszczynanymi przez część rozanimowanej [sic!] widowni. Na szczęście wczorajszy koncert odbył się bez wybryków i ekscesów [...]. Młodzi odbiorcy muzyki [...] po koncercie rozeszli się względnie spokojnie do domów, tyle że pogwizdując i idąc tanecznym lekko krokiem. Milicja według naszych obserwacji nie miała powodów do interwencji i nie interweniowała. Uff!”⁶.

O tym, że krytyczny punkt widzenia reprezentowany przez władze partyjne nie był czymś z góry narzuconym, świadczą też entuzjastyczne artykuły w gdańskim „Wybrzeżu” opisujące wcześniejsze koncerty grupy Rhythm and Blues: „Występy zespołu [...] przyjęte zostały z entuzjazmem przez zgromadzoną w »Rudym Kocie« publiczność. Duża w tym zasługa kierownika muzycznego zespołu Bogusława Wyrobka [...] – oraz Marka Tarnowskiego, utalentowanego wykonawcy pieśni kowbojskich”⁷. Autor podkreślał także, że całkowity dochód z imprezy został przeznaczony na Fundusz Budowy Szkół Tysiąclecia. O samym koncercie pisano natomiast jak o wielkim wydarzeniu: „Takiej imprezy jak ta, która odbyła się 24 marca, nie było jeszcze w »Rudym Kocie«. Nieduża sala kawiarni, wypełniona tego wieczoru nie tylko do ostatniego miejsca, ale nawet do ostatnich centymetrów powierzchni, raz po raz wybuchała huraganem okrzyków i braw [...]. Był to chyba najgorętszy wieczór tej wiosny, choć o jego temperaturze bynajmniej nie świadczył termometr. Temperaturę tego wieczoru mierzyło się wyjątkową skalą: napięciem widowni, stopniem emocji, ilością zużytych podczas imprezy kalorii, zmęczeniem muzyków i słuchaczy. To nie był zwykły koncert, zwykła impreza muzyczna. To było zjawisko wyjątkowe, wobec którego nawet doświadczony krytyk muzyczny nie potrafiłby zająć zdecydowanego stanowiska. Chyba że byłby on dobrym psychologiem i socjologiem, a jednocześnie sportowcem i poszukiwaczem przygód. [...]. To był jednocześnie mecz sportowy, podniesiony do rangi obrzędu, uszlachetniony więzią z melodią, pozbawiony elementu rywalizacji na rzecz nieprzerwanej więzi muzyków z widownią”⁸.

Tekst kończył się apelem do tych, którzy w muzyce młodzieżowej widzieli wszystko co najgorsze: „Nie tępmy rock’n’rolla! Każda epoka miała swoje małe szaleństwa, bez których życie byłoby na pewno mniej ciekawe. Niech młodzi nie dziwią się starszym. Niech starsi będą bardziej wyrozumiali dla młodych. Niech jedni i drudzy przyjmą zasadę, że najlepszym sędzią w rozstrzygnięciu wszelkich sporów – zarówno tych dużych, jak i tych małych – jest czas”⁹.

Była to jednak tylko część głosów. Większość tytułów prasowych odnosiła się do nowej muzyki w sposób bardzo nieufny, przy czym podkreślić trzeba, że ta nieufność miała różne źródła. Typowo muzyczny miesięcznik „Jazz” był jej początkowo zdecydowanie niechętny. Autorzy tekstów uważali bowiem nową muzykę za niepoważną i prymitywną. Irytował ich ponadto fakt, że Rhythm and Blues jako gatunek muzyczny uważano niekiedy za jedną z odmian jazzu: „Sposób produkowania [się] na estradzie zespołu Rhythm and Blues wyzwolił wśród słuchaczy zbyt daleko idące reperkusje. Trochę znajomości psychologii: widownia złożona z wyrostków na wrzask zawsze odpowie wrzaskiem. [...] Pewna część prasy zaliczyła Rhythm and Blues do zespołów jazzowych, a rozkrzyczanych wyrostków określono mianem jazzmanów. Od kiedy jazz uzyskał prawo obywatelstwa w Polsce, upłynęło wiele wody w Wiśle i chyba nareszcie czas nauczyć się odróżniać jazz od rock’n’rolla. [...]. To, że chuligani warszawscy po koncercie w hali »Gwardii« darli się »jazz, mambo, rock«, nie kwalifikuje ich jeszcze do miana jazzmanów, a Rhythm and Blues do miana zespołu jazzowego”¹⁰. W późniejszym okresie redaktorzy tego pisma znacznie zmienili swój stosunek do rock and rolla. Widząc, że na informacje z życia gwiazd muzyki młodzieżowej czekają tysiące nastolatków, przeznaczyli dla nich w swoim piśmie stałe miejsce.

Dalsze losy

Rozwiązanie zespołu Rhythm and Blues nie mogło zatrzymać rozwoju nowej muzyki w kraju. Członkowie grupy zorganizowali wkrótce nowy zespół o nazwie Czerwono-Czarni, który nagrał pierwszą w Polsce płytę big-beatową z piosenkami Tommy'ego Steele'a i Little Richarda¹¹. Nowe zespoły powstawały spontanicznie we wszystkich miastach kraju. Zorganizowano Festiwal Młodych Talentów, który w latach 1961–1962 odbywał się w Szczecinie. W drugiej edycji tej imprezy przeprowadzono eliminacje strefowe, w których próbowało sił około 4 tys. wykonawców!¹² Na wspomnianym festiwalu stawiali pierwsze kroki między innymi: Wojciech Gąssowski, Krzysztof Klenczon, Helena Majdaniec, Czesław Niemen, Adrianna Rusowicz, Katarzyna Sobczyk, Karin Stanek.

W 1962 r. powstał jeden z najważniejszych polskich zespołów big-beatowych Niebiesko-Czarni, który zastąpił przede wszystkim realizacją hasła „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. W tym okresie rozpoczęły również swoją historię najważniejsze festiwale muzyczne w kraju: Festiwal Piosenki w Sopocie (1961) oraz Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu (1963). Ten ostatni zyskał ogromną popularność także dzięki występom zespołów „mocnego uderzenia”.

Nie mogąc opanować żywiołowego zjawiska, władze próbowały, zresztą dość nieudolnie, podporządkować je jakimś ramom organizacyjnym. Najpopularniejsze zespoły przeszły pod „opiekę” Wojewódzkich Agencji Imprez Artystycznych, a w późniejszym okresie Polskiej Federacji Jazzowej. Dobrze widziane było również, gdy któryś z zespołów wziął udział w Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu bądź (co zdarzało się znacznie rzadziej) w Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze (od 1965 r.).

„Ucywilizowanie” muzyki młodzieżowej przybierało różne formy. Charakterystyczna była tutaj działalność łódzkiego zespołu No To Co, grającego w folklorystycznym stylu „skiffla”, bardzo popierana przez ówczesne władze. Nie miały natomiast długiej historii takie zespoły jak Romuald and Roman, nawiązujące do rocka psychodelicznego. Ta odmiana rocka, kojarzona często z narkotykami, nie była akceptowana.

Warto jednak podkreślić, że spośród krajów demokracji ludowej tylko w Polsce i na Węgrzech ten ruch przybrał szerszy i trwały charakter. W innych krajach socjalistycznych adaptacja nowej muzyki polegała na tym, że uznani już wcześniej i często wiekowi wykonawcy śpiewali utwory najpopularniejszych gwiazd rock and rolla¹³. O żadnym młodzieżowym buncie nie mogło być mowy.

Tymczasem w Polsce młodzi ludzie mieli naprawdę swoich idoli. Pojawiła się nawet moda na fankluby. Początkowo wprawdzie zrzeszali się w nich głównie zwolennicy zagranicznych wykonawców, ale później swoje grona wielbicieli mieli również rodzimi big-beatowcy. Grupa Niebiesko-Czarni miała w 1966 r. aż pięć fanklubów. Na ogół były one zrzeszone w Polskiej Federacji Klubów Piosenki, istniejącej przy Związku Autorów i Kompozytorów Utworów Rozrywkowych w Warszawie. Z czasem zaczęto jednak je likwidować. Członkowie Związku Młodzieży Polskiej dopatrzili się bowiem w ich działalności: „tworzenia i lansowania niepotrzebnego mitu i szkodliwego kultu idola pop music”¹⁴.

Inaczej niż w krajach o rozwiniętym przemyśle fonograficznym wyglądały w Polsce listy przebojów. Wszystkie zestawienia sporządzane były bowiem na podstawie listów, które nadesłali czytelnicy, słuchacze bądź widzowie. Innym elementem tego muzycznego szaleństwa były wydawane masowo pocztówki dźwiękowe.

Koniec z antymarksistowskimi tendencjami

Pierwszy okres obecności nowej muzyki na polskich estradach, w odróżnieniu od lat późniejszych, nie był więc jeszcze w jakiś określony sposób kontrolowany. Publikacje prasowe z lat 1959–1963 świadczą o tym, że dziennikarze stosunkowo swobodnie wypowiadali się na temat nowej muzyki. Atmosfera wokół niej była gorąca. Zmiana nastąpiła dopiero w 1963 r., 4 lipca rozpoczęły się poświęcone sprawom ideologicznym obrady XIII plenum KC PZPR, które zakończyły proces liberalizacji życia, szczególnie w sferze kultury. W wygłoszonym wtedy referacie *O aktualnych problemach ideologicznej pracy partii* I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka zapoczątkował walkę z „antymarksistowskimi tendencjami”. Atakował środki masowego przekazu oraz twórców kultury za brak odpowiednich treści ideologicznych w ich działalności. Środowiskom kulturalnym zarzucił, że stworzyły „zbyt mało dzieł literackich, filmowych czy teatralnych, które z pełnym zaangażowaniem i pasją ukazywałyby obraz naszego kraju, walkę o jego rozwój gospodarczy, ofiarny trud klasy robotniczej, inteligencji, polskiej wsi, kobiet i młodzieży”. Atakował również twórczość poruszającą jego zdaniem „marginesowe” tematy, a niezaangażowaną ideologicznie. Wśród środków masowego przekazu najostrej zostały zaatakowane pisma ilustrowane: „całe szpalty wypełniają nieraz ujęte w duchu najbardziej prymitywnego snobizmu materiały o życiu na zachodzie, sensacyjno-kryminalne opowiadania i przygody różnych osobistości i gwiazd, opisy wspaniałości wystaw sklepowych – a z krajów słabo rozwiniętych egzotyka i turystyka wyprana z wszelkich istotnych treści politycznych i społecznych”. Takie stanowisko naczelnych władz nie mogło pozostać bez wpływu na to, jakie miejsce będzie zajmowała muzyka młodzieżowa w publikacjach prasowych.

Od tego momentu nastąpiło stopniowe „pacyfikowanie” muzyki młodzieżowej. O niektórych wykonawcach nie pisano w ogóle. Innych zachęcano do istotnych zmian w treści i formie: wykorzystywanie polskiego folkloru, nawiązywanie do martyrologicznych tradycji i uczestniczenie w imprezach mających dla władz prestiżowe i ideologiczne znaczenie. Same zespoły z konieczności musiały poddać się tym trendom i ich twórczość coraz bardziej różniła się od zagranicznego pierwowzoru.

W muzyce zagranicznej władzom bardzo podobał się nurt „protest song”, który krytykował amerykańską rzeczywistość – segregację rasową, wojnę w Wietnamie, zapowiadał upadek nowoczesnego, kapitalistycznego społeczeństwa. Jednak ze zrozumiałych względów podobna twórczość w PRL-u nie miała szans powodzenia.

W prasie rozpoczęto kampanię pouczania polskich big-beatowców na temat tego, co i jak mają grać. Część z nich posłuchała zresztą tych rad i w sposób wyraźny dobierała część repertuaru tak, by zadowolić te „gusta”. W artykułach coraz więcej było ataków również na zagranicznych wykonawców i ich fanów. Na czoło krytyki wysunął się tygodnik „Dookoła Świata”. Ten tytuł był jednym z napiętnowanych w referacie Gomułki z XIII plenum, więc próbował się zrehabilitować. W cyklu artykułów „W świecie teenagers” analizowano życie angielskiej młodzieży przez pryzmat takich zjawisk jak kult pieniądza, seksu, plaga przestępczości. Muzykę młodzieżową przedstawiano jako wytwór takiej właśnie „kultury”. W innym artykule tak relacjonowano koncert zespołu The Beatles: „wydają po prostu przez cały program serie gardłowych warknięć... wreszcie grają, tzn. uderzają kijem w bęben, ale tak, aby przypadkiem nie powstało wrażenie rytmu... ryk atomistycznego barbarzyństwa... masowa, powszechna ekstaza nad byle nieostrzyżonym małolatem, ten rodzący się kult tupetu, zgrywy i wygłupu”¹⁵. Takich komentarzy pojawiało się w prasie coraz więcej. Bezmyślnemu szaleństwu przeciwstawiono natomiast rozsądek i ułożenie wybranych polskich wykonawców, którzy potrafili zdaniem wielu redaktorów nadać nowej muzyce właściwy wyraz. Znany zespół

Czerwono-Czarni chwalono na przykład za włączenie do repertuaru popularnych polskich piosenek ludowych: *Stary niedźwiedź mocno śpi*, *Głęboka studzienka* czy piosenki *Mamo, nasza mamo*.

Polska muzyka rockowa pozbawiona została cech, które z założenia były częścią tego typu twórczości – a więc elementów buntu (choćby tylko obyczajowego) oraz niezależności. Czy ten kompromis był całkowicie wymuszony, czy wynikał także z koniunkturalizmu muzyków, trudno dziś rozstrzygnąć. Warto jednak podkreślić, że także wówczas pojawiały się w prasie nieliczne głosy broniące rock and rolla. W relacji z II Festiwalu Młodych Talentów czytamy: „Żarliwym moralizatorom i pedagogom bardzo się podobało na II Festiwalu, że młodzież śpiewała po polsku, że rytmy żywe, hałaśliwe i wulgarne ustąpiły spokojnym, a piosenka melodyjna, liryczna wyparta obrzydliwe wykrzykiwanie. Jak to dobrze, że już nie w dżinsach i sweterkach, lecz w ślicznie skrojonych garniturkach młodzież mizdrzy się i wdziera do mikrofonu, mając ponoć w zanadru dobre świadectwo szkolne oraz zezwolenie rodziców na udział w imprezie. Takimi kategoriami myślało pewnie i jury, punktując co bardziej poprawnych i podkształconych wykonawców. [...] Na tle dogorywającego big-beatu zdeformowanego w kierunku sentymentalnej szmiry korzystnie wypadło to, co było rodem z jazzu”¹⁶.

Choć takich głosów było niewiele, to świadczą one o tym, że istniał jednak pewien margines swobody dla piszących o rock and rollu – wygląda na to, że był on większy niż dla samych wykonawców.



Publiczność na big-beatowym koncercie

STASZEK STASZEWSKI - POETA PODZIEMIA ERY GOMUŁKOWSKIEJ

Piosenka stanowiła integralny element oficjalnej kultury PRL-u. Prawdy o Polsce warto jednak poszukiwać nie w piosenkach oficjalnych, propagandowych, lecz w smętnych balladach warszawskiego pieśniarza znanego niegdyś tylko nielicznym. Nie są to utwory doskonałe, przeciwnie – czasem nawet nieporadne, ale zjawiają się w nich i oryginalne metafory, i błyskotliwe sentencje. Ważne są też daty. Piosenki te powstawały w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ich tropem można zwiedzać zakamarki PRL-u.

Określenia dotyczące Stanisława Staszewskiego (wyreparowane z niewielu poświęconych mu tekstów publicystycznych): „notoryczny narzeczony”, „filar bankietów”, „Don Juan z Petrobudowy”, „przedstawiciel polskiego undergroundu lat 60.”, „bard prywatek epoki gomułkowskiej”, „tragiczny bard”, „architekt-emigrant”, „ostatni emigrant romantyczny” – składają się na jego najkrótszą biografię. niesprawiedliwie urosła ona do rangi legendy, potem szybko umarła. Piosenki Staszewskiego stały się znów popularne dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. Jego syn Kazik wraz z grupą Kult zaprezentował ballady ojca w nowej aranżacji.

Staszewski należał do jednego pokolenia razem z Markiem Hłaską, Agnieszką Osiecką, Andrzejem Bursa i Rafałem Wojaczkim. Wymienionych artystów łączy zarówno doświadczenie drugiej wojny światowej¹, jak i późniejsze dojrzewanie w epoce zwanej „gomułkowskimi czasami małej stabilizacji”. Jako zbuntowani rówieśnicy Polski Ludowej, występujący przeciwko jej mrokowi, nudzie i beznadziei, tworzyli rozmaite subkultury. Mieli kabarety, teatry, kluby dyskusyjne, gazetę, ale mimo to część z nich pozostała outsiderami. Między innymi Staszewski (w Warszawie występował w Piwnicy Architektów) – on miał swoje piosenki.

Ich akcja zwykle toczy się w Warszawie. Wydawałoby się, że stolica powinna właśnie kwitnąć odbudowana po hitlerowsko-stalinowskim zamachu, cieszyć się z tej odnowionej młodości, a tymczasem zaskakuje paskudnymi peryferiami robotniczych dzielnic i pijackich zaułków, takich jak z opowiadań Hłaski czy wspomnień Osieckiej. Brzydotę kraju i jego marazm dostrzegał przecież nie tylko Staszewski:

*Na dnie piekła
Ludzie gotują kiszoną kapustę
i płodzą dzieci
mówią: piekielnie się zmęczyłem
lub: piekielny dzień miałem wczoraj
(A. Bursa, Dno piekła)*

*Wczoraj
widziałem wyniesiono w kubetku
pana profesora taki był mały*

*Tak, tu ludzie się kurczą
oszczędność na jedzeniu
i deskach na trumnę*

(R. Wojaczek, *Martwy sezon*)

W takiej piekielnej, trochę strasznej rzeczywistości trudno było żyć, ale każdy, tak przed Październikiem, jak i po nim, musiał robić swoje. Być elementem w systemie. Jak wielu innych, Staszewski godził ze sobą dwie role: był pracującym i potrzebnym architektem, a po godzinach pieśniarzem hobbystą². Na gomułkowskie realia miał prostą receptę:

*La, la, la, la – wszystko prostsze, gdy się śpiewa i gra
La, la, la, la – gdy po szklance koniak sływa jak tza
(Nie dorostem do swych lat)*

Warszawscy artyści odwilżowi tworzyli specyficzną „cyganerię”. Łączyły ich wspólne przeżycia, wrażliwość i dar obserwowania. Zajmowali się jednak przede wszystkim własnym życiem i tym, jak wpływała na nie odrażająca rzeczywistość. Z ich słabości wobec świata, w którym „pękają konwencje, sypią się społeczności” i który widzieli „jak podarty, kolorowy łachman”, wynikał eskapizm: bale, prywatki, wieczorne pielgrzymowanie po knajpach i nocne rozkosze ze znajomymi bądź nieznanymi.

Staszewski dał się poznać jako bystry obserwator, utrwalił w piosenkach peerelowskie realia i paradoksy. Potrafił nakreślić zarówno obraz degrengolady moralnej artystycznych elit, jak i los prostego robotnika. Tych bohaterów łączyła zresztą sprawa zasadnicza: mniej lub bardziej uświadomione poczucie nieszczęścia, brak warunków do godnego życia, brak perspektyw. Pozostawał marazm i zniechęcenie, a dla urozmaicenia losu – alkohol. Wiadomo było, że Petrokombinat bardziej luksusowych rozrywek nie zapewni, dlatego w usta robotników włożył Staszewski (a może z ich ust wyjął?) takie słowa:

*Przed nami naród odkrywa głowy
Inżynierowie z Petrobudowy
Kładziemy lachę, niech brzękną szkła
Budowniczy na 102
Pić życia rozkosz, a cóż nam to szkodzi
Nawet PKS do nas dochodzi
A w zeszłe święto miałem kobitę
Co miała obie nogi umyte*

(*Inżynierowie z Petrobudowy*)

Robotnicy śpiewają także o beznadziejności pracy i o tym, że w Warszawie toczy się życie lepsze. Wcale go im nie żal:

*W Warszawie Ptaszyn niech zdziera płuca
Niech tańczy Gruca, Holoubek gra
My tutaj mamy program gotowy
Inżynierowie z Petrobudowy
[...]*

*Co oszczędzimy, to ktoś ukradnie
Idzie składnie, jakoś się pcha
Więc wykonajmy plan narodowy
Inżynierowie z Petrobudowy*

(*Inżynierowie z Petrobudowy*)

Fuszerka – i o niej mowa w piosence – to stały element przemysłowego pejzażu gomułkowskiej Polski. Hłasko opisuje w *Pięknych dwudziestoletnich* eksperymentalne próby kradzieży spirytusu i benzyny, przyznając, że wszystko to robiono na przekór tak zwanym „com-mies” – uosobieniem totalitarnego systemu.



Dla wielu artystów pseudonim „Ziutek Słoneczko” był (paradoksalnie) sympatycznie brzmiącą próbą oswojenia największego zła tamtych, i może przyszłych, czasów. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę z braku prawdziwej wolności, Październik bowiem zapewnił niejakię swobody. Staszewski nie był naiwny, ale doświadczony, miał za sobą nawet epizod w PZPR... Ezopowo i z lękiem wyznawał:

*Posłuchaj – serce tyka jak czas
Już blisko dzień i wschód
Co znaczy wschód – wie każdy z nas
Codziennie wschodzi trup
Wciąż bliżej kosi gwiazdy nów
Przed wschodem zamknij drzwi
Bo z pierwszym świtem wstaną znów
Myśli koloru krwi
(Samotni ludzie)*

Jest u niego więcej aluzji politycznych, między innymi w *Mariannie*, zaskakującym podsumowaniu ideałów rewolucyjnych. W piosence tej pojawiają się: Jewno P. Azef, agent ochrony rosyjskiej z początku wieku, Che Guevara, „czerwona gwiazdeczka, portrecik cara”. Sama postać Marianny-symbolu rewolucyjnej Francji przemienia się w „Nike barykad” antykomunistycznych, na komunistycznych wzorach wychowaną:

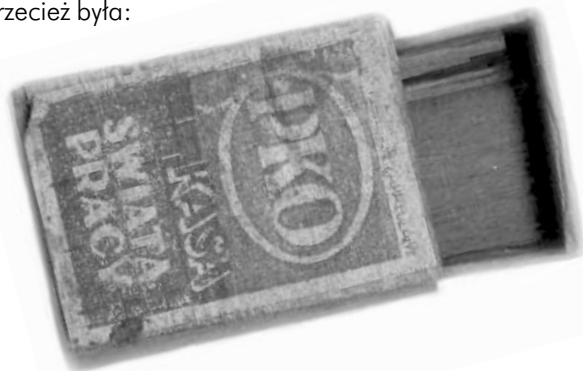
*U Marianny książeczki Mao
Sierp i młotek, trójząb ze strzałą
Dzień batiuszki póteczka spora
Notatniki agitatora
(Marianna)*

Pojawiają się i inne komunistyczne rekwizyty, jednoznacznie kojarzące się z ówczesną władzą: „Niebieska szklanka miga” (*Celina*), „Trybuna Ludu” (*Inżynierowie z Petrobudowy*), „[...] policja pędzi/No co z tą pałą do kurwy nędzy”, „Morda flika, wojsko w łazikach/Polityka, klasa i klika/Wiece w rykach, partia, syndykat, dialektyka” (*Marianna*). Wszystko to powoduje, że: „[...] w domu nocami/tylu ludzi się budzi/i wam też chce się wyc” (*Zastanówcie się sami*).

Ponuro prezentuje się polska rzeczywistość naznaczona piętnem stalinizmu, nawet po śmierci „batiuszki”. Staszewski nieco ją oswoił w *Kołyсанce stalinowskiej*, gdzie przedstawił Polskę prawdziwą, bo à rebours – taka przecież była:

*Rosną w Polsce domy
Z czerwoniutkiej cegły
Domy wznosi piekarz
Bo w tej pracy biegly
Handel Zagraniczny
Rozwijają zduni
Znąją koniunktury
Z gawędzeń babuni
Domy, mosty, szkoły
To domena szewców
A z krawców się robi
Zwycięstwa ich piewców
(Kołyсанka stalinowska)*

Owo „rozaśnienie” gomółkowskiego świata to tylko ironiczny chwyt: o żenujących i bolesnych sprawach Staszewski śpiewał do skocznej, ludowej melodyjki. Polskie paradoksy ujawniły się ostatecznie. Może świadomie w piosence tej wykorzystał topos „świata



na opak wyróconego”, który służy zwykle ocenie pewnych zjawisk lub wręcz obnażaniu anomalii..

Czasy, o których śpiewał, nie były *swinging fifties*, jak z niektórych wspomnień mogłoby wynikać. Niełatwo wydobyć z nich nutę radości i beztrudnej zabawy, choć pozornie w tekstach „taty Kazika” na wielką zabawę wyglądają. Są u niego „mety”, czyli meliny, są „kolesie”, muzyka, no i (powtarzam to uparcie) mnóstwo butelek – pejzaż właściwy nie tylko światu stołecznych przestępców, których językiem mówi czasem Staszewski. Tym bowiem, co mogli jeszcze zrobić młodzi, wrażliwi i artystycznie uzdolnieni ludzie, było zawiązywanie przyjaźni i pielęgnowanie ich. Wszak razem zawsze łatwiej... również przy kieliszku... W świecie Staszewskiego, Hłaski i Osieckiej kultowym miejscem spotkań przyjaciół jest restauracja, z powodu obskurności nazywana najczęściej knajpą. Przepuszczalnie właśnie do knajpy poszedł Rafał Wojaczek, gdy skończył pisać ten wiersz:

*Do pilnej służby gwoli Potędze Ojczyzny
Żeby mi nie kazano siebie doskonalić
Dla sprostania zadaniom o których mało wiem
Żeby nie nauczano Do szeregów Partii
Żeby mnie nie wciągano i żebym w kolumnie
Jakiegokolwiek nie kroczył Najwyżej w procesji
Do ołtarza szynkwasu Żeby mnie nie bito
Podwyżkami cen mięsa albo opłat celnych*

(R. Wojaczek, *Modlitwa szarego człowieka*)

W PRL-u odżył w nowej wersji romantyczny konflikt jednostki ze światem, – zamykający się w granicach totalitarnego systemu. Mówią o tym dwie bardzo ważne piosenki Staszewskiego: *Gwiazda szeryfa* i *Latający Holender*. Pierwsza to z pozoru błaha opowiadka o popularności amerykańskich westernów. Są w niej sceny jakby zdjęte z ekranu:

*Zabłyśta gwiazda, szeryfa znak
W zaroślach szmer – to banda zbirów czai się tak
Żrenicą czarną patrzą w siebie lufy dwie
Papierowe miasto pali się*
(*Gwiazda szeryfa*)

Jest i coś więcej – gorzka prawda o bezlitosnych rygorach komunizmu, oczekiwanie na „szeryfa, co wypleni zło” i wiara w zwycięstwo dobra, „bo dobro trwalsze jest od skał”. Wyczekiwany szeryf ma zapamiętać słowa, które przydać się mogą każdemu, kogo dotknął komunizm i kto był o krok od zwątpienia:

*Choć nawet zegar dziejów bije smutny ton
To twoje serce prawdę mówi, a nie on*
(*Gwiazda szeryfa*)

W *Latającym Holendrze*, gdzie wykorzystał Staszewski znaną alegorię okrętu jako ojczyzny, nie ma już podobnego optymizmu („wciąż daleko świat”), jest natomiast czekanie na zmianę ponurej sytuacji lub jej ostateczne rozstrzygnięcie. Żłowrog wrak legendarnego statku przepowiada zgubę tego strasznego kraju. A marynarze? Śpiewają:

*Ach, jak to różnie się pija
Alkohol kąsa jak żmija
[...]
Więc my też pijmy i wiernie
Czekajmy w naszej tawernie
Kiedy Holender Latający uderzy w brzeg*
(*Latający Holender*)



Tylko skrajnym pesymizmem mogły natchnąć wrażliwego człowieka tamte czasy. Mnóstwo ograniczeń, kłamstwa, powszechna bieda i podwyżki cen – to było „normalne”. Tak samo „normalna” była brzydota świata, miast, ulic. Stefan Kisielewski notował: „potworna zabudowa ciężkimi, ohydnyymi, zastaniającymi krajobraz kamienicami”, „chłopskie jeszcze centrum kraju zastawione bardzo brzydkimi ceglanymi domkami z płaskim dachem: to budownictwo oparte na jednym projekcie”. Na tę potworność też potrzebne było lekarstwo: przyjaźnie, bary, „tortury alkoholowe” – ale największą przecież ulgę w najgorszych nawet czasach przynosi miłość:

*Zgaśnie blask oczu twych
Gdy wstanie dzień
Świat za szybą przysiądzie
Jak szary ptak
Nie mów nic, przytul się
Wstrzymaj czas, wszystko zmień
(Samotni ludzie)*

Złtu świata poświęcił Staszewski kilka piosenek: *Samotni ludzie*, *Kurwy wędrowniczki*, *Jeśli zechcesz odejść – odejź*, *Nie dorosłem do swych lat*, *Knajpa morderców*. Chyba świadomie starał się nimi wzruszyć, zastanowić, skłonić do historycznych refleksji. Nie zawsze, jako autor, był doskonały, ale zawsze trafiał w sedno – w uczucie. Może właśnie miłość uważał za prawdziwe lekarstwo na chorobę komunizmu? W każdym razie bardzo często o niej pisał. O ile u Hłaski miłość jest sprawą przegraną, u Osieckiej – niewinną zabawą, u Wojaczka – literackim eksperymentem, o tyle tu stanowi naczelne ludzkie przeżycie. W piosenkach symbolizuje je kobieta.

Najsłynniejsza jest, rzecz jasna, Celina – postać, nawiasem mówiąc, autentyczna. W dokumentalnym filmie Jerzego Zalewskiego *Tata Kazika* można ją zobaczyć, posłuchać, jak opowiada o „baletach”, w których brała udział. Dziewczyna z *Baranka* to oczywista kpina z romantycznej kobiety-anioła, a to dlatego, że Zosia Staszewskiego radzi sobie świetnie: „pięknie się stara/kosi pieniądź, ma jaguara”. Godna uwagi jest ta, co „się bała pogrzebów” – delikatna, wrażliwa, zakochana. I ona właśnie, najsympatyczniejsza, musi umrzeć. Umiera pięknie, ale zgodnie ze stereotypem. Zresztą, po co mają żyć tak subtelni ludzie w tak brutalnej rzeczywistości? Staszewski dobrym zdrowiem obdarzył zupełnie inne kobiety: te, które dużo piją (*Królowa życia*), kiedy trzeba służą mężczyznom (*Kurwy wędrowniczki*, *Kochaj mnie, a będę twoją*), angażują się w działania polityczno-rewolucyjne (*Marianna*) lub, po prostu, w romanse (*Bal kresłarzy*). Był jednak mizoginicznie do nich nastawiony, drwił nawet:

*I ty tu jesteś, ty o rękach
Co tak gotycki mają rys
I piękna jesteś jak jutrenka
W swoich sukienkach z marché aux puces
Chciałbym się zbliżyć ukochana
Wprost w uszko nucić ci mój śpiew
Cóż, kiedy leżysz na dwóch panach
A między nami kran i zlew
(Bal kresłarzy)*

Nie w każdej epoce uczucia znaczą tyle co w czasach Staszewskiego, Hłaski, Osieckiej, Wojaczka. W Polsce lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych żyło się szczególnie trudno. Człowieka czekała powolna, albo i nagła, śmierć w fałszywym systemie – taka, jaką ukazuje piosenka *A gdy będę umierał*. Jednostka to „byle kto”. „Kaskaderzy literatury” woleli odchodzić w wybranej przez siebie chwili – niekoniecznie z przyczyn politycznych, lecz jednak...

Poza tym niektórym udało się wyjechać. Zostawić tę Polskę, w której jeszcze niewielu wierzyło, że wszystko wokół jest wierutnym kłamstwem. Tak zrobił Hłasko, dziesięć lat później Staszewski. Obaj ze świadomością, że ich twórczość, mniej lub bardziej znana, stanowi niezbędny sprzeciw wobec peerelowskiego optymizmu.

Czy jednak według Staszewskiego emigracja przynosiła człowiekowi namiastkę szczęśliwości? Można wątpić, powodowała przecież ciągłe konfrontacje i konieczność utwierdzania własnej tożsamości – jak na „balu” kreślarzy w Paryżu. Wraz z Polakami jest tam alkohol („Odbijaj flaszkę, żądz nie kietznaj/Na orbitę wszyscy wraz/Bo gdy tak człek od rana pełza/ To wieczór spędzić chce wśród gwiazd”), jest kobieta oraz konflikt między mężczyznami, Polakiem i „zabojadem”. Z rywalizacji Polak stara się wyjść zwycięsko. Chwali się nawet:

Któż umie tak jak Polak mówiąc milczeć, milcząc pić

Tak szumieć, tak o słowo jedno zaraz w mordę bić

(Bal kreślarzy)

i z dumą określa swe położenie:

Co mi ich franki, ich ostrzygi

Wywiozłem z Polski com tam miał

I zawsze mogę bez fatygi

Przygrzmocić temu co bym chciał

(Bal kreślarzy)

Bo dla niego ważniejsze od stałego adresu jest, jak sam mówi, „imię własne”.

Kultura epoki gomułkowskiej jawi się jako smutna, szara i siermiężna. Staszewski, opisując te czasy, korzystał najchętniej z romantycznego dziedzictwa. Formę w każdym razie wybrał romantyczną. Ballada w wielu swych odmianach znakomicie nadawała się do prezentacji realiów i absurdów PRL-u wraz z całą jego „cudownością”.

W obrazie imperium carów, przedstawionym w „Dziadach”, poszukiwano wówczas sytuacyjnego podobieństwa do stalinowskiego reżimu. W tekstach Staszewskiego romantyczne lektury przestały pasować do komunistycznej rzeczywistości. Oto duch w celi Ziutka okazuje się złudzeniem, „zwykłym kawałem”. Dziewczyna, przed którą „bieży baranek”, już dawno spieniężyła swoje dziewictwo. W świecie Staszewskiego tylko to było możliwe. I jeszcze diabeł, co „na kieliszka tańczy dnie”. I „romantyzm budów”. I jakby norwidowska czerń. Stanisław Staszewski był bystrym „dziecikiem epoki”. Epoki, o której warto dowiedzieć się prawdy – między innymi z jego piosenek.

¹ Staszewski, w wieku 19 lat cudem ocalał w obozie Mauthausen.

² Staszewski pracował jako naczelnny architekt na tzw. Petrobudowie w Płocku na przełomie lat 50. i 60.



ZATRUTA HISTORIA

(OLIMPIADA HISTORYCZNA AD 1977)

Spośród nauk humanistycznych historia, szczególnie ta, którą wykładano w szkołach, była w PRL przedmiotem stale znajdującym się na cenzurowanym. W tej kwestii niewiele zmian nastąpiło od czasu *Syzyfowych prac i Wspomnień niebieskiego mundurka*. Nawet warszawskie Ministerstwo Oświaty i Wychowania posiadało superrecenzen-ta, w postaci mieszanej, polsko-radzieckiej komisji zajmującej się od początku lat pięćdziesiątych uzgadnianiem treści w podręcznikach szkolnych.

Zasadniczy sprzeciw strony radzieckiej budziło ujęcie w polskich książkach tak fundamentalnych dla obu stron zagadnień, jak: wyprawa kijowska Bolesława Chrobrego, bitwa pod Grunwaldem, sprawy inflanckie, dymitriady, traktat andruszowski, rozbiory, Powstanie Listopadowe, Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa, „wyprawa panów polskich na Ukrainę”, „wyzwolenie Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy”. Na podstawie analizy podręczników z lat 1975–1977 strona radziecka sporządziła dokument *Uwagi wstępne do naświetlenia historii ZSRR w polskich podręcznikach*. Krytycznie oceniano tendencje szowinistyczne strony polskiej, mimo że, jak zaznaczano, historycy polscy uwzględnili wiele cennych życzeń i uwag specjalistów radzieckich, wysuniętych podczas wspólnych spotkań w 1969 i 1973 r. Jesienią 1979 r. opinia radziecka zawędrowała do Instytutu Programów Szkolnych przy Ministerstwie Oświaty i Wychowania.

Kontrola sprawowana przez rodzimy Wydział Oświaty i Nauki KC PZPR (instytucję miarodajną w zakresie spraw oświatowo-wychowawczych) była też na ogół skuteczna, a – jak zobaczy Czytelnik poniższych dokumentów – szczególną uwagę starano się zwracać na wszelkie zadrażnienia w dziedzinie stosunków zagranicznych¹. W końcu lat siedemdziesiątych podziemne wydawnictwo „Głos” opublikowało broszurę znanego historyka idei, Bohdana Cywińskiego, *Zatruta humanistyka*. Autor pisał między innymi: „Proces sączenia propagandy zaczyna się [...] już w programie zajęć przedszkolnych i w pierwszych latach nauczania szkolnego. [...] Rzecz idzie nie o zubożenie czy wykrzywienie wiedzy o tych czy innych faktach z historii politycznej czy historii kultury, ale o zagrożenie wrażliwości humanistycznej, religijności i o kształt patriotyzmu młodego pokolenia. Młode ówczesnie pokolenie weszło obecnie w wiek średni. Karmione zawczasu historią zatrutą, na ile zna i rozumie dzieje swego kraju? Dostarczywszy materiału do przemyśleń – ustępuje historyk miejsca znawcom duszy współczesnej: niech potrudzi się socjolog, psycholog czy duszpasterz. A młody, szczególnie, Czytelnik niechaj dowie się, jak dawniej bywało”.

Dokumenty zostały nam udostępnione dzięki życzliwości dr. Łukasza Kamińskiego i mgr. Pawła Piotrowskiego.



Studenci w sali wykładowej, lata pięćdziesiąte

Dokument nr 1

AW/2/185/77.

JAREMA MACISZEWSKI

Kierownik Wydziału Nauki i Oświaty

KC PZPR^a

Towarzysz
Andrzej Werblan
Sekretarz KC PZPR

W załączeniu przesyłam notatkę, dotyczącą błędów politycznych, które znalazły się w zestawie lektur przeznaczonych dla uczestników IV Ogólnopolskiej Olimpiady Historycznej². J[arema] Maciszewski^b

^a Nagłówek firmowy.

^b Podpis odręczny. Poniżej ukosem odręcznie dwie notatki: „Zgoda / a[d]/a[cta] / tekst otrzymał / t. [Józef] Kępa / 6/12 [1977]”. Cały tekst zaopatrzonej jest w trzy różne parafy. Archiwum Akt Nowych, PZPR, teczka 226, Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR.

Dokument nr 2

Notatka służbowa

w sprawie Wytycznych Ogólnopolskiej Olimpiady Historycznej (1977 r.)

Wydział Organizacyjny KC PZPR otrzymał z terenu sygnał wskazujący na poważne nieprawidłowości polityczne w doborze lektury zalecanej uczestnikom IV Ogólnopolskiej Olimpiady Historycznej. Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR podjął działania wyjaśniające, które potwierdziły zasadność informacji.

W toku postępowania wyjaśniającego stwierdzono, co następuje:

Wytyczne na IV Olimpiadę Historyczną (podobnie jak na trzy poprzednie) zostały opracowane przez Komitet Główny Olimpiady, powołany przez Ministra Oświaty i Wychowania na wniosek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego. W skład Komitetu Głównego wchodzi dwóch przedstawicieli resortu oświaty i wychowania, z których jeden w dodatku pełni funkcję sekretarza naukowego prezydium Komitetu, a także wielu wybitnych historyków, działaczy partii.

Wytyczne na każdą olimpiadę zawierają zestaw lektury, który co roku jest korygowany i uzupełniany o najnowsze pozycje. Wśród proponowanego zestawu lektur na IV Olimpiadę znalazły się m.in. książki: M[aria] Turlejska, *Rok przed klęską* oraz tejże autorki *Prawdy i fikcje*³, *Wrzesień 1939, grudzień 1941*, L[eszek] Moczulski, *Wojna polska*⁴, a także książka A[ntoniego] Czubińskiego *Kraj Rad* – jedyna spośród książek tego autora, znanego i cenionego historyka marksisty, która była z powodu błędnych ujęć przedmiotem krytyki partyjnej.

Propozycję włączenia tych pozycji do zestawu literatury IV Olimpiady zgłosił na piśmie 14 grudnia 1976 r. Andrzej Friszke⁵ – student III roku historii UW, uczeń doc. J[erzego] Holzera⁶, były laureat Olimpiady Historycznej, który z tego tytułu wchodzi w skład członków Komitetu Głównego Olimpiady. Szczególnie zalecał on książki M[arii] Turlejskiej i L[eszka] Moczulskiego.

Propozycje te, mające wyraźny posmak prowokacji politycznej, w sposób mechaniczny, bezkrytycznie włączył do zestawu literatury zalecanej uczestnikom IV Olimpiady Historycznej sekretarz naukowy Komitetu Głównego tow. dr A[ndrzej Leszek] Szcześniak⁷, pracownik Instytutu Programów Szkolnych MOiW, do którego obowiązków jako do jednego z przedstawicieli resortu oświaty w Komitecie Głównym powinny należeć również funkcje kontrolne oraz dbałość o prawidłowy politycznie profil Olimpiady.

Dr A[ndrzej Leszek] Szcześniak – odpowiedzialny przedstawiciel MOiW w prezydium Komitetu Głównego Olimpiady – stwierdził podczas przeprowadzonej z nim rozmowy w dn. 9 XI 1977 r. w Wydziale Nauki i Oświaty KC PZPR, że ww. pozycji nie czytał, a ich autorów nie zna. Stwierdzeniem tym dowiódł braku kwalifikacji merytorycznych i politycznych.

Wytyczne IV Olimpiady Historycznej wydrukowane zostały w czerwcu br. w nakładzie 2 tys. egzemplarzy (zlecenie opiewało na 5 tys. egz.) i rozesłane w sierpniu br. za pośrednictwem kuratorów oświaty i wychowania do liceów ogólnokształcących i części średnich szkół zawodowych.

Ponieważ ww. pozycji nie ma w bibliotekach szkolnych i dotarcie do nich młodzieży szkolnej jest utrudnione, przeto szkody społeczne wynikłe z zaistniałego incydentu nie będą duże. Niemniej sprawa ta dowodzi braku systemu kontroli ze strony Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz braku odpowiedzialności członków prezydium Komitetu Głównego Olimpiady, którzy wytyczne zatwierdzili do druku. Ponadto w wytycznych – co można stwierdzić po ich lekturze – znajdują się także pozycje bądź zbyt trudne, bądź takie, które aczkolwiek nie są politycznie szkodliwe, zawierają tezy kontrowersyjne i nie powinny być zalecane młodzieży szkolnej. Brakuje także w zestawie lektur szeregu ważnych i wartościowych pozycji.

W związku z powyższym Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR spowodował, że kierownictwo MOiW wykonuje następujące działania:

- 1) Wstrzymuje dodruk brakujących 3 tys. egz. „Wytycznych”.
- 2) Wycofuje ze szkół 2 tys. egz., które zostały wysłane w sierpniu br.
- 3) W trybie pilnym dokonuje – pod kontrolą polityczną Wydziału – korekty „Wytycznych” i po korekcie roześle je ponownie do szkół.

4) Usprawni system kontroli wszystkich pozostałych olimpiad pod kątem prawidłowego politycznie i merytorycznie ich prowadzenia. Odtąd każdy druk będzie wysyłany do szkół po uzyskaniu aprobaty merytorycznej i politycznej resortu.

5) Wnioski personalne w stosunku do winnych są w opracowaniu.

Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR

Warszawa, dnia 10 listopada 1977 r.

Archiwum Akt Nowych, PZPR, teczka 226 (Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR)

¹ Centralną instancją KC PZPR zajmującą się oświatą był Wydział Nauki i Oświaty, w którym kierownikami na przełomie lat 70. i 80. byli historycy – Jarema Maciszewski (1975–1981) i Eugeniusz Duraczyński (1981–1983). Placówkami KC PZPR o charakterze dydaktyczno-naukowym były ówczesnie przede wszystkim: Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu (dyrektorzy – Andrzej Werblan 1974–1981, Augustyn Wajda 1981, Jerzy Wiatr 1981–1984), Wyższa Szkoła Nauk Społecznych (rektorzy – Władysław Zastawny 1971–1981, Norbert Michta 1981–1984), Akademia Nauk Społecznych (rektorzy – Marian Orzechowski 1984–1986, Jarema Maciszewski 1986–1990).

² Notatka sporządzona została przez prof. Jaremę Maciszewskiego, kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR, i przesłana do Andrzeja Werblana, w drugiej połowie lat 70. sekretarza KC PZPR i dyrektora Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu. Według odręcznej adnotacji na tekście dokumentu, z tekstem zapoznał się również Józef Kępa – w 1977 r. wiceprezes Rady Ministrów, wcześniej I sekretarz warszawskiego KW PZPR.

³ W wydanej w 1966 r. książce Marii Turlejskiej niepokój mogło wzbudzić umieszczenie m.in. takich informacji, jak dane o prześladowaniach na terenach zajętych przez ZSRR po 17 września 1939 r. oraz dość rzetelne przedstawienie okoliczności samej agresji.

⁴ W wydanej w 1972 r. książce Leszka Moczulskiego, dość szybko wycofanej zresztą z obiegu, zdecydowanie pozytywniej oceniono politykę „obozu sanacyjnego” aniżeli w oficjalnej historiografii. Moczulski przedstawił również w swoim opracowaniu (mimo przeszkód państwowej cenzury) okoliczności paktu Ribbentrop–Mołotow oraz agresji 17 września.

⁵ Andrzej Friszke (ur. w 1956 r.), dr hab., absolwent Wydziału Historii UW. Redaktor działu historycznego w „Tygodniku Solidarność” w 1981 r. i w „Więzi” od 1982 r. Autor licznych publikacji na temat opozycji demokratycznej w PRL, emigracji polskiej w XX w., pracownik naukowy Instytutu Studiów Politycznych PAN, członek Kolegium IPN.

⁶ Jerzy Holzer, prof., autor wielu publikacji naukowych z zakresu historii Polski i Niemiec w XX w. W drugiej połowie lat 70. związany z demokratyczną opozycją, m.in. współpracownik KOR, autor tekstów w pismach drugiego obiegu „Zapis” i „Głos”, od 1978 r. brał udział w pracach Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Członek PZPR do 1979 r.

⁷ Andrzej Leszek Szcześniak, historyk i publicysta, autor licznych podręczników szkolnych. W środowisku uczniów i nauczycieli zdobył duże uznanie, wydając w 1984 r. podręcznik dla klas ósmych szkół podstawowych przedstawiający m.in. w sposób niezakłamy okoliczności Powstania Warszawskiego. W omawianym czasie członek PZPR.

HITY Z MINISTERSTWA SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Jak oceniano w samym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Służba Bezpieczeństwa nigdy nie została tak mocno zaangażowana w działalność środków masowego przekazu, w tym także od strony organizacyjnej i kadrowej, jak w stanie wojennym. O skali tego zaangażowania świadczy chociażby fakt, że w pierwszych tygodniach po 13 grudnia 1981 r. większość terenowych korespondencji dla „Dziennika Telewizyjnego” była przekazywana do telewizji przez komendy wojewódzkie MO (za pośrednictwem Gabinetu Ministra MSW).

Oczywiście resort nie ograniczał się tylko do tego typu pomocy, ale również inspirował najbardziej zaufanych i najwierniejszych władzy ludowej dziennikarzy oraz dostarczał im niezbędnych materiałów. Skądinąd to MSW sporządzało listę dziennikarzy, na których partia mogła liczyć w przypadku konfrontacji z „Solidarnością”, a funkcjonariusze resortu byli członkami komisji weryfikacyjnych przeprowadzających czystki wśród pracowników środków masowego przekazu.

Ponizej prezentujemy dokument, który pokazuje, jak przebiegała współpraca resortu spraw wewnętrznych z Komitetem ds. Radia i Telewizji. Pierwszy odcinek serialu *Who is who*, opartego na materiałach kontrwywiadu, prezentującego „wywrotową działalność wywiadu amerykańskiego” w Polsce został wyemitowany przez Telewizję Polską 27 stycznia 1982 r. w porze największej oglądalności, o godzinie 20.00. Dotyczył on działalności Leslie Sternberg, III sekretarza ambasady USA w Warszawie. Została ona aresztowana w marcu 1981 r. Podczas zatrzymania w jej samochodzie odnaleziono między innymi bezdebitowe wydawnictwa Konfederacji Polski Niepodległej. W ciągu kolejnych dni wyemitowano następne cztery odcinki z tej serii. Bohaterem drugiego był Peter Berg, II sekretarz ambasady USA zajmujący się szpiegostwem wojskowym, trzeciego – Zenon Celegrat zwerbowany przez CIA w Wietnamie, czwartego – Alicja Wesołowska. Ostatni poświęcono kontaktom Zbigniewa Romaszewskiego z Michałem Andersonem, II sekretarzem ambasady USA w Warszawie, i przekazaniu dokumentów Komitetu Obrony Robotników na spotkanie sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE w Madrycie (12 marca 1982 r.). Zamysł programu był czytelny. Chodziło o kompromitację działaczy opozycji. Nieprzypadkowo w serialu mowa jest o dwóch najbardziej nienawidzonych przez ówczesne władze organizacjach (KOR i KPN). Film *Who is who* był fragmentem większej kampanii propagandowej przeciwko opozycji, podjętej po 13 grudnia 1981 r.

Z kolei 13 lutego o godzinie 20.00 został nadany reportaż z procesu współpracownika CIA Bogdana Walewskiego zatytułowany *Proces szpiega*¹.

28 stycznia po emisji pierwszego odcinka serialu *Who is who* w Centrum Prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych odbyła się konferencja kontrwywiadu MSW z dziennikarzami zagranicznymi, podczas której oświadczono, że każda telewizja na świecie może zakupić film.

ZAŁĄCZNIK DO INFORMACJI DZIENNEJ [MSW] Z DNIA 26 II 1982 r.

„Zainteresowania zagranicy programami TVP na temat działalności CIA przeciwko Polsce”

Powstały z inspiracji i przy współudziale MSW serial telewizyjny *Who is who* wzbudził znaczne zainteresowanie wielu zagranicznych stacji telewizyjnych.

Do dnia dzisiejszego w ramach bezpłatnej wymiany komplet pięciu odcinków wraz z dyskusją w studio został przekazany – na ich życzenie – TV ZSRR, Węgier, CSRS, NRD i Kuby.

Całość serialu zakupiła też amerykańska sieć telewizyjna NBC, płacąc po 400 dolarów za jedną minutę programu.

W dniu 25 bm. o zakup serialu zwróciła się do Radiokomitetu ambasada Iranu w Warszawie. Ze względów politycznych program ten zostanie przekazany irańskiej TV po cenie kosztów wykonania kopii i tłumaczenia.

Duże zainteresowanie zagranicznych sieci telewizyjnych wywołały również sprawozdania telewizyjne z procesu B[ogdana] Walewskiego, które były retransmitowane na całą sieć Interwizji i Eurowizji. Zainteresowanie nimi wykazało 37 stacji telewizyjnych, w tym również Izraela.

Nadany po procesie reportaż *Proces szpiega* otrzymały w ramach bezpłatnej współpracy telewizje ZSRR, Bułgarii, CSRS, NRD, Węgier i Kuby.

Nadane programy okazały się (czego nie spodziewali się chyba sami pomysłodawcy) wielkim sukcesem komercyjnym. Z dzisiejszej perspektywy suma 400 dolarów amerykańskich za minutę programu² nie wydaje się oszałamiająca, ale należy pamiętać, że na początku lat osiemdziesiątych nie była mała. Nie był to być może hit na miarę polskiej szynki czy „czarnego złota”, niemniej w ten sposób Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i jego dzielnicy funkcjonariusze dostarczyli krajowi tak potrzebnych dewiz. Ciekawe jedynie, na co zostały one wydane. Ale to już całkiem inna historia.

¹ Proces Walewskiego rozpoczął się 9 lutego 1982 r. Po kilku dniach (13 lutego) sędziowie Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazali go na karę 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat, konfiskatę mienia i grzywnę w wysokości 10 tys. zł. Walewskiego obciążono również opłatą sądową i kosztami postępowania.

² Każdy odcinek serialu *Who is who* trwał 15 minut, nie udało się natomiast ustalić, kiedy została nadana i ile trwała dyskusja na temat filmu.



„PROSZĘ PANA, DOKĄD JEDZIEMY? DOKĄD PAN NAS WIEZIE?”

Na Wileńszczyźnie, nieopodal małej stacji kolejowej Ponary, na terenie bazy paliw płynnych podczas drugiej wojny światowej w okresie od lipca 1941 do lipca 1944 r. dokonano mordu ponad stu tysięcy osób. Wśród wymordowanych byli Polacy, Litwini, Cyganie i Żydzi. Egzekucje przeprowadzał, pod nadzorem Niemców, litewski oddział specjalny Ypatingas Burys. To litewskie Sonderkommando zostało zorganizowane przez Hauptscharführera Martina Weissa, który sprawował nad nim bezpośredni nadzór i uczestniczył w zbrodniach.

Funkcjonowało ono przy Litewskiej Policji Bezpieczeństwa (Saugumo Policija), było jednak złożone wyłącznie z Litwinów ochotników, tak zwanych „szaulisów”, którzy nosili mundury wojskowe armii litewskiej, a na czele komanda stał porucznik wojska litewskiego Balys Norvosza. „Szaulisi” pochodzili w większości z szeregów paramilitarnej organizacji Lietuvos Szauliu Sajunga (Związek Strzelców Litewskich) działającej na Litwie od 1919 r., byli także nazywani „strzelcami ponarskimi”.

4 i 5 kwietnia 1943 r. litewskie Sonderkommando wymordowało Żydów pochodzących z miasteczek na trasie Dyneburg (łotewskie Daugavpils)–Wilno i z wileńskiego getta, przywiezionych do Ponar z Wilna w trzech transportach kolejowych. Żydzi z trzeciego transportu, z 5 kwietnia 1943 r., liczącego 60 wagonów, przywiezieni do Ponar, jeszcze na stacji, przed doprowadzeniem ich na teren bazy, gdzie odbywały się rozstrzeliwania, rzucili się do ucieczki. Tory i teren stacyjki w Ponarach zastały się trupami. Naocznym świadkiem tych wydarzeń był maszynista „pociągu śmierci” Marian Maciejewski, którego relację przedstawiamy.

Autor relacji urodził się 13 grudnia 1922 r. w Wilnie, w rodzinie kolejarskiej. Do wybuchu wojny był uczniem Państwowego Gimnazjum Technicznego (nr 261 T) w Wilnie. Podczas okupacji od października 1941 r. pracował na kolei – początkowo jako pomocnik maszynisty, następnie jako maszynista. W październiku 1939 r. został zaprzysiężony do ZWZ, następnie był żołnierzem AK. W konspiracji działał pod ps. „Sęp”, „Mamut” początkowo w „Wachlarzu”, następnie Kedywie – dywersja i sabotaż kolejowy, Garnizon Miasta Wilna. Dwukrotnie aresztowany (grudzień 1939 r. przez Litwinów; jesień 1940 r. przez NKWD, więziony na wileńskich Łukiszkach). Po zakończeniu wojny dziewiątym transportem przesiedleńców z Wileńszczyzny przyjechał do Łodzi, gdzie początkowo zamieszkał. Podjął pracę na kolei (wówczas zmilitaryzowanej) i kolejno mieszkał w Pile, Szczecinku i w Szczecinie. Ukończył przerwana wojną naukę, następnie odbył studia w Szkole Inżynierskiej. Z PKP związany był do początku 1950 r., następnie do przejścia na emeryturę pracował jako nauczyciel. Od 1979 r. jest emerytem, mieszka w Szczecinie.

Opracował Tomasz Chinciński, Delegatura IPN w Bydgoszczy

PONARY – malutka drewniana stacyjka kolejowa na linii Warszawa–Wilno; osiedle domków kolejarzy i willi położonych osiem kilometrów od Wilna w pięknym sosnowym lesie, pachnącym żywicą, pełnym grzybów, orzechów i ciszy. Na tej stacyjce przed wojną zatrzymywały się tylko pociągi podmiejskie i tak zwane „ukstorpedy”.

W 1940 r. po przyłączeniu Republiki Litewskiej do Związku Radzieckiego rozpoczęto w lasach ponarskich, w pobliżu stacji i linii kolejowej, budowę bazy płynnego paliwa. Wykopano siedem wielkich dołów, sześć z nich zdążono wybetonować do czasu wybuchu wojny z Niemcami. W czerwcu 1941 r. Niemcy wykorzystali owe doły do masowych egzekucji. Cały teren bazy został ogrodzony drutem kolczastym i był silnie chroniony przez strażę. Wstęp na ten teren był zabroniony pod karą śmierci.

Ofiary dowożono na miejsce kaźni koleją, samochodami lub, z więzienia na Łukiszkach w Wilnie, doprowadzano na piechotę w konwojach. Większość osób pomordowanych w Ponarach stanowili Żydzi z getta Wilna, Wileńszczyzny i z Litwy. Przed egzekucją zmuszano ich do rozebrania się do bielizny lub do naga.

W początkach marca 1943 r. zostałem służbowo oddelegowany z parowozowni Wilno do pracy w nowo wybudowanej parowozowni na stacji Palemony (Palemonas), położonej około 10 km od Kowna. Była to spora stacja węzłowa, od której rozchodziły się linie kolejowe w trzech kierunkach, to jest do Kowna, Szaweli przez Radziwiliszki i do Wilna. Niemcy rozbudowali węzeł kolejowy, wybudowali dużą, seryjną, prostokątną parowozownię, o konstrukcji drewnianej. Litwinom brakowało własnych drużyn parowozowych, to znaczy maszynistów i pomocników. Dlatego często polskie drużyny parowozowe delegowano z Wilna do pracy w głąb Litwy – do Palemon, Kretynki, Możejek, Szawli i innych miejscowości. Z Palemon jeździliśmy najczęściej pociągami relacji Kowno–Wilno. W nocy z 4 na 5 kwietnia 1943 r. miałem dyżur trwający 12 godzin. Około północy od dyspozytora parowozowni w Palemonach otrzymałem marszrutę i polecenie wyjazdu parowozem na stację po pociąg do Wilna. Podjechałem pod towarowy transport wojskowy. Około godziny trzeciej w nocy dowiozłem go do stacji osobowej w Wilnie. Przejeżdżając uprzednio przez stację Ponary, jako ostatnią przed Wilnem, niczego specjalnego nie zauważyłem. Oczywiście wiedziałem, że w Ponarach znowu rozstrzelują ludzi, że znowu nasiliły się egzekucje Żydów w związku z likwidacją getta na Wileńszczyźnie i na Litwie. Po przyjeździe na stację w Wilnie i odpięciu się od składu pociągu odjechałem na skład opału, pod natadunek węgla na tender parowozu, uzupełnienie paliwa. Potem wjechałem na kanał, aby oczyścić popielnik, palenisko i dymnicę parowozu oraz nabrać wody do tendra. Ponieważ rodzina moja i ja sam mieszkaliśmy w pobliżu parowozowni przy ul. Konduktorskiej nr 10, tuż za rampą poleską, a wiedziałem, że przygotowanie parowozu do drogi trochę jeszcze potrwa, zostawiłem na nim pomocnika o dość dziwnym nazwisku i imieniu. Jedno z nich brzmiało August, drugiego już nie pamiętam. Nie pamiętam również, które z tych imion było faktycznie imieniem, a które nazwiskiem. Będę go więc nazywał Augustem. Chłopak zginął w tymże samym roku, latem, w jakiejś akcji pod więzieniem stefańskim w Wilnie, zastrzelony w bramie więziennej przez strażnika. Schronił się w niej, ostrzeliwując się przed gestapowcami.

Tak więc zostawiłem go na parowozie, często tak robiliśmy, a sam poszedłem do domu zobaczyć się z rodzicami i z rodzeństwem, trochę posilić się i umyć. Spieszyłem się, wiedząc, że chyba prędko trzeba będzie wracać do Palemon. Ranek był chłodny, nawet mroźny. Po przejściu przez tory znalazłem się tuż przy dyspozytorni, z której wyszedł, pamiętam to doskonale, prawdopodobnie widząc, że ja się do niej zbliżam, dyspozytor litewski Józef Muśnik (Juozas Musnikas). Był to Litwin wileński, starszy już wtedy mężczyzna mający około 50 lat,

ogromnie niesympatyczny. Trzymał w ręku marszrutę. Pamiętam też doskonale słowa: „panie Maciejewski, wyjeżdżaj prędzej pod pociąg, parowóz stoi gotowy na kanale, a ciebie nie ma. Zabierzesz pociąg do Ponar, a potem luzem do Palemon”. „Luzem” to znaczy bez pociągu, samym tylko parowozem. Zaskoczyło to mnie ogromnie, nigdy bowiem nie zdarzyło mi się dotąd prowadzić pociąg tylko do Ponar, lecz przez Ponary do Kowna czy do Grodna. Domyśliłem się, o co chodzi. Zabrałem marszrutę, spojrzałem na nią i rzeczywiście wypisana na niej była trasa pociągu – druk dwujęzyczny niemiecko-litewski: „*Wilna–Panieris–Palemonas von Panieris leer nach Palemonas*”. Wyjechałem z parowozowni, a ściślej z kanału oczyszkowego na posterunek kontrolny. Krótki postój przy nim, pokazanie marszruty. Pytam dyżurnego pracownika, co to za pociąg do Ponar, a on mi na to krótko – Żydzi. Gdybym wiedział, co mnie czeka, może uciekłbym albo udał chorego i żądał podmiany. Wyjeżdżam na stację i widzę skład towarowy pociągu na torze, po którym jadę. Żadnych wart; jacyś ludzie w cywilnych ubraniach chodzą wzdłuż pociągu po obu jego stronach. Z daleka nie widać, co to za jedni. Sytuacja za chwilę wyjaśnia się. Tak, pociąg pilnują tylko policjanci żydowscy w okrągłych czapkach na głowach. Na czapkach syjońska gwiazda. W cywilnych ubraniach – na rękawach opaski z taką gwiazdą. Przy pasach lub w rękach – gumowe pałki. Podjeżdżam powoli pod skład pociągu. Pomocnik zeskakuje z parowozu, biegiem wyprzedza go, wchodzi między zbliżający się parowóz i stojący pociąg, aby przypiąć do niego i połączyć węże hamulcowe. Parowóz dopięty. Hamulce połączone, pompa powietrzna zaczyna natychmiast szybko pracować, napełniając układ hamulcowy pociągu powietrzem. Ja zeskakuję z parowozu, idę w kierunku pierwszego wagonu; chcę zobaczyć tak zwany „list przewozowy” (*Fahrzettel*), przypięty w specjalnej ramce za siatką na każdym wagonie. Na listach tych wypisywana była między innymi również trasa pociągu. Widzę, że zamiast druku jest czysta kartka papieru, a na niej czerwonym ołówkiem wypisane dwa słowa „*nach Kauen*” (do Kowna). Nic więcej. Wiem już wszystko. Żadnych złudzeń. Tragedia. Wagony pełne ludzi. Drzwi wagonów niedomknięte całkowicie, lecz hak zamykający drzwi zarzucony na ostatni zaczep tak, że pozostaje mała szczelina. W oknach wagonu towarowego i przy szparze drzwi twarze kobiet, dzieci i mężczyzn. Sypią się pytania: „Proszę pana, dokąd jedziemy, dokąd nas pan wiezie?”. Co mogłem odpowiedzieć? Na śmierć? Odpowiedziałem, że ja jadę do Kowna. Usłyszałem wtedy: „Tak, to dobrze. Nam powiedziano, że jedziemy do pracy do Kowna”. W innych wagonach rozległy się krzyki, wołanie o wodę. W niektórych dalszych wagonach znajdującym się tam ludziom udało się odrzucić hak, otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz. Natychmiast policjanci żydowscy, bijąc gumowymi pałkami, zagnali ich z powrotem do wagonów. Normalnie zawsze był kierownik pociągu i konduktorzy, którzy spisywali numery wagonów, podpisywali marszrutę maszynisty. Przed odjazdem rewidenci robili próbę hamulców. Dobrze przypominam sobie, że wtedy konduktorzy nie zjawili się. Powróciłem na parowóz i tu dość istotny szczegół, otóż w parowozowni Wilno i chyba we wszystkich pozostałych parowozowniach Litwy w tym czasie były głównie parowozy niemieckie. Najwięcej było parowozów typu Ok 1 według oznaczenia niemieckiego serii 38, zresztą bardzo dobrych, budowanych jeszcze przed pierwszą wojną światową. Potem zaczęły się pojawiać od końca 1942 r. parowozy towarowe, niemieckiej produkcji wojennej. Oznaczone serią 52. Wyjątek stanowił jedyny znany mi polski parowóz serii Ok 22, produkcji fabryki parowozów w Chrzanowie. Znajdował się on w parowozowni Kowno, a potem w Palemonach i właśnie tym parowozem wiozłem ów tragiczny transport.



Marian Maciejewski



Ponary – Krzyż

A więc, jak już wspomniałem, wszedłem na parowóz. August natomiast obszedł go dookoła, sprawdził luzu wiązarów, stan oleju w olejarkach panewek, krzyżulca i kulisy, po czym wszedł na parowóz i podrzucił do pieca.

Byłem wstrząśnięty. Wiedziałem, co się dzieje w Ponarach. Myślałem gorączkowo, co robić. Orientowałem się, że August ma jakieś powiązania z działalnością podziemną, on natomiast nic nie wiedział o mnie, tak zresztą jak nawet i najbliższa moja rodzina. W pracy zupełnie nie wzbudzałem żadnych podejrzeń – nie piłem, nie grałem w oko podczas dyżurów w tak zwanej brechałowce. Trochę spekulowałem machorką grodzieńską, farbą koloryt, sodą kaustyczną, podobnie jak i wszyscy inni. Słowem, musiałem być „czysty”. Bohaterem nigdy nie byłem, a tym bardziej nie byłem ryzykantem. Lękałem się bomb, min, ostrzeliwań pociągów, słowem wszystkiego. Jak chociaż trochę im pomóc? Jak ratować? Semafor wyjazdowy był ciągle zamknięty; my byliśmy przygotowani do odjazdu. Wtedy wpadłem na pomysł: odrzucić haki zamykające drzwi wagonów, przynajmniej w paru z nich. Umożliwiłoby to otwarcie drzwi i ucieczkę chociaż tym, którzy się na to zdecydują. Zwróciłem się do pomocnika: „słuchaj, August, jak otworzą semafor i dadzą sygnał odjazdu z nastawni, ja jak

zawsze, lecz tym razem długo zagwiżdżę, tak aby żydowscy policjanci powskakiwali natychmiast do brankardu i ruszę parowozem w taki sposób, że zacznę szarpać składem pociągu, aby wyglądało, że jest zahamowany, że hamulce nie odpuściły. Otworzę krany podcylindrowe, ty zaś zeskokczysz z parowozu i pobiegniesz do tyłu pociągu, udając, że luzujesz hamulce wagonów, pociągając rączki luzujące hamulce, które znajdują się akurat pod spodem wagonu na tej samej linii pionu co i hak zamykający drzwi. Odrzucisz go. Drzwi będą otwarte; wystarczy je odsunąć”. Często się tak robiło, że trzymając jedną ręką rączkę luzującą hamulce, drugą ręką opierało się o wagon i szło lub biegło obok wagonu przez parę sekund, luzując hamulce, częstokroć w kilku lub kilkunastu wagonach. „Ja będę ciągnął skład powoli. Pamiętaj, że zaczynasz od drugiego wagonu za parowozem. Ile ci się uda otworzyć wagonów, tyle otwórz i wracaj na parowóz”.

Ranek był zimny, słońce już świeciło. Ile udało się otworzyć wagonów, trudno mi powiedzieć na pewno – sądzę, że pięć do sześciu, ponieważ krany podcylindrowe miałem otwarte i wylatująca para z cylindrów stworzyła chmurę osłaniającą Augusta. Wszystko poszło sprawnie i szybko. Pociąg zaczął nabierać szybkości, tocząc się po szynach, skręcając na rozjazdach i zwrotnicach, wjeżdżając na tory główne Wilno–Warszawa. Przejechałem pod Mostem Raduńskim, minąłem dom, w którym mieszkałem, Wilczą Łapę. Byłem na szlaku. Odległość ośmiu kilometrów przebyłem w ciągu około 10 minut. Wilno leży na wzgórzach, otoczone jest pasmem Gór Ponarskich. Za nimi na zachód leżą Ponary. Aby dojechać do nich, należało przejechać przez tunel, przechodzący przez górę. Tunel ten miał długość około 300–400 m, a za nim znajdowała się stacja w odległości 600 m. Przed tunelem stał semafor wjazdowy, a z obu stron tunelu Niemcy zbudowali bunkry z bali drewnianych i otoczyli je ostrokołem z wałami ziemnymi. W bunkrach była załoga składająca się z kilkunastu żołnierzy uzbrojonych w ciężką broń maszynową. Zadaniem ich było strzeżenie właśnie tego tunelu. Wyjeżdżając z łuku, zauważyłem zamknięty semafor wjazdowy. Zacząłem hamować, jednocześnie gwiżdżąc, prosząc niejako o otwarcie drogi. Uniósł się dwa ramiona semafora, co oznaczało, że wjeżdżam na tor boczny i że należy zmniejszyć szybkość pociągu. Rozwiały się ostatnie złudzenia. Przez cały czas okupacji nigdy nie zdarzyło mi się w Ponarach wjechać na boczny tor. Zawsze jechałem „na przelot”.

Tu muszę poświęcić trochę miejsca na opis stacyjki Ponary. Linia kolejowa Wilno–Warszawa była dwutorowa. W Ponarach nie było w całym tego słowa znaczeniu stacji z szeregiem torów. Po prostu były dwa tory główne – przelotowe – i tor boczny nazywany „żeberkiem”.

Wjechałem w tunel, pociąg znacznie zwolnił bieg. Ciemno; powoli zaczyna się rozjaśniać. Zbliżam się do wylotu tunelu, następnie wyjeżdżam z niego i widzę z daleka, że z obu stron „żeberka” stoją żołnierze, jak mi się wówczas wydawało, i czekają na mój wjazd. Ja to widzę, lecz nie widzą jeszcze tego pasażerowie pociągu śmierci. Wjeżdżam na zwrotnicę „żeberka”; pociąg zaczyna się wyginać i wtedy oni też ujrzeli wszystko i wszystko zrozumieli. Mimo stukotu i pisku kół przy wjeździe na krzywą usłyszałem rozlegające się w wagonach okropne krzyki i lamenty. Z wagonów wyskoczyło kilkadziesiąt, może 30 lub 40 osób, trudno mi dokładnie określić. Wszystko działo się błyskawicznie. Ludzie ci zaczęli uciekać w kierunku lasu, znajdującego się po lewej stronie torów, kilkaset metrów przed stacją. Byli to ci, którym otworzyliśmy drzwi wagonów jeszcze na stacji w Wilnie. Do nich otworzyli też ogień Niemcy z bunkra przy tunelu, lecz stosunkowo późno, gdyż przez pewien czas uciekający byli zaśloneci i oddzieleni od bunkra jadącym pociągiem. Czy i ilu z uciekających udało się

uratować, tego nie potrafię odpowiedzieć, gdyż moja uwaga skupiona była na stacji. Wjeżdżałem pomiędzy szpalery szaulisowskiego Sonderkommando. Widziałem wszystko bardzo dobrze, patrząc z okna parowozu Ok 22, a więc z wysokości około 2,5 m. Oczekujący oddział oprawców nie składał się z samych litewskich szaulisów w zielonych, wojskowych mundurach, lecz również z policjantów białoruskich, w czarnych mundurach z charakterystycznymi szarymi kołnierzami i takiego samego koloru mankietami u rękawów. O omyłce nie mogło być mowy, gdyż znałem te mundury zbyt dobrze. Zauważyłem tylko jednego Niemca, jak mi się wydawało – oficera SS. Ubrany był w czapkę z trupią główką i w mundur z patkami SS oraz w znacznie jaśniejsze od munduru bufiaste bryczesy. To był ich dowódca. Część oddziału litewsko-białoruskiego była nieco na uboczu, na łączce tuż przy zboczu z torami. Stało tam kilka dużych naczyń metalowych, chyba kotłów z wódką. Podchodzili do tych kadzi czy kotłów, czerpali chochlą wódkę i pili wprost z niej. Pili wszyscy bez wyjątku, bo nawet ci, co stali wzdłuż pociągu na torze, odchodzili od niego w kierunku kadzi, czerpali wódkę, pili i wracali na swoje miejsce.

Dociągnąłem pociąg powoli pod sam semafor wyjazdowy i zahamowałem już tylko samym hamulcem parowozowym. Pociąg stanął. Semafor wyjazdowy stał tuż przed przejazdem kolejowym, podobnie jak przy torze głównym, przez który przechodziła droga na prawo, w kierunku Wilna, na lewo do lasu, w którym rozstrzeliwano. Tory główne przedzielala siatka druciana, dochodząca prawie do przejazdu. Przy torach był mały peron i budynek stacyjki Ponary.

Polecilem pomocnikowi zejść z parowozu i odpiąć go od składu pociągu. Dalej mieliśmy jechać „luzem” do Palemon. Semafor był zamknięty. Policjanci żydowski zebrali się w jednym miejscu i odeszli na prawo od torów do samochodów ciężarowych, stojących na drodze (około 200 m od torów). Załadowali się na jeden z samochodów i odjechali w kierunku Wilna. W całym pociągu rozlegał się płacz, słyhać było jęki, krzyki i prośby kierowane do szaulisów. Ci odpowiadali razami kolb karabinów po wyciągniętych rękach, śmiechem i drwinami. W ogromnym napięciu czekaliśmy na otwarcie semafora i na możliwość odjazdu z tego potwornego miejsca. Ponieważ na poboczu toru leżały stosy walizek, tłumoków, tobołków, zawiniątek itp. rzeczy, domyśliłem się, że były to rzeczy ludzi już rozstrzelanych, nieszczęśników z poprzednich transportów. Ja przywożem trzeci transport.

W pewnym momencie usłyszałem stukanie w ścianę parowozu i wołanie po niemiecku: „Lokführer, Lokführer”. Wychyliłem się przez okno parowozu. Pod nim stał ów oficer SS, w rękę trzymał pistolet i rozkazał: „Lokpersonal raus aus Lok, sofort nach Station”. Zeszliśmy z parowozu z jego prawej strony tak, że znaleźliśmy się przy esesmanie i nie mogąc przejść bezpośrednio przez tory na stację – na przeszkodzie stała siatka – skierowaliśmy się wzdłuż niej do przejazdu. Przeszliśmy tory w lewo i skręciliśmy znowu w lewo na peron i do budynku stacyjnego. Nigdzie nie było ani żywego ducha, z wyjątkiem transportu pełnego ofiar oraz ich oprawców. Weszliśmy do budynku stacji. Zastaliśmy tam dyżurnego ruchu o nazwisku Baturu, który zachowywał się tak jak człowiek będący na skraju wyczerpania nerwowego. Trzymał się za głowę obu rękoma, chodził szybko po pokoju, mówiąc: „panowie, ja nie wytrzymam, już drugi dzień strzelają, to trzeci transport, Boże, Boże”. Pamiętam, że zwróciłem się do niego z prośbą, aby otworzył prędko semafor i nas odprawił. „Nie mogę, nie mam dojścia do Waki” – odpowiedział. Spojrzałem przez okno; widziałem właściwie tylko to, co pozwalała mi zobaczyć przestrzeń pomiędzy kołami wagonów. Wszystko jeszcze się działo z przeciwnej strony pociągu. Z naszej strony zauważyłem tylko tę część litewskiego

Sonderkommando i policji białoruskiej, która pilnowała tej części pociągu. Bito kolbami karabinów tych, którzy starali się wyrzeć przez okienka wagonów. W pewnym momencie otwarto kilka wagonów i zaczęto wyganiać z nich ludzi, głównie kobiety, dzieci i starszych mężczyzn. Krzyki, płacz; klątwy i razy kolb; padanie ludzi na ziemię; ciągnięcie pakunków, waliz, tobołków. Wszystko to widziałem od dołu, spod wagonu. Właściwie tylko nogi tych, co upadli. Zaczęto jakoś tam ich ustawiać i formować kolumnę; otoczono strażnikami i ruszono w kierunku przejazdu, aby po przejściu skierować się do lasu, gdzie ich mordowano. Szli zupełnie bierni. Zbliży się pociąg towarowy, jadący w kierunku Wilna. Poznają po literach malowanych na dymnicy i na bokach parowozu, że jest z Grodna. Maszynista zaniepokojony widokiem na tej zazwyczaj bezludnej stacji, zaczyna hamować, mimo że ma semafor i wolną drogę na przejazd. Na peron wbiega Hauptscharführer Martin Weiss z pistoletem w rękę i krzyczy w kierunku maszynisty zbliżającego się pociągu: „*fahren, fahren*”. Maszynista cofa się od okna, otwiera przepustnicę i parowóz, wyrzucając kłęby pary przez komin, znowu zaczyna ciągnąć pociąg coraz szybciej. Przelatuje przez stację. Z okna stacyjnego widać, że znowu zaczynają wyganiać ludzi z wagonów; tym razem bardzo dużo osób. Znowu formują kolumnę w podobny sposób jak poprzednio i ruszają z nią. W tym czasie zaczyna stukać aparat Morse’a. Dyżurny ruchu podbiega do niego, bierze taśmę do ręki, czyta i mówi: „jest dojście do Waki, odjazd”. Pociąg za dźwignię i otwiera semafor. Droga wolna. Wybiegamy ze stacyjki. Nie pamiętam, skąd znalazł się ktoś trzeci. Biegnie razem z nami. Aby dostać się do parowozu, trzeba przebyć tę samą drogę co poprzednio, omijając siatkę. Wbiegamy na przejazd, gdzie widzę zbliżającą się ku nam olbrzymią grupę Żydów, otoczonych przez szaulisów i białoruskich policjantów. Zbliżyliśmy się do siebie. Opisywanie wydarzeń trwa bardzo długo, naprawdę trwało to kilkanaście sekund. Widzę idącego z przodu grupy dość młodego mężczyznę, około trzydziestoletniego. Jest wysoki, nerwowo rozgląda się na boki i szybko rozpina guziki krótkiego kożuszka. Gwałtownym ruchem zrzuca go z siebie i biegiem rzuca się do ucieczki wzdłuż torów. Jeden z eskortujących go policjantów – szaulisów krzyczy: „*stok, stok*” (stój, stój). Mierzy z karabinu i strzela. Uciekający pada. Cała grupa kilkuset kobiet, dzieci i mężczyzn rzuca się do ucieczki na oślep, wzdłuż torów. W ułamku sekundy znajduję się w środku tego oszalałego ze strachu tłumu wraz z eskortą litewsko-białoruską. Wszystko jest pomieszane. Zaczyna się bezładna strzelanina. Staram się przedrzeć pod prąd w kierunku parowozu przez prący do przodu tłum; szaulisi strzelają na oślep, nie mierząc. Jest to prawdziwe polowanie na ludzi. Jak długo to trwa, nie wiem. Widzę naokoło padających ludzi, słyszę krzyki przerażenia. Pada obok mnie jeden z oprawców, trafiony przez któregoś ze swoich, odniesiony potem do samochodu, chyba tylko ranny. Z olbrzymim wysiłkiem udaje mi się zbliżyć do parowozu. Tam jedyny ratunek. Jestem tuż przy nim, widzę kobietę z dzieckiem, może dwu- lub trzyletnim na rękę. Biegnie w moim kierunku. W tym momencie wyrzuca do przodu obu rękami dziecko, przystaje na chwilę, pada. Chwytam za poręcz przy schodach budki maszynisty, staram się wejść na parowóz, nie mogę. Ktoś przyciska mi nogi do schodków. Wyrывam się, włożę, a właściwie wciągam się na rękach na parowóz i patrzę na tory i na to, co się na nich dzieje. Za parę miesięcy minie od tych wydarzeń sześćdziesiąt lat, a widzę i pamiętam wszystko doskonale. Widzę postrzeloną przy mnie kobietę – leży obok parowozu, drze rękami ziemię, drgając konwulsyjnie. Dziecko opatulone podeszło do matki, szarpie ją za ubranie i cicho jęczy: „*mame, mame*”. Wokoło setki zabitych i rannych. Stoję przy oknie parowozu, oglądam tory przed

sobą, stację, peron, drogę w lewo i w prawo. Tak dzisiaj, jak i przedtem, zastanawiałem się, dlaczego nikt z nich nie szukał ratunku i schronienia na parowozie. W tym rozgardiaszu, jaki wtedy tam był, może ktoś byłby się uratował, przecież nam trzem udało się dotrzeć na niego, nikt potem nie sprawdzał, czy nie ma tam Żydów. Ile to trwa, nie wiem, stoję i patrzę jak urzeczony. Tory zaściewają już chyba tysiące zabitych i rannych. Leżą na nich, na poboczach torów, wokół parowozu i na peronie, wiszą na drutach ogrodzenia. Żyjący uciekają pojedynczo i całymi rodzinami. Pada ojciec, wraca syn, stara się go podnieść, ratować. Trafiony, wali się na niego. Przybiega żona czy matka, córka lub siostra. Postrzelone padają na nich, drgają, przewracają się, jęczą. Powstają całe stosy, zapewne rodzinne. Widzę wiszących na siatce ogrodzeniowej. To ci, którzy nie widzieli, że tam są druty. Widzieli tylko las, wpadli na nie i tam dopadła ich śmierć.

Ze spokojem, nieomalże z dostojnością, przechadza się wśród zabitych i rannych, dzisiaj już to wiem, Martin Weiss, Hauptscharführer. W prawej, nieco zgiętej w łokciu ręce, trzyma pistolet maszynowy MPi z rozłożoną kolbą. Rozgląda się uważnie na wszystkie strony, wybiera rannych, nieco się pochyla, tak ciut, ciut, i strzela pojedynczymi strzałami w głowy rannych. Czasami kręci się w kółko na jednej nodze, nawet bez dania kroku do przodu, i strzela do kilkunastu ludzi. Zbliża się powoli w kierunku parowozu. Nie spieszy się, podchodzi do dziecka ciągle szarpiącego ranną matkę i pojękującego: „mame, mame”. Pochyla się nieco i strzela w czoło matki. Z czoła tryska fontanna krwi, maleje i znowu tryska chyba w takt pracy serca. Fontanna krwi coraz mniejsza, już jej nie ma. Kobieta nieruchomieje. Niemiec nieco się odwraca i pochyla, strzela w głowę dziecka, które pada obok matki. Jest już przy parowozie, unosi pistolet i ryczy: „maszynista *abfahrt*”. Semafor był długo otwarty, a my staliśmy. Przeszedłem na prawą stronę, muszę otworzyć przepustnicę i ruszyć do przodu w kierunku Waki, Landwarowa i dalej do Palemon, lecz na przejeździe, torach oraz wszędzie naokoło leżą ludzie zabici, ranni i okropnie okaleczeni. Słyszę krzyk: „*schnell, schnell!*”. Otwieram przepustnicę, parowóz rusza do przodu, za chwilę przejadę po nich. Utkwił mi w pamięci szczególny widok mężczyzny, leżącego na prawym boku na poboczu toru. Wsparty na łokciu prawej ręki, twarz zalana krwią zwrócona w kierunku jadącego parowozu. Patrzył na nas, tak jakoś podrygiwał i lewą ręką rwał rozbitą głowę, jakby rzucił od siebie.

Jak dojechałem do Palemon, nie pamiętam. Miałem ogromną gorączkę, leżałem przez parę dni chory w baraku, w którym mieszkaliśmy. Wiem, że miałem zwolnienie lekarskie, nie pamiętam, jak je dostałem. Trudno określić, ilu ludzi wymordowano na moich oczach, ile czasu trwało to mordowanie. Wtedy zupełnie straciłem poczucie czasu. Wydawało mi się, że wymordowano wszystkich, że nikomu nie udało się zbiec ani uratować. Chyba było inaczej. Może niektórym to się udało, szczególnie tym, którym otworzyliśmy wagony jeszcze na stacji w Wilnie i którzy wyskoczyli z wagonów, kiedy wyjeżdżałem z tunelu na stację w Ponarach. W parę miesięcy po opisywanych tu wypadkach, bo w listopadzie 1943 roku, ponownie w tychże samych Ponarach byłem świadkiem okropnego niejako epilogu tragedii, to znaczy palenia zwłok, kiedy Niemcy zacierali ślady swych zbrodni, paląc pomordowanych na tak zwanych stosach hinduskich. Ale to już inna historia i inne okropne przeżycia.

Transport, który przywiozłem do Ponar, liczył 120 osi, czyli 60 dwuosioowych wagonów towarowych. W każdym wagonie było, jak mi się wydaje, 60–80 ludzi, czyli w transporcie było 3600–4800 ludzi. Tyłu też, przynajmniej wtedy, zamordowano.

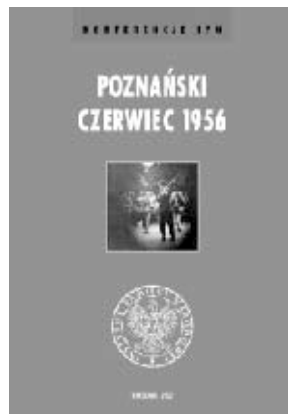
- **„Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950–1952: taktyka, strategia, metody”**
 Tom obejmuje:
 ● protokoły z narad kierownictwa resortu bezpieczeństwa publicznego ● przemówienia i referaty ministra BP Stanisława Radkiewicza ● rozkaz ministra BP w sprawie „walki z wywiadem państw imperialistycznych” ● pisma kierownictwa resortu dotyczące spraw i zadań bieżących MBP ● analizy i opracowania obrazujące sposoby zwalczania przez aparat bezpieczeństwa niepodległościowego podziemia zbrojnego, a także „wrogiej działalności” na wsi, w przemyśle, w szkolnictwie oraz działających oficjalnie organizacjach społeczno-politycznych. (cena: 20,00 zł)
- **„Grudzień 1970 w dokumentach MSW”**
 Na zbiór składają się:
 ● codzienne informacje o sytuacji w kraju, przeznaczone dla członków najwyższego kierownictwa partyjno-państwowego ● notatki z posiedzeń Sztabu MSW w grudniu 1970 roku (niekompletne) i zapisy telekonferencji z komendantami wojewódzkimi Milicji Obywatelskiej, organizowanych w grudniu 1970 r. przez komendanta głównego MO gen. Tadeusza Pietrzaka. (cena: 20,00 zł)
- **„Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce w latach 1944–1956”**
 Książka jest rezultatem czterech konferencji naukowych poświęconych różnym aspektom funkcjonowania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości w Polsce w latach 1944–1956. Obok opracowań ogólnych dotyczących zarówno polityki karnej państwa, jak i porządku prawnego zamieszczono w niej teksty omawiające konkretne przykłady przestępstw sądowych. Na szczególną uwagę zasługują artykuły o represjach wobec zbrojnego podziemia, duchowieństwa katolickiego oraz chłopów przeciwstawiających się kolektywizacji rolnictwa.
- **„Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych”**
 Zawiera 57 krytycznie opracowanych, dotychczas niepublikowanych (z wyjątkiem jednego) dokumentów, które ukazują ówczesne wydarzenia w nowym świetle. Na zbiór – oprócz materiałów wytworzonych przez strukturę MSW – składają się m.in.: ● protokoły i informacje z posiedzeń KW PZPR w Radomiu ● dyrektywy i informacje KC PZPR ● sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. (cena: 20,00 zł)
- **„Rozpracowanie i likwidacja rzeszowskiego Wydziału WiN w dokumentach UB (1945–1949)”**
 To pierwszy krytycznie opracowany wybór dokumentów operacyjnych komunistycznych służb bezpieczeństwa. Tom zawiera: ● 96 dokumentów z teczek obiektowych ● raporty specjalne ● sprawozdania dekadowe, miesięczne i roczne z pracy operacyjnej funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie i Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego w województwie rzeszowskim. (cena: 20,00 zł)
- **„Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja”**
 Friedrich (Fritz) Katzmann zapisał jedną z najczarniejszych kart okupacji niemieckiej w Polsce. Był współorganizatorem tak zwanej akcji Reinhard (Einsatz Reinhard). Cel akcji – eksterminacja polskich Żydów – został osiągnięty. W latach 1942–1943 w Generalnej Guberni zginęła większość z niemal 3 mln zamordowanych podczas niemieckiej okupacji polskich Żydów. (cena: 45,00 zł)
- **„Diariusz podręczny 1939–1945”**
 Diariusz podręczny archiwisty Adama Kamińskiego stanowi interesujący zapis życia w Krakowie pod okupacją niemiecką. Z kart jego dziennika wylania się poruszający obraz codziennej walki o przetrwanie: zdobywania żywności, mieszkania oraz pracy. Równocześnie jest to znakomite źródło informacji o ówczesnej obyczajowości: życiu rodzinnym, sposobach spędzania czasu wolnego oraz świętowania. Wiele miejsca Kamiński poświęca swej pracy w archiwum oraz walce o ratowanie dokumentów zagrożonych zniszczeniem. Jego dziennik oddaje także grozę okupacji, dokumentuje wojenną eksterminację, wywózki mieszkańców Krakowa do Oświęcimia, likwidację getta krakowskiego, wreszcie pobyt autora w obozie w Płaszowie. Swe zapiski Kamiński uzupełnia wiadomościami z prasy codziennej o aktualnych wydarzeniach wojennych. (cena: 30,00 zł)
- **„Świadectwa stanu wojennego”**
 Świadectwa stanu wojennego to 28 relacji wybranych tak, by pokazywały różne formy działalności opozycyjnej i wszyskie regiony Polski. Dostarczają one wielu informacji na temat oporu społecznego, pozwalają poznać motywacje konkretnych osób. Mogą być ciekawą lekturą nie tylko dla historyków, lecz także dla socjologów i psychologów społecznych. Pozwalają skonfrontować własne doświadczenia z przeżyciami innych. (cena: 25,00 zł)
- **„Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983”**
 „Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983” zawiera 54 publikowane po raz pierwszy dokumenty ukazujące genezę, przebieg oraz skutki stanu wojennego. Ilustrują one najważniejsze przedsięwzięcia podejmowane przez władze PRL przed i po 13 grudnia 1981 r. Pochodzą z zasobów IPN i piętnastu innych archiwów (m.in. Archiwum Akt Nowych, Archiwum Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, Archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości) oraz zbiorów prywatnych. (cena: 35,00 zł)

K S I A Ź K I I P N

W serii „Konferencje IPN” publikowane są materiały będące plonem spotkań naukowych organizowanych przez Instytut Pamięci Narodowej. Przedstawiają wymierzoną przeciwko obywatelom polskim działalność okupantów w okresie drugiej wojny światowej oraz władz komunistycznych Polski Ludowej, opisują różne formy oporu społecznego.

Pierwszy tom serii poświęcony jest losom pokolenia konspiratorów na Lubelszczyźnie. Autorzy tekstów analizują metody działania i szanse podziemia zbrojnego lat 1939–1956 oraz sposobów jego zwalczania. Stawiają tezę, że konspiracja antykomunistyczna była kontynuacją konspiracji antyhitlerowskiej. Celem jednej i drugiej była niepodległa i demokratyczna Polska.

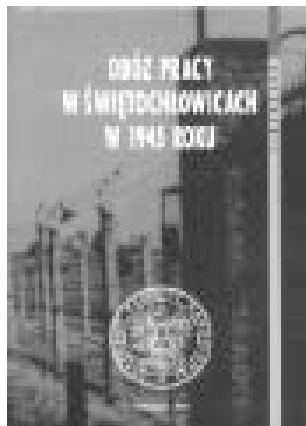
Kolejny tom serii „Konferencje IPN” jest poświęcony poznańskiemu Czerwcowi 1956. Autorzy tekstów analizują pomijane dotychczas wątki, jak sytuacja w więzienictwie, reakcje społeczeństwa polskiego na wydarzenia w Poznaniu oraz komentarze prasy krajowej i zagranicznej. Ich ustalenia potwierdzają tezę, że poznański Czerwiec był początkiem walki o demokratyzację życia w Polsce.



Obóz Pracy w Świętochłowicach (luty-listopad 1945 r.), założony w barakach po filii obozu oświęcimskiego Eintrachthütte, przeznaczony był dla „zdrajców narodu polskiego”, „zbrodniarzy faszystowsko-hitlerowskich” i „wrogich elementów”. Stał się miejscem odosobnienia przede wszystkim dla Ślązaków, których „winą” było wpisanie podczas okupacji na niemiecką listę narodowościową. Tom jest pierwszym wyborem dokumentów ukazujących funkcjonowanie obozów pracy w powojennej Polsce.

W serii „Monografie” publikowane są książki poświęcone najnowszej historii Polski, opisujące losy obywateli polskich w latach 1939-1989.

Pierwszy tom serii prezentuje politykę władz Polski Ludowej wobec Ukraińców - od akcji „Wisła” (1947) po utworzenie Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (1957). Opisuje trudne adaptowanie się Ukraińców na terenach, na które zostali przesiedleni i ich uparte dążenie do powrotu.



Publikacje Instytutu Pamięci Narodowej można zamówić pisząc na adres Gospodarstwa Pomocniczego IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Do podanej ceny książek należy dodać koszty przesyłki pocztowej. Opłata za przesyłkę będzie pobierana od zamawiającego przy odbiorze. Można je także kupić w siedzibach oddziałów IPN.

K S I A Ź K I I P N

